

Na pierwszej stronie wydrukowano, że to książka z felietonami.

Na odwrotnej stronie, na tzw. plecach, chciałbym dodać, że to są przebrane małe formy literacko-dziennikarskie, jakie napisałem od 1983 roku.

Spośród setek utworów w lekkiej formie, wybrałem li tylko te, które dotyczą okolic *Kwitnącej Jabłoni*.

Są zżyte z sadem mojego dzieciństwa i młodości. To jest odsiew, czyli to, co zostało przesiane przez (moje) sito.

Mawia się, że dziennikarstwo to *cmentarzysko talentów*.

Nie będę pisał, że to pokłosie, bo dzisiaj kosą już nie siecze się zbóż.

Zrobiłem porządku w papierach, bo w moim wieku łatwiej coś posiać niż odszukać.

Żdziebko nadużywam słowa przebrane. W XXI wieku nikt nie przebiera ulęgałek.

Grusza na miedzy to rzadkość. Do lamusa odeszło przysłowie: *nie zasypiać gruszek w popiele*. Kuchnia węglowa to przeżytek, jak błądy wstyd.

Jeszcze przebiera się czereśnie, wiśnie, truskawki, maliny, jabłka, śliwki, gruszki, orzechy...

W spisie treści znalazły się teksty na felietonową notę; wpisane w dawny powiat grójecki; z wioseczką Kopana, objętą szosą E7 i kolejką wąskotorową (ciuchcia o prześwicie torów 1000 mm).

Aha!

Informuję, że druk zwarty jest tylko dla osób dorosłych, czyli mówiąc wprost - dla tych, którzy myślą i zakopują głęboko znaki zapytania.



felie tony

PRZEBRANE



Czesław Mirosław Szczepaniak

Felietony przebrane

Tarczyn 2019

**Redakcja, korekta, opracowanie typograficzne,
skład i łamanie:**
Alfred Kohn

Projekt okładki:
Paweł Piotr Szczepaniak

© Copyright by Czesław Mirosław Szczepaniak i
Grażyna Szczepaniak

Wydanie I
Nakład: 125 egzemplarzy

ISBN 978-83-945398-5-6

Wydawca:
Gminny Ośrodek Kultury w Tarczynie, ul. J. Stępkowskiego 17,
05-555 Tarczyn, www.gok-tarczyn.pl, e-mail: gok@tarczyn.pl

Druk i oprawa:
Drukarnia J. J. Maciejewscy, 06-300 Przasnysz, ul. Gdańska 1

Felieton krótko otwarty

1. Felietony zacząłem pisać na początku lat 80. XX wieku, kiedy miałem łapy, a nie *lapki-fajtlapki*.

Rozpocząłem od listów do redakcji, bo była taka potrzeba. Z czasem się rozkręciłem i publikowałem notki, recenzje, wiersze, opowiadania. Było z górki i pod górkę; *raz na wozie i nieraz pod wozem*. Albo publikowano, albo odrzucano bez pardonu. Dzięki determinacji zbierałem tyle tekstów, że mam w czym przebierać i wybierać, i odsiewać.

2. Felieton jest listkiem, płatkim, arkusikiem papieru. To pestka, co drzemie w owocu. Inaczej mówiąc, to gorące fakty, nasączone liryką. Mówiąc wprost – utwór literacko-dziennikarski, ale w lekkiej formie. Krótki tekst, który długo się pisze.

Cyprian Kamil Norwid (1821-1883) skreślił, że *Felieton jest liryzmem politycznym* (*O felietonie felieton*). Francuski romantyk Alfred de Musset (1810-1857) zanotował – *Czuję się głupio jak felieton w gazecie*.

3. To jest flesz w gazecie. Błysk w *świecie druku*. Nieobca jest mu powaga do ironii, uszczypliwość, żarcik etc., etc. Bywa jak niezbite pobocze drogi, gdzie miejsce na trawę, zielsko, zioła i darń. Czasami jest wcięty jak (cienka) miedza w szczerym polu (z polną gruszą). Jego miejsce jest poza grubą linią gazety. To jest wytwór przejścia z kultury agrarnej do industrialnej. Felieton szeleścił w kawiarni, gdzie bywalcy czytali prasę na tzw. kijaskach i oddawali się różnym nałogom i komentarzom.

4. Znaki szczególne rasowego felietonisty: pszczeli zapach, mrówcza erudycja, cierpliwość i świadomość tego, że gazeta żyje od numeru do następnego numeru. Jego miejsce jest na kolumnie papieru, który jest ciężki i nigdy się nie rumieni.

5. Karl Kraus (1874-1936) tym, co uprawiają ten bluszczowaty gatunek, pozostawił dwie rady. Po pierwsze, *Pisać felieton, to tyle co kręcić loki na łysinie*. Po drugiej, *Wiejscy balwierze mają jabłka, które wtykają chłopom w usta przed rozpoczęciem pracy. Gazety mają felieton*. A reszta to rzecz wyobraźni, wprawy i dyscypliny. Z felietonem, jak z satyrą, nie

ma żartów, więc nie przesadzajmy. Nieraz życie dało nauczkę, jak ludzie *konali* ze śmiechu.

6. Latami zacząłem wymieniać felietony, a potem pisałem noty, które są krótkie jak objaśnienie. Staram się tego nie oceniać, bo to nie sport, gdzie szybciej, wyżej i prędzej. Z wiekiem trzeba się streszczać, bo inni też chcą coś powiedzieć albo napisać. Z wiekiem jestem chytrzejszy, więc już tak się nie rozpisuję. Zanim coś napiszesz, zastanów się, czy ktoś będzie chciał to czytać?

7. Felieton to taki gatunek dziennikarski, który trudno dopasować do karteek, które obracają się wokół grzbietu książki. Jego miejsce jest w gazecie. W druku zwartym też się zmieści, pod warunkiem, że go poprawisz i opatrzysz przypisem. Czytelnikom powinno się ułatwiać, a nie utrudniać.

Kiedy opracowywałem teksty, nieraz wzdychałem – że szkoda czasu, ale... nie sposób inaczej ulotne chwile przyszpilić. Życie jest bogate w różne formy, więc te ulotne kawałki jeszcze raz pozbierałem, póki nie szczeszna w zszywkach albo w teczkach związanych tasiemkami. Z felietonami wklejonymi do kajetu jest tak jak z zielnikiem, który też się łuszczy i kruszeje.

To, co wybrałem do książki, zawiera wybór pisanek na felietonową notę, które kiedyś miały za zadanie ożywić prasę. A dzisiaj są jak wspomnienie albo jak żarcik sprzed lat, tzw. suchar.

8. W spisie treści znalazły się utwory, które krąży wokół wioseczki zabitej gazetami, książkami, różnymi gadkami, jakie usłyszałem w dzieciństwie i młodości. Felietony pisałem na Ursynowie, który – przypominę – drzewiej nosił nazwę *Rozkosz*, którą nadano na pamiątkę upamiętnienia miesiąca miodowego Stanisława Kostki Potockiego i Aleksandry z Lubomirskich. Julian Ursyn Niemcewicz w 1822 roku kupił majątek rolny, bo miał taki kaprys. *Wierszogryzmoł* pragnął folwark nazwać *Ameryka* lub *Waszyngton*. Przyjaciele robili wszystko, żeby wyperswadować mu tego typu pomysły. Ostatecznie Ursynowem nazwano połacie żyznej ziemi, na której w XX i XXI wieku wybudowano osiedle mieszkaniowe. Ze wsi powstała dzielnica Warszawy. Podobny los spotkał łąki wilanowskie, co za skarpą warszawską.

Wracajmy do książki. Robiłem wszystko, żeby było w *dechę*. Za motto wybrałem przysłowie, że *lepiej krótko, a dobrze, niż długo, a miernie*.

Zapewne rozgarnięci wiedzą, że świat jest *wioską globalną*, która skupia gminy. Dawne wioseczki odeszły. Bezpowrotnie. Polne drogi zalane asfaltem. Teraz w gospodarstwach nie ma już *ani ryku, ani kwiku, ani kukuryku*. I nadal aktualne jest przysłowie, że *każdy tam ciągnie, gdzie się ulągnie*. Czyli, tam gdzie jego gniazdo, sad dzieciństwa, pierwszy las, łąka, szczere pole oraz światło, co wpadło do łódeczki powiek i obmyło naszą buzię z łez, co nie pachną, choć błyszczą.

Z felietonem jest tak jak z przygodą – warto ją pokosztować, żeby poczuć smak życia.

Po jesieni, gdy pieniądz schnie

*po jesieni gdy pieniądz schnie
w szafach szumi naftaliną na zimę
matka odświeża obrazy słowami na
jutro*

*ojciec przysypia w pokoju
wtedy ja mówię:
sady Bielą się we mnie
pies obszczekuje drogi i
jest tak jasno jak cholera*

Niniejszy wiersz napisałem kilka dobrych i złych tygodni temu nazad. Dodam: zawsze interesowało mnie lato i jesień w Kopanie, w której przed laty mieszkalem z rodzicami, siostrą i bratem. Była to bardzo mała wieś w samej pestce *Kwitnącej Jabłoni* (tak nazywano ówczesny powiat grójecki). Kochałem i nadal Kocham pory zakwitania sadów, ale najbliższe mi były dramaty i tragizm zbiorów wraz z nostalgią orki i siewów. Wiosna w naszych stronach była zawsze zasłonięta Bielą sadów, by ostatecznie jesienią mogły ugiąć się pod ciężarem owoców. Dni jesienno-zimowe szumiały w przechowalniach. Szeleściły i brzęczały pieniędzmi po różnych kątach domu. Ile to bólu głowy mieli niektórzy; nie pomogło pęknięcie wina na wargach, czy wódki pod donos albo plotkę, by wypłóścić tych, co nie z nami.

Od dawna pragnąłem zamknąć w kilku słowach *p r z e j ś c i e* jesieni w zimę w naszych stronach. To była *s p a c j a* pór roku. Skojarzyłem to sobie z maleńkim obrazem malowanym farbami naszego domu, podpartego o sad, kiedy matka krząta się wokół węglowej kuchni – najcieplejszego wszechświata, ojciec zmęczony nie gniewa się na sześć dni tygodnia, a ja patrzę na szyby i słucham. Zima podchodzi pod okna i rośnie na mrozie. Psy obszczekują ludzi i echo gubi drogi podkute mrozem. Po prostu mówię – jest jasno jak cholera.

Kiedy w 1983 roku przyniosłem ten wierszyk do domu poety Tadeusza Nowaka i zapytałem o zdanie, to Autor *A jak królem, a jak katem będziesz* odpowiedział, że „jest jasny jak cholera!”. Nie muszę pisać, że byłem szczęśliwy. Jak po dobrym komplemencie.

Po jesieni gdy pieniądz schnie. Na luzie, „Tygodnik Kulturalny” 1984, nr 8. Liryk (inc. *po jesieni...*) był kilka razy publikowany [w:] „Życie Literackie” 1983, nr 40, „Krajobrazy” 1983, nr 43, „Tygodnik Kulturalny” 1985, nr 6, „Gazeta Młodych” 1987, nr 93.

Gdy przekwitły jabłonie

Z ostatniego wojażu po Polsce przywiozłem kilka książek, o których muszę coś skrobnąć, bo mnie swędzą ręce. Pani z księgarni w mieście nad Pichną, pchnęła w moją stronę m.in. Jerzy Lipiec, *Eliot de' baty*, Pietro Arentino oraz *Jak Nana swą córeczkę Pippę na kurtyzanę kształciła*. Poza tym zabrałem na wieczną pamiątkę trochę gazet terenowych, słodkich folderów oraz garść łzawych druków, i folderów.

Ledwo, co zlizowałem chlebak, a tu nagle ktoś puka. Otwieram drzwi na oścież. I walę prosto z progu: witam! Wszędzie dobrze, gdzie mnie nie ma!

W korytarzu stoi młody listonosz, zgrzany wiosną. Ślini palec i wyjmuję z torby chudy banknot. Mówię: niech pan nie odrywa końcówki do lewej kieszeni, bo przywiozłem z Polski coś mocniejszego na jedną nogę. Doręczyciel spojrzał i... „no, no; jestem w pracy, muszę jeszcze poganiać po domach”. Zostawił mnie z banknotem. Posłaniec poczty zginął między schodami. Ale nic. Jeszcze nieraz przyjdzie i zastuka.

W miejscu na korespondencję przeczytałem, że zostałem laureatem Ogólnopolskiego Konkursu „O Laur Jabłoni '85”. Hip, hip. Hurra, hurra, hurra!!! Niżej: „Gratulujemy i zapraszamy do udziału w roku przyszłym”.

Na drugi dzień w przegródce na listy znalazłem złożony wpół dyplom. I po szpakach!

Nie zaproszono mnie do Grójca. Zeżliłem się, że szlag. Cholera jasna z tym Grójcem! A nie tak dawno nad Pichną (Zduńska Wola) goszczono mnie jak laureata, a byłem tylko przejazdem. Jadłem ciasteczka tortowe takie, że paluszki lizać. Wypiłem 4 herbaty: 1. mocną jak życie, 2. słodką jak miłość, 3. subtelną jak przyjaźń, 4. góralską, wzmocnioną kciukiem alkoholu. A do Grójca mnie nie zaproszono. I bądź tu bogaty, panie z Grójca!

Gdy przekwitły jabłonie, otrzymałem przekaz i dyplom, w którym napisano flamastrem, że zostałem laureatem „Kwitnącej Jabłoni”. I przygaśłem. Wcześniej prasa informowała, że odbyło się „Święto Kwitnących Jabłoni”. Urządzono festyn, zabawę, sadownicy tego mówili, a gawiedź

rozchodziła się po krzakach. Cóż z tego, kiedy Grójec jest chudy, jak skrzynka na jabłka. Mam na myśli gościnność, rzecz jasna.

Do Grójca mnie nie zawołano. Być może cały konkurs nie jest wart ogryzka, ale... dlaczego nie zaproszono laureatów do Grójca?! Myślałem, że pojedę. Przywiozę do domu pół platonu jabłek i garść liści. A tu nic. Przekaz, dyplom. Koniec. Uważam, że konkurs powinien być jesienią rozstrzygnięty. Dlaczego? Wiosną nie spełnił swojego zadania, o czym wyżej pisałem. Na przyszłość proszę się ze mną skontaktować, a nie tylko liczyć na siebie. Jako niedoszły sadownik, jesienią mogę coś powiedzieć pod jabłoniom mieszkańcom Grójca i okolic.

Gdy przekwitły jabłonie. Garść słów, „Tygodnik Kulturalny” 1985, nr 25.

Pamiętka

W tym roku bardzo chciałem zobaczyć kwitnięcie jabłoni, a przy okazji wskoczyć w bez i trawy po kolana. Nic na to nie poradzę, ale... Kocham iść po płatkach śniegu, co leżą w krainie słodkości.

Znowu mnie zawiąło na trasę E7. Po lewej ręce miałem Kopanę, po prawej Pamiętkę, dalej Grójec. Wszędzie mi było po drodze. Na przykład w Grójcu czekało na mnie wyróżnienie w konkursie poetyckim „O Laur Jabłoni ‘84”. Cóż z tego, skoro organizatorzy turnieju nie zaprosili żadnego laureata. Pieniądze, list gratulacyjny oraz dyplom przesłali pocztą. I po szpakach! Jak już pisałem w felietonie.

Wielka szkoda, że tak zakończył się ten „V Laur Sęku” (przepraszam „Jabłoni”). Wybierałem się do Grójca, ponieważ miałem sprawę niecierpiącą zwłoki do sadowników. Jaką? To jest tajemnica badylarska, więc nie będę jak ogrodnik, co przesadza. Już sposobie do chlebaka garście słów i trochę drobiazgów na wieczną pamiętkę, a tu nic z tego nie wyszło. Jak tak dalej pójdzie, a idzie źle, to na przyszły rok nie będę czekał na zaproszenie, tylko kupię kilka butelek wina marki *Złota Jabłoń*, za uzbierane honoraria z felietonów, i przyjadę na dłużej do miasta ks. Piotra Skargi, złotoustego szlachetki z Grójca.

* * *

Tego dnia byłem w eleganckiej formie. Krew dzielnie trzymała przeguby dłoni. Od zaraz, gdy wysiadłem z autobusu, zapaliłem papierosa. Potem zgasilem i wdepnąłem do **SZKOŁY POWSZECHNEJ IMIENIA WOJCIECHA I ANIELI MAŁŻONKÓW GÓRSKICH W PAMIĄTCE, OTWARTEJ OD ROKU 1925. GMACH WYBUDOWANO W R. 1927-8**, jak wryto na zjesienniałym marmurze.

Byłem uczniem tej szkoły. Uczęszczałem do niej z przerwami tzn. wiosna, lato; póki przymrozek i szron nie ściął liści z drzew. Śmigąłem z Kopanej, ponad kilometr drogi, przez sady, pola i... nie narzekałem, choć sól mocno w wargi szczypała. Zimą spędzałem w sanatorium. Nie będę się powtarzał, bo o tym (i nie tylko tym) jest dużo w debiutanckim tomiku poetyckim pt. *Mieliśmy Białe ściany* i opowiadaniach.

* * *

**PAMIĄTKA PIĘĆDZIESIĘCIOLECIA GIMNAZJUM POD
WEZWANIEM ŚW. WOJCIECHA ZAŁOŻONEGO W WAR-
SZAWIE 31-VIII-1927 R. PRZEZ WOJCIECHA GÓRSKIEGO –**
tej treści marmurowa tablica wisi nad wejściem do szkoły.

Wokoło jest las i sad, w którym rosną słynne czereśnie *pamiątkow-*
skie. Te owoce nieraz kusiły (i kuszą!) uczniów. Ówczesny Kierownik
Szkoły pan Józef Chodecki płoszył z drzew człekokształtne ptactwo.
Wyjmował z dna kieszeni paseczek zawinięty w ślimaczek. Jak prawdzi-
wy mężczyzna, nigdy nie rozstawał się z paskiem. I słusznie! Pasek po-
winien być w każdym domu, jak słowo honoru. W przeciwnym razie na-
uka pójdzie w las albo sad, choć to nie jest tak do końca, bo chłosta zaw-
sze ubliża.

* * *

Gdy przebywałem w sanatorium, to właśnie mój Kierownik Szkoły
pisał do mnie listy. Na niebieskiej kopercie obok mojego nazwiska był
dopisek „Uczeń-pacjent”. Z tamtego okresu pozostało trochę listów
i wspomnień (nie najgorszych, jak się okazuje po latach). Te listy są
prawdziwą ozdobą w mojej korespondencji. Dwa z nich są szczególnej
piękności. Skandalem byłoby, gdybym nie uchylił rąbka dla bliźnich.
A więc przeczytajcie:

„Pamiętka, 26.XI.68 r.

Mirku –

Twój list-laurkę odczytałem i pokazałem wszystkim Nauczycielom
w Kancelarii – wszyscy byli Ci wdzięczni za pamięć i wszyscy byli za-
dowoleni, że Ty potrafiłeś narysować i przesłać nam życzenia.

Żebyś wiedział, że pomiędzy uczniami a wychowawcami zawsze za-
chodzi coś takiego, jakby dziwnego, że i dzieci i Nauczyciele nawza-
jem lubią się, a często gęsto nawet kocha jedno drugie.

Dzieciom często niewiadome jest, jak Nauczyciel-Wychowawca pa-
mięta o uczniu, ale uczniowie-dzieci wyczuwają ten stosunek prawda?

Jak będziesz mógł, to napisz, jak Ci leci, czy Ci się nie przykrzy,
uczysz się, czy książki czytasz, czy leczysz się – bo ostatnio to widać du-
żą poprawę w Twym zdrowiu.

A u nas, jak to u nas, Dzień Nauczyciela odbył się – Dzieci naniosły dużo kwiatów, laurek (jak i Ty) wierszy, piosenek – harcerze sporo zrobili. A Rodzice zrobili przyjęcie w piątek – 22.XI. Przyjęcie b. przyjemne.

Życzymy Ci zdrowia i radości z życia i powodzenia w leczeniu.

Pozdrów od naszej szkoły swoich obecnych Opiekunów, Lekarzy, Nauczycieli.

Bądź zdrow. Całuję Cię

Twój kier. szkoły – Józef Chodecki”

Z pierwszymi śniegami, tuż przed gwiazdką, spadł następny list. Szybciutko rozerwałem niebieską kopertę i obok ośnieżonego okna czytałem.

„Pamiętka, 15.XII.68 r.

Mirku –

odpisuję Ci na ostatni list, za który b. dziękuję – lubię czytywać listy, a wiem, że lubi się czytać też, gdy się jest z dala od domu, – prawda ?

Na przykład, byłem w szpitalu i pisało do mnie dużo, dużo, dzieci i Ty też... .. mało, że wiedziałem od Was wszystko, ale każde z Was wydawało mi się, że przede mną stoi, że rozmawia ze mną, a przy tym przypominała mi się i Mama dziecka, albo Tato – bo znam wszystkich Rodziców Waszych, jestem w Waszym środowisku 23 lata i nawet niejedną mamę dzisiejszych uczniów uczyłem.

Ja i Twoi Rodzice na pewno cieszą się bardzo, że doszedłeś prawie do zdrowia. Naprawdę dużo zawdzięczaj i Lekarzom, i Siostram, kto tylko o Ciebie dba!!

Dobrze, że czytasz. Czytaj, bo to i czas schodzi, i przyjemnie coś wiedzieć – a tyle się wie, ile się nauczy, a uczy się człowiek czytaniem. Czytanie to klucz do wiedzy – tak! Mirku – czytaj i gazety... a nade wszystko lecz się. Słuchaj swoich przełożonych, ich wskazówek, aby Ci na dobre wyszło. Do świąt nie będę Ci mógł napisać, dużo roboty, ale po feriach napiszę do Ciebie.

Pokazałem Twój list paniom nauczycielkom, pozdrawiałem je od Ciebie, ale każde zapędzone... .. Stale coś nowego wymyślą, a to Irek Gołaszewski wpadł w przerębel i leży w szpitalu, a to Kazio Kowalski pobił Lutków – tak za nic na świecie, a to Irek Roszczyk połamał krzesło w Waszej klasie w drobne kawałki, a to jeden drugiemu szpilkę wsadza...

zawsze znajdują się «Mądrale», wiesz przecież jacy są... gdzie im w głowie praca, albo grzeczność – chyba na gwiazdy ich wywieźć!!

A wiesz, Mirku, trochę mi smutno, bo Twój brat w III kl. ma ze sprawowania trzy «2» – ja uczę w tej klasie też i widzę, że chłopaczek grzeczny, co to jest? Rozmawiałem o tym z jego panią, ona mówi, że «uczeń się kręci». No, kręci się... no cóż? – dzieci kręcą się... Nie wiem, co dalej? Zobaczymy. Ale nie mów o tym, nawet Mamie nie mów, bo nie ma o czym: na pewno pani się poprawi albo on się poprawi i będzie dobrze.

Życzę Ci zdrowia, aby Ci dobrze było zawsze. Składam Tobie i Twoim obecnym Nauczycielom życzenia świąteczne.

Józef Chodecki – kier. szkoły"

Oczywiście, że z bijącym sercem obszedłem oddziały, ze słowami na wargach: mój Kierownik Szkoły w Pamiętce pan Józef Chodecki przesyła życzenia świąteczne. Białe Personel sanatorium spojrzał na mnie przez szerzej otwarte powieki. Pewnie myśleli, że coś niedobrego stało się w mojej silnie rozgrzanej głowie. Wszystko było w porządku. Nikt nie domyślał się, że nostalgia za sadami chwyciła mnie za gardło.

* * *

Do dziś pamiętam powroty, gdy zima na dobre zzuła się ze śniegów. Wiosną wyszedłem z Białych ścian, by wejść w Biel sadów, pod korony drzew. Z bijącym sercem pod żebrami śmigałem do Pamiętki. Kierownik miał z nami lekcje biologii w przyszkolnym sadzie. Siedzieliśmy pod koronami czereśni *pamiętkowskich*. W wielkiej ciszy i dostojeństwie słuchaliśmy naszego Wielkiego Kierownika. W czasie zajęcia pytał, choć nigdy nie zabierał do sadu dziennika, to jednak w klasie wiedział, co się komu należy. Wyrywał i mnie kilka razy do odpowiedzi. Nieraz mówił: „Przypomnij mi, Mirku, jak wrócimy do klasy, bym Ci postawił ze dwie piątki”. Po powrocie do sali szkolnej, nie upomniałem się. Drżałem jak ten listek na czereśni *pamiętkowskiej*.

* * *

Te dwa listy pisane przez Kierownika Szkoły są żywym dokumentem. To właśnie one kazały mi odwiedzić szkołę. Zawsze posądzam kierownika o to, że po lekcjach pisze *Dziennik*. Za życia był wspaniałym gawęd-

dziarzem. O wielkim poczuciu humoru. Umiał zaciekawić, a to już jest bardzo dużo.

Nie myliłem się. Do domu dzieciństwa powracałem z grubym zeszytem w kratkę, format A4, z czerwonymi marginesami. Kajet położyłem na stole, przy którym zwykle odrabiałem prace domowe. Wolniutko otworzyłem na oścież *Kronikę Szkoły w Pamiętce zaprowadzoną przez Józefa Chodeckiego*.

Czytałem.

O szybę ocierała się gałąź jabłoni. Godna jabłoni z naszego sadu.

Pamiętka, „Tygodnik Kulturalny” 1984, nr 26.

Pierwsze wiersze

Swój pierwszy wiersz napisałem podczas wakacji. W tym czasie nasz dom oplół gorzki winogron i słodki piołun. A zaczęło się to tak. Dzień był mdlejący od skwaru i właśnie wtedy wyszedłem z domu na łąki. Tu ziemcy mówili: „poszedł na Janówek”. Nie wiem czy taka miejscowość jest w spisie wsi i miast Polski, ale... to jest dla mnie w tej chwili nieważne. Janówek leży za plecami Pawłowic; przeszło kilometr od słynnej już dziś Kopany. Spotkać tam można: załęknioną sarnę, śmigającego zająca, bociana brodzącego przez trawy żab pełne, krowy, konie. Dużo tam rośnie wikliny, topól, brzoź, osik, wierzb, olszyn. Tu się dopiero czuje *kąpiel dnia* (Bruno Schulz).

Po drodze odwiedziłem dziadka Szczepana. Posiliłem się kromką chleba i mlekiem wystudzonym cembrowiną studni i chłodem sieni. Z podziękowaniem zjadłem. Wylałem usta po chłopsku i poszedłem przed siebie. Dziadek milczał, jak ten św. Józef na obrazie, który był zawieszony nad łóżkiem. Za dnia i w nocy oszczędzał słowa. Taka już jest natura chłopów. Mówią nie za wiele, więcej pracują; milczą dla świętego spokoju. Odwrotnie jest w mieście i dlatego teraz tak nam jest dobrze.

* * *

Łąka stała przede mną pełna traw po kolana. W słońcu lśniły konie. Z pysków krów ściekała pajęczyna śliny, długa jak babie lato. W wielkim zachwycie leżałem i naganiałem sobie dobre myśli. Serce było na swoim miejscu. Wspomnienia poszły samopas. Szum traw, wymieszany z szelestem liści, dawał dużo do myślenia. Leniwość dnia łagodziła moje zmęczenie. Nic mnie nie bolało. Wielka Tajemnica Stworzenia rozpościerała się przede mną na przestrzał. W pewnej chwili wyjąłem z chlebaka kartkę wyrwaną z zeszytu szkolnego i zacząłem pisać wiersze. Same mi się pisały. Z powietrza, jak mówią natchnieni poeci. Układałem słowa i *szast-prast* na kartkę. A potem wtulałem się w skiby dłoni i drzemałem w cieniu drzewa.

* * *

W powrotnej drodze jeszcze raz wstąpiłem do dziadka. Zapukałem w drzwi. Echo w sieni mi odpowiedziało. Zajrzałem do obejść. Nie było

dziadka. Poszedłem za dom do ogrodu. Pod śliwami stał dziadek. Wsłuchiwał się w odgłosy pękających owoców. Przybliżał oczy do błękitu. W wielkim milczeniu obchodził sad.

– Dziadku!

– A, to ty, synu...

– Przyniosłem Ci z łąk swoje pierwsze wiersze. Zaraz Ci je przeczytam.

Szybciutko wyjąłem z chlebaka garść wierszy i stanąłem naprzeciw zapuszczonego sadu, gdzie chwast piał się pod koronę drzew. Mszyce wiły na listkach trąbki, w które dmuchał wiatr i stroił okolicę.

– Teraz nie mam czasu, synu. Jak będę miał przy niedzieli, to przeczytasz – odpowiedział dziadek.

Wiersze schowałem do kieszeni i zawróciłem do domu. Dziadek pozostał w ogrodzie, w cieniu ulubionych śliw i gruszek (klaps).

Luleny wam przywożem – mówił dziadek pod koniec lata, gdy stał w sieni naszego domu z czapką pełną śliwek. Przez delikatną skórkę widać było resztki lata. Matka kładła śliwki na półmisek. Jedliśmy. Na oddzielny talerzyk wyrzucaliśmy pestki.

* * *

Rękopisy wierszy wysłałem do Janusza Głowackiego (na adres redakcji warszawskiej „Kultury” przy ul. Wiejskiej 12). Autor *W nocy gorzej widać* skreślił niebieskim długopisem, że wiersze są jakie są, zaś „Reszta w ręku Boga, i w ogóle”.

A jednak... ta krztynka była (i będzie) w dłoniach człowieka, który na początku odsyłał mi wiersze z listem przeciw. Nie trwało to długo, ale po tamtych latach pozostał trwały ślad w pamięci. Jak obrzynek.

Ta łąka powraca do mnie, gdy pochylam się nad kartką papieru albo kiedy wklepuję w klawiaturę komputera. Dopóki moje serce będzie gorące, a nogi usłużnie pozwolą mi iść na przekór losowi, wierny pozostanę łące po kolana.

Wiersze z łąk. Garść słów, „Tygodnik Kulturalny” 1984, nr 30. *Pierwsze wiersze*, „Delta. Dodatek kulturalno-literacki do Głosu Wybrzeża” 1985, nr 114. Felieton był wstępem w tomiku poetyckiego pt. *Po naszej stronie*, Młodzieżowe Centrum Kultury, Gdynia 1988.

Á propos

Garść słów pt. Pamiątka („Tygodnik Kulturalny” nr 26) opublikowałem w dniu, kiedy uczniowie powracali do domów ze świadectwami pod pachą. Rozpoczęły się na dobre wakacje. Tekst ten przerwałem tymi oto słowami: Wolniutko otworzyłem na oścież *Kronikę Szkoły w Pamiątce zaprowadzoną przez Józefa Chodeckiego*.

Czytałem.

Tę myśl należy dokończyć, co niniejszym czynię.

Założycielem Szkoły Podstawowej w Pamiątce był Wojciech Górski. „Romantyk celów i pozytywista środków”. Zaczny pedagog urodził się 23 kwietnia 1849 r., w dzień wspomnienia św. Wojciecha, we wsi Lekarcice, ziemi grójeckiej, z ojca Leonarda Antoniego i Marii Magdaleny z Burskich¹.

Po ukończeniu szkoły średniej wstąpił do Szkoły Głównej otwartej przez Wielopolskiego, którą ukończył w 1872 roku ze stopniem kandydata nauk fizyko-matematycznych, otrzymał świadectwo „«wyższego domowego nauczyciela» (nastawnika)”.

We *Wspomnieniach* pisał: „Jestem wychowawcą szkół Wielopolskiego i tym się szczycę, epoki porywu ducha narodowego młodych w roku 1863 i załamania się starszych po upadku powstania. (...) Pokolenie powstaniowe wcześniej dojrzało «męczeństwem bez winy» wcześniej i lepiej przygotowane stanęło przy warsztacie społecznym, z hartem w duszy, zawziętością w czynie, pod hasłem pracy u podstaw. Przegrawszy na polu walki orężnej, postanowiliśmy zwyciężyć na polu nauki, sztuki, kultury i dobrobytu. Dzisiejszemu społeczeństwu brak tego hartu, tej ambicji zawdzięczenia samemu sobie zdobycia lepszego losu, za dużo ono żąda od państwa, żyjąc nieraz ponad stan, za mało usiłując być jak najwięcej użytecznym społeczeństwu. (...)”.

W 1877 roku Wojciech Górski otrzymuje pozwolenie na założenie szkoły, której zostanie patronem.

Z okazji 50-lecia Gimnazjum pod wezwaniem św. Wojciecha w Warszawie ufundował szkołę filialną w Pamiątce koło Tarczyna.

Dnia 3 stycznia 1923 roku Wojciech Górski skierował do Rady Szkolnej w Grójcu podanie: „Proszę o pozwolenie na utrzymanie na wła-

sny koszt i prowadzenie szkoły rozwojowej, na razie jednoizbowej – imienia mej zmarłej małżonki, śp. Anieli, w miejscowości nazwanej hipotetycznie «Pamiętką», stanowiącą część kolonii Ksawerów nr 1, położonej w powiecie grójeckim, gmina Konie”.

Szkołę utworzono 10 października 1925 roku. Tym oto szlachetnym ludzkim gestem Wojciech Górski czczył pamięć swej towarzyszki życia Anieli ze Skrzypińskich Górskiej (zmarłej w 1918 roku). Wojciech Górski wznosił ten pomnik na własny koszt w miejscowości Kopana. Był to dar syna ziemi grójeckiej dla okolicznej ludności wiejskiej. Koszt jej utrzymania ponosił sam fundator. Na starych zdjęciach budynku szkolnego wyraźnie widać od wschodniej strony wersalik pod zegarem: OSIEDLE SZKOLNE PAMIĄTKA DOM LUDOWY. Bez przecinka. Właśnie tu mieściła się biblioteka beletrystyczna i fachowa, fortepian, gramofon, radio. Dodam gwoli ścisłości kronikarskiej, że nauka w szkole była bezpłatna, koszt jej utrzymania pokrywany był z budżetu Gimnazjum Górskiego w Warszawie. Do tradycji należało to, że w Pamiętce spotykali się uczniowie Gimnazjum św. Wojciecha w Warszawie z młodzieżą wiejską. Ba! Najzdolniejsi uczniowie z Pamiętki mieli szansę – dzięki stypendium – uczenia się w Warszawie przy ulicy Hortensji 2. Nie wiem ilu ich było, ale... powtarzam to, co mówiono i o czym jest wzmianka w starej gazecie.

* * *

Wojciech Górski wiele razy odwiedzał tutejszą szkołę: „Zdarzyło się, kiedy Górski zanadto był zmęczony pracą lub przygnębiony troskami, chronił się nieraz na czas choć krótki do Kopanej, majątku zdobytego własną pracą, aby tam «procul negotiis», na wsi polskiej w otoczeniu przyrody, odzyskać równowagę”².

W tym miejscu pozwolę sobie na przypis: *Beatus ille qui procul negotiis* – łac. szczęśliwy, kto z dala od interesów/uprawia ziemię ojców, Horacy, *Epody* 2, 1.

Pamiętka była tym „Czarnolasem” na rany życia i niepokoje serca. Tu uśmierzał ból i próbował znaleźć ukojenie.

W 1930 roku dyrektor Górski otworzył w Pamiętce Osiedle Szkolne, w którym prowadzono naukę w terenie, tj. pod gołym niebem. W miesiącach wakacyjnych w jej gmachu prowadzone były kolonie dla mniej zamożnych uczniów.

To właśnie do Pamiątki w roku szkolnym 1941/1942 przywieziono z warszawskiego gimnazjum brązowe popiersie Wojciecha Górskiego, na jego miejsce wstawiono gipsową kopię.

* * *

Gimnazjum i Fundacja W. i A. Górskich nie istnieją. Ostała się li tylko szkoła w Pamiątce, jako symbol idei Wojciecha Górskiego, złotymi literami wyrytej w marmurze: „W pracy, wiedzy i miłości bratniej przyszłość nasza”.

Pierwszym kierownikiem szkoły w Pamiątce był Ryszard Zrobek, który został w bestialski sposób zamordowany przez Niemców, podobno 17 marca 1944 roku. Po jego śmierci obowiązki kierownika szkoły pełniła żona Aleksandra, aż do 1 lipca 1946 roku, tj. do chwili przybycia Józefa Chodeckiego. To on zaprowadził Kronikę Szkoły. Swoisty dokument, jakich niewiele w okolicy *Kwitnącej Jabłoni*. Żywopis lat 1947-1969.

„Wspólna troska o szkołę” – to motto od samego początku zaprzętało głowę kierującego placówką oświatowo-wychowawczą. Był to prawdziwy gospodarz, który z ołówkiem w ręku, inwestował. Dbał o to dzieło pod nazwą Pamiątka. Obejście szkoły świadczyło, że był mądry i nie zaprzepaszczał pokładanych w nim nadziei. Jego dewizą było „mniej mówcie – a więcej czyńcie”. Te kilkadziesiąt stron zapisanych spracowaną ręką kierownika szkoły Józefa Chodeckiego, to symbol walki o polskość, o miejsce szkoły w środowisku wiejskim. Mądrość jego polegała na tym, że metodą łagodnej perswazji i drobnych kropel, rozkruszał zawiść i nieśnaski z sąsiadami. Zapiski to kawał rzetelnie napisanej *Kroniki Szkoły w Pamiątce*. Liryczne wyznania pisane z pasją i sercem na oścież. Obowiązkiem jest, aby „ocalić od zapomnienia” ten dokument przechowywany w Pamiątce jak relikwia.

Maj-listopad 1984 roku

¹ Wojciech Górski, *Wspomnienia. Sześćdziesiąt lat pracy na niwie pedagogicznej*, Wydano Nakładem Fundacji W. i A. Górskich i rodziny, Warszawa 1937.

² Edmund Jankowski, *Wojciech Górski we wspomnieniach przyjaciela*, [w:] *Wojciech Górski i jego szkoła*, praca zbiorowa pod redakcją Jana Lasockiego i Jana Majdeckiego, ze słowem wstępnym Ks. Prymasa Stefana Kardynała Wyszyńskiego i przedmową prof. Stanisława Lorentza, Biblioteka Syrenki, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1982, ss. 630.

À propos. Garść słów, „Tygodnik Kulturalny” 1984, nr 47.

Z tą relikwią troszeczkę przesadziłem. Uświęciłem szkolną kronikę, która zaginęła. O tym wspominam w druku zwanym pt. *Pamiętka*, Warszawa-Ursynów 1996, nakładem własnym.

Ciuchcia

Tak mówiono o kolei wąskotorowej relacji Nowe Miasto nad Pilicą-Warszawa Południowa. Sunęła wzdłuż sadów, łąk, lasów mieszanych, szczyrych pól. Rozsiewała po drodze tęsknoty. Ludzie mówili, że po szynach czajnik jedzie. Mój ojciec, gdy usłyszał sapanie zza lasu, szybko wybiegał z domu. Przyjmował wszystkie pociągi. Stał na podwórzu, jak zawiadowca stacji. Był starszym rzemieślnikiem w warsztatach kolejowych w Piasecznie. Na pamięć znał wszystkie lokomotywy i wagony. Z kolegami naprawiał chore mechanizmy. Załoga smarowała silniki parowe i spalinowe. Chuchali i dmuchali. A jak było trzeba, to zaklęli, że pasażerowie bezmyślnie niszczą ich ciężką i brudną pracę. Mój tata pachniał dymem i smarem. Jak (samotny) proletariusz.

A dzieci na szynach kamyki układały. Myślały, że pociąg wyleci z torów. Polne kamyki chrupały pod kołami wąskotorowej.

Latami przewoziła pasażerów. Fikuśna lokomotywa ciągnęła ciemnozielone wagoniki. W jednostce pociągowej było tak ciasno, że konduktor miał spore kłopoty się przecisnąć.

Na większych stacjach były bary. Można było zjeść i wypić kciuk alkoholu.

Lata 50. i 60. XX w. to rozkwit wąskotorówki. Jeździło pełno ludzi. W wagonach, na pomostach, a nawet na stopniach. Kolejka przypominała kiść winogron. Ciuchcia wszystkich zabrała. Była jak z gumy. Nikt nie został na peronie. Miała też specjalnie doczepiony pocztowy wagon.

W latach 70. XX w. pojawiły się spalinowe niebieskie *motorki* i ciemnoczerwone *rumuny*. *Samowarek* odstawiono na boczne tory. Pomaleńku konała. Aż któregoś dnia skasowano pasażerskie pociągi. A z biegiem lat towarowe wagony. Podarto rozkład jazdy. Postawiono przysłowiową kropkę nad jej losem. Przyłożono kleksa.

Starzy ludzie czule ją wspominają. To nic, że na jej temat opowiadano złośliwe dowcipy, które przeminęły jak dym z lokomotywy.

Do dziś utarło się powiedzenie, że według ciuchci można było nakręcać zegary. Czego nie da się powiedzieć o pociągach z szerokich torów, co mają *trzecią szynę*.

Nie ma już naszej kolejki, niestety.

Ciuchcię odwieziono do muzeum.

Pozostały szwy wąskich torów w bruździe ziemi.

Mijają lata, a ja nadal przechowuję bilet, który żółknie jak jesienny liść. Dzięki temu mogę peregrynować, tam gdzie tory się kończą.

Ciuchcia, „Życie Codzienne” 1992, nr 98.

Smak jesieni

Większość tekstów w y d e p t a ł e m. Musiałem się sporo naczytać, żeby zasłużyć na odpoczynek, tzn. iść na spacer. Pisanie wycieńcza. To było powodem, że oddalałem się od domu. Szedłem w krainę zieleni i okrajek błękitu. Szukałem miejsc zacisznych. Spacerzy na wilanowskie łąki należały do stałych punktów w moim życiu. Były jak wilgotna gąbka na spieczonych ustach. Dzięki temu wyciszeniu, mogłem jeszcze raz przemyśleć to wszystko, co przeczytałem, zanotowałem i naszkicowałem na żagielkach kartek papieru.

Trzeba ciszy, aby lepiej słyszeć i widzieć.

Była jesień.

Polną drogą wracałem z przechadzki. Szarówka zaproszała gorące od kolorów liście. W obejściach zapalano światła. Pewien zacyz gospodarz zwykł mnie wyglądać, bo miał do mnie bezinteres. Stał przy bramie i czekał. Polski zwyczaj nakazuje, żeby nie witać gościa z pustymi rękami. Właściciel posesji szedł pod pachy drzew i przynosił owoce do skoszowania. Jabłka, gruszki, orzechy. Jadłem rumiane jabłko. Na jego skórcie odbiła się perzyna nieba. Było duże. Jędrne. Soczyste. Miało w sobie kęs cierpkości i słodycz lata.

Smak jesieni – powiedziałem, gdy wyrzucałem ogryzek z pestkami.

Włódarz popatrzył i dodał: „Dopiero, gdy pan będzie miał moje lata, wtedy pan zrozumie słowo jesień. Pan jest młody. Powiedzmy: nad panem jest letnia pora...”. W jego słowach wyczułem rezygnację wiosny.

Milczałem jak uczeń, którego zdybał proboszcz w przykościelnym sadzie.

A jeszcze nie tak dawno były słodkie wakacje, które spędzałem w rodzinnych stronach.

Siedziałem w ganku, obłożony stertą książek, zwałką gazet, listowiem notatek; dulczałem do późnej nocy. Matka przynosiła owoce z naszego sadu, które kładła na głębokie talerze. Stół wyglądał jak płótno z martwą naturą. Były jabłka, gruszki, śliwki, borówki amerykańskie, kwiaty, pomidory, ogórki oraz wydziobana tarcza słonecznika. To była wizytówka naszej działki. Brałem pierwszy z brzegu owoc, żeby matce nie zrobić przykrości.

„Jesień jest bogata w owoce, jak starość. Za młodych lat nie ma człowiek, dopiero, gdy się dorobi, to ma wszystkiego. Jesień jest bogata, synu...” – mówiła i zerkła na ogród owocowy, który z ojcem posadziła.

Sadek rósł wraz z nami i wszystkich przerósł. Z nim szliśmy przez dzieciństwo, młodość i wiek męsko-damski.

Dom wrośnięty w drzewa i krzewy owocowe, jesienią był tak śliczny, że nieraz traciłem głowę pod jego dachem...

Smak jesieni. Chwileczkę!, „Pismo. Pismo Ursynowsko-Natolińskiego Towarzystwa Kulturalnego” 2004, nr 31.

Mój starszy kolega historyk

Władysław Horst jest z wykształcenia historykiem. W dzieciństwie był ministrantem w kościele parafialnym pw. św. Jana Chrzciciela w Rembertowie koło Tarczyna, woj. stołeczne. Potem, jak to bywa z ministrantami, gdzieś ta gorliwość i zapal zostały przygaszone, ale iskiereki zawsze się tlą.

Jest moim krajanem. Pochodzimy z tej samej wsi. Czyli z Kopanej. W okolicach *Kwitnącej Jabłoni* nieraz dawano nam za przykład Andrzeja, bo tak na Władka mówiono, za wzór do naśladowania. Był miarą.

Lubił się uczyć.

Trenował biegi, grał w piłkę nożną w LZS *Tulipan* Księżowola.

Nie ulegał żadnym nałogom. Nauka i sport, to była cała jego radość.

Pasjonował się światem i zadawał pytania, które wprawiały w kłopot starszą siostrę.

Ukończył wyższe studia. Dienne.

Latami pracował na pełnym etacie w warszawskim Archiwum Akt Nowych przy ul. Hankiewicza 1.

Zbiera wszystko, co dotyczy dawnego powiatu grójeckiego. Z jego fiszek już można pisać mini monografię regionu. Zapewne, gdyby się nie rozdrabniał, to już dawno by wydał niejedną książkę.

Andrzej przygotował całkiem bezinteresownie, do użytku wewnętrznego, pracę pt. *Parafia Rembertów k/Tarczyna. Skorowidz urodzonych w latach 1912-1945*. Skrupulatnie odnotował imiona i nazwiska, numer akt parafialnych, miejsce urodzenia. W sumie 74 stron liczy komputeropis. Można to nazwać kartoteką. Napracował się historyk, bo musiał odbyć wiele kwerend. To wszystko musiał uporządkować według podziału gmin wiejskich województwa warszawskiego na dzień 1 listopada 1935 r. (*Warszawski Dziennik Wojewódzki dla obszaru województwa warszawskiego z dnia 15 listopada 1935 nr 36*, s. 636-637). Przypomnę, że w skład parafii Rembertów wchodziły następujące miejscowości – z gminy Konie: Aleksandrów Nowy, Anielin, Cieśle, Kocerany, Wólka Kocerańska, Kruszew (osiedle), Kruszewek (folwark), Ksawerów, Księżowola (folwark), Księżowola (kolonia), Księżowola (parcela), Łękomin (folwark), Łękomin, Michrów (folwark), Michrów (parcela), Michrów

Stefanów, Michrówek (osiedle), Pamiątka, Załęże Duże, Załęże Małe, Nowe Załęże (parcela), Załęże Duże Nowe (parcela), Załęże Duże Mieszków (folwark), Załęże Duże. A z gminy Komorniki: Brominy, Brzumin-Pawłowice (kolonia), Józefin, Kawęczyn, Kopana, Kopana (stacja kolejowa), Kopana (kolonia), Marynin, Pawłowice, Pawłowice (cegielnia), Racibory (Racibory Nowe?), Skrzeczeniec (kolonia), Stefanówka, Wylezin (Towarzystwo Kredytowo-Ziemskie /?/). To są miłe memu sercu miejscowości, o których milczą mapy, niestety.

Poza tym Andrzej zrobił adnotację osób i miejscowości rejonu szkolnego Szkoły im. Anieli i Wojciecha Górskich w Pamiątce. Zainteresowani mogą się zapoznać z jego pracą w kancelarii parafialnej.

W zasięgu rąk mam skorowidz ludzi, którzy żyli w okolicach *Kwitnącej Jabłoni*. Gros osób już nie żyje, niestety. Kiedy to czytam, to jakby ożywiały fiszki w mojej pamięci. Lubię sobie zajrzeć i czasami liczę lata, np. moich cioc, które nigdy nie zdradziły długości życia, choć szyły na miarę u krawcowej. Na tortach urodzinowych nie wyjawiały. Nie zdmuchiwały świeczek. Kiedyś to bywała dyskrecja. Dzięki Andrzejowi, już wiem i nie pałam ciekawością. To, co niedawno było słodką tajemnicą, ostatecznie ujawniło się i odsłoniło rąbek. Dobrze, że moje ciocie o tym nie wiedzą!

Większość osób, jakie znalazły się w skorowidzu, spoczywa na cmentarzu parafialnym w Rembertowie koło Tarczyna. Zamazane tabliczki na ich grobach ujawniają daty urodzin i śmierci. Niezależnie od płci. To, co było zakryte przed światem, stało się jawne, choć nie do końca. Do grobu człowiek zabiera też wszystkie tajemnice. Żywym pozostaje li tylko szacunek do wspomnień i żal, że kto żyje, ten musi umrzeć. I nic na to nie poradzimy.

Lista pamięci ciągle się powiększa. Samo życie, choć siostra śmierć, co rusz kogoś zabiera.

Andrzej pracuje nad cd. skorowidzu.

To z Andrzejem Horstem nieraz ruszałem z Ursynowa do okolic *Kwitnącej Jabłoni*. Odbywaliśmy peregrynacje wspomnieniowe. Nawzajem uzupełnialiśmy fiszki pamięci.

Bardzo sobie ceniłem podróże samochodowe z Andrzejem Horstem. Moim krajanem, którego jedna siostra mieszka na Ursynowie, zaś druga w Grójcu, a brat został na ojcowiznie w Kopanie.

Dobrze mieć takiego starszego kolegę historyka, który nieraz pogania mnie do roboty i szturcha, żebym się ruszył, tam gdzie zawiązano mój pępek.

Andrzej ma zacięcie do historii, geografii, polityki, sportu...

Mój starszy kolega historyk. Chwileczkę!, „Pasma. Tygodnik dla Ciebie” 2004, nr 29.

Jestem ze wsi!!!

Kiedy słyszę jak mój bliźni mówi, że w mieście jest źle, bo jest w nim za dużo *ludzi ze wsi*, to od zaraz zabieram głos i dodaję, że jestem ze wsi, choć tego nie widać, nie słysząc i nie czuć. Wprawiam w osłupienie tych, co myślą, jakby tu batem zaciąć. W ramach łagodnej perswazji przypominam, że wszystko, co ważne w kulturze polskiej, wyszło z prowincji, a potem się w mieście zdegenerowało i po trochu zniżyło. Gdzie się zaczęły *Figliki*, *Treny* i *Pan Tadeusz*? A *Chłopi*? O *Weselu* nie wspomnę, jak *Lalkę* Prusa kocham. Żeby być lepiej zrozumianym, uczulam adwersarzy, że najgorsza jest prowincja umysłowa. Cichną interlokutorzy, zamiast wejść ze mną w polemikę. Zdrowo ofukać, że nie mam pojęcia o imponderabiliach.

Pochlebia mi to, że jestem z wioseczki, choć mieszkam w Warszawie, w której nawet psy szczekają centralnie.

Przepraszam, że piszę o swoich reakcjach, choć to niezbyt dobrze o mnie świadczy. Ale ja rzadko się unoszę, ponieważ należę do ludzi nieśmiałych.

Przysiółek opuściłem, nie dlatego, żeby wysłuchiwać „komplementów”, ale z prozaicznych przyczyn, tj. kusiło mnie to, co się dzieje za widnokresem.

To, że nie dałem zgody na to, żeby wypatroszyć z siebie zdrowego rozsądku, zawdzięczaam tylko temu, że jestem z sadyby. Konkretnie z okolic *Kwitnącej Jabłoni*.

Nauczyciele i wychowawcy • Oczytani z okolic „Kwitnącej Jabłoni” (i nie tylko!) • Powrót do *Elementarza* Mariana Falskiego

Mija 38 lat jak pracuję w słowie. Wszystko zaczyna się u mnie od tego, że wpierw odnotowuję słowo i doglądam. Piszę wierszyk, felieton, notę, opowiadanie itd., itd. Lubię zajrzeć do słowników, żeby sobie przypomnieć słowa. Niektóre odnotowuję na luźnych kartkach i objaśniam, w ramach zadań domowych. Pochylam się nad gazetami z długopisem i bloczkiem karteczek samoprzylepnych.

Ponieważ zajmuję się antologiami, więc czytam wszystko interesownie. Od deski do deski, bo język gazet jest, w większości, drewniany. Dziennikarstwo olewa wszelki artyzm. A potem to staram się opisać, na swój sposób. Uprawiam liryczną leksykografię. Z lubością oddaję się temu zajęciu. Oczywiście, że konsultuję się z tymi, co posiadają wiedzę.

Dosyp słów to taka narracja do słów bliższych i dalszych, lokalnych i uniwersalnych. Pisanych i mówionych. Próbuję o nich coś opowiedzieć. Krótko i zwięźle. Nie zawsze to mi się udaje.

Mam słabość do słów, choć pochodzę z rodziny chłopsko-rzemieślniczej, gdzie obowiązywał język mówiony. Od wielkiego dzwonu pisano podania, czasami patykiem na ziemi coś kreślono. W okolicy *Kwitnącej Jabłoni*, poza moim Kierownikiem Szkoły Podstawowej im. Anieli i Wojciecha Górskich w Pamiętce, panem Józefem Chodeckim, co pisał szkolną kronikę (i nie tylko!), nikt nie zaczerniał papieru, tj. zapisywał. Na ogół pozwalano, żeby słowa czmychały w przestrzeń. Bez śladów.

Byłem uczniem szkoły Wojciecha Górskiego, pozytywisty i romantyka, surowego nauczyciela o gołęmbim sercu: „Dwóch rzeczy nie cierpię: śpieszyć się i gniewać, a taki jest mój los, że przez całe życie muszę to robić”. Bardzo mocno wzięłem sobie do serca jego słowa: „Gdybym umiał choć cząstkę tego, czego nie umiem, byłbym istotnie mądry”.

Jeżeli już jesteśmy przy nauczycielach, to jeszcze dopowiem, że bibliotekę pomógł mi ustawić polonista ze szkoły podstawowej z sanatorium dziecięcego *Na Górcie* w Busku-Zdrój, mgr Stanisław Grabski. Meloman z Buska oprowadził mnie po swojej bibliotece, pouczył, żebym do

książek dołączał recenzje oraz różne wzmianki. Żebym każdą książkę ubogacał. Kiedy miałem 15 lat, zaprowadził moją VIII klasę do krainy poezji, gdzie trzeba szerzej otwierać powieki albo mrużyć. A gdy przyjdzie czas, otwierać usta.

Wychowawca z łódzkiej bursy przy ul. Żubardzkiej mgr Ignacy-Igoń Gąsiorowski, polonista, poeta, w szkole średniej prowadził ze mną wieczorne rozmowy na temat doboru słów do wierszy. Delikatnie wskazywał na *źródlane kręgi*. A przed maturą w dedykowanym wierszu, przypomniał po łacinie: *sapiens et eloquens pietas (przyszłość zaczyna się dziś, a nie jutro)*.

Powinienem też wspomnieć „Starą Marcjanę”, panią Krajewską, która pracowała w kiosku Ruchu w Gołkowie i przynosiła mi bieżącą prasę dziecięcą: „Miś”, „Świerszczyk”, „Płomyczek”, „Świat Młodych”. Ilekroć mnie spotkała na drodze, nie omieszkła zapytać, co czytam. Ludzie ją wytykali palcami. Chodziła w fartuchu przewiązanym rzemiennym paskiem. Wyglądała jak franciszkanka albo dominikanka. Podobno przeczytała wszystkie książki, jakie były w bibliotece w Tarczynie. Zawsze nosiła w siatce lektury nadobowiązkowe owinięte w gazety. Miała takie mądre oczy. Zginęła w drodze na kolejne zebranie partyjne. Ona była jak nienasycony czytelnik z okolic *Kwitnącej Jabłoni*.

W szpitalu neuropsychiatrii dziecięcej w Zagórzku koło Starej Miłosnej, wychowawczyni pani Eugenia Kawecka (*Ciocia Enia*) robiła wszystko, żebym poprawnie czytał na głos. Byłem w jej trupie aktorów szpitalnego teatru. Nieraz dobrze dostawałem po uszach, kiedy połykałem końcówki wyrazów i *mazurzyłem*. Była bardzo surowa dla lapsusów i błędów. *Ciocia Eni* robiła wszystko, żebyśmy byli zakochani w języku polskim, w jego urodzie.

W swym życiu spotkałem ludzi bardzo czułych na słowo. Oni do mnie wracają, kiedy czytam gazety i książki. Nieraz ich wspominam przy radosnych okazjach. Byli jak ten sad Mickiewicza (vide: *Pan Tadeusz*). Dzięki nim zrozumiałem, że odcytani ludzie to jest sól życia. Że w kałuży nie ma głębi. Że z błota nie sposób robić baniek mydlanych. Ci, którzy mówią i piszą, że w Polsce Rzeczypospolitej Ludowej (PRL) głupimi siali, powinni się popukać w głowę gumowym młotkiem i wychłostać paskiem to miejsce, gdzie szlachetna część pleców się kończy. W Polsce po 1989

roku nagminnie szasta się słowem, i nie tylko! Jest coraz mniej tych, co zachęcają do myślenia.

Ponad 50 lat uczę się słów i ciągle czuję się jak uczeń, który otworzył *Elementarz* Mariana Falskiego. Z uczennicą Alą i psem Asem.

Dosyp słów; Nauczyciele i wychowawcy; Oczytani z okolic „Kwitnącej Jabłoni” (i nie tylko!); Powrót do „Elementarza” Mariana Falskiego. Chwileczkę!, „Pasma. Tygodnik dla Ciebie” 2010, nr 27.

Bluzka z Powstania Warszawskiego

Moja matka ma 88 lat. Z każdym dniem traci pamięć. Już prawie nie słyszy, jak się do niej mówi. Żyje we własnym świecie. Mieszka w Kopanie. W tzw. okolicach *Kwitnącej Jabłoni*. Za to doskonale pamięta, co było 1 sierpnia 1944 roku. Miała 18 lat, kiedy w Warszawie wybuchło powstanie. Tu się znalazła, bo pracowała jako pomoc domowa u lekarza weterynarza. Jej chlebodawca był miły, a „jego żona to była taka elegancka pani”, mówi. Matka opowiada, że w czasie powstania zobaczyła na niebie, jak samoloty zrzucały spadochrony. Dodaje, że było to w okolicach ul. Młynarskiej, Żelaznej, Chłodnej. Potem na Koszykach [nieistniejąca hala targowa na ul. Koszykowej] kupiła sobie dwa kliny płótna ze spadochronów. Z tego płótna po wojnie jej siostra, moja ciocia Wandzia Ostrowska z Kobyłkina koło Grójca, uszyła dwie bluzki. Bluzka to ślad z tamtych czasów. W tej bluzeczce chodziła długie lata. Zakładała ją, gdy wyruszała do miasta albo do kościoła. Dzisiaj ją trzyma w gnieździe szafy. Na pamiątkę.

Z latami moja matka coraz mniej mówi o tym, co się stało 1 sierpnia 1944 roku, choć ten dzień dobrze pamięta. Gdy nadchodzi rocznica Powstania Warszawskiego, to milczy i płacze. I nie sposób jej uspokoić.

Jedzenie z nieba. Żółta bluzka ze spadochronu. Opowieści o powstaniu, „Magazyn Świąteczny. Gazeta Wyborcza” z 10-11 sierpnia 2013 roku, nr 186.

Bluzka z Powstania Warszawskiego, „Tygodnik Olecki” 2015, nr 30. Zdjęcie bluzki ukazało się jako ikonografia do felietonów.

Bluzka z Powstania Warszawskiego. Ludzie listy pisać, „Angora. Tygodnik, przegląd prasy krajowej i światowej” 2014, nr 32.

Matka bluzkę przekazała w darze wraz z prawami własności Muzeum Powstania Warszawskiego przy ulicy Grzybowskiej 79 w Warszawie. Jak napisano w protokole (Nr P/8944/17), „przekaz za pośrednictwem córki – Bożeny Luterek”; pismo z 7 grudnia 2017 roku. W rubryce pn. historia przedmiotu wpis: *Tkanina w kolorze żółtym, guziki nieorginalne*

Cytuję expressis verbis.

Ulica czyli awans polnej drogi

Artystki. Tak mawiano na Marcjanę Krajewską, która miała córkę Julię oraz wnuczkę Tereskę. Julia pracowała w kasie biletowej na stacji wąskotorowej Pawłowice–Kopana. Kilka razy dziennie musiał przyjść, żeby otworzyć małą kanciapę z okienkiem, w której przechowywała nieduże beżowe kartoniki biletów. Kiedy szły te trzy niewiasty poboczem drogi, co była kocimi łbami, to ludzie gadali pod nosem, że *idą artystki*.

„Stara Marcjanna” zawsze nosiła granatowy fartuch, zapięty rzemiennym paskiem. Z kieszeniami. Na głowie miała chusteczkę. Jej twarz była pomarszczona jak orzech. Pracowała w kiosku RUCH-u w Gołkowie. Cóрка Julia Kędzior miała zapleciony długi warkocz i sukienkę, którą wiatr potrafił tak wytarosić, że widać było hałeczkę i pończoszki. Była mocno umalowana, wyperfumowana i blada. W domu na pewno posiadała duże lustro. Tereska, dziewczynka. Brunetka. Śnięta i nieobecna. Wyjęta na brzeg, jak siostra Świtezianki. Wiem, co piszę, bo nieraz spotykałem Tereskę, która dyskretnie się uśmiechała, i zasłaniała jabłkowitym rumieńcem. Dziwnie układała usteczka. Potrafiła doskonale je złożyć w *ciup*. Trzy kobiety szły gęsiego. Na stację PKP, która należała do wsi Stefanówka (sic!). Na pewno miały one coś z radości.

„Stara Marcjanna”, gdy mnie spotkała na drodze, wypytywała z gazet i lektur nadobowiązkowych. Odpowiadałem. Kiwała głową, dobrotliwie mrużyła oczy. W ręku trzymała siatkę, w której widziałem książki obłożone szarym papierem, z biblioteki w Tarczynie. Wieść się niosła po wsi, że przeczytała wszystkie druki zwarte z biblioteki i szuka kolejnej książnicy w okolicy. Znała kilka języków, tak mówili. To była taka pociecha Gutenberga. Przypomnę, że w okolicach *Kwitnącej Jabłoni* ludzie mówili, rzadko ktoś coś zapisywał. Z czytaniem książek było gorzej, w pociągu widziało się ludzi z gazetami, głównie kobiety albo uczniowie.

Matka powiedziała mimochodem, że pani Marcysia była niezaradna. Podobno nie potrafiła usmażyć jajecznicy. Nie wiem ile w tym prawdy, bo nigdy z nią nie rozmawiałem na temat żołądka, tylko o duchowych sprawach, ale nie w wymiarze religijnym, bo była agnostykiem utopijnym. Jeździła do Tarczyna na zebrania partyjne. W drodze na takie spotkanie, została śmiertelnie potrącona przez samochód, co nie przeszkodzi-

ło, że pochowano ją na cmentarzu parafialnym w Rembertowie koło Tarczyna. Tak zdecydował lud. O tym gdzie indziej pisałem, więc nie będę się powtarzał. Jej grób wyróżnia się, bo jest zagłuszony zielskiem, które rozsiał wiatr.

Julcia z Tereską chodziły drogą, póki nie zlikwidowano ciuchci. Potem jeździły autobusem z przystanku PKS w Pamiątce. Obok nich pojawiał się u boku Julci absztyfikant. Wieczorami wracali z Pamiątki do Kopanej. Adorator był muzykiem. Po drodze grał na gitarze i śpiewał piosenkę maluchów:

*Ta Dorotka, ta malusia, ta malusia,
Tańcowała dokolusia, dokolusia,
Tańcowała ranną rosą, ranną rosą
I tupala nóżką bosą, nóżką bosą.*

*Ta Dorotka, ta malusia, ta malusia,
Tańcowała dokolusia, dokolusia,
Tańcowała i w południe, i w południe,
Kiedy słońko grzało cudnie, grzało cudnie.*

*Ta Dorotka, ta malusia, ta malusia,
Tańcowała dokolusia, dokolusia,
Tańcowała wieczorami, wieczorami,
Kiedy słońko za górami, za górami.*

*A teraz śpi w kolebusi, w kolebusi,
Na różowej swej podusi, swej podusi,
Chodzi senek koło płotka, koło płotka,
Cicho... bo tu śpi Dorotka, śpi Dorotka.*

Wieczór. Po lewej i prawej stronie sady. Polna droga. Oryginał z gitarą akustyczną i dwie niewiasty. Z długimi włosami. Blondynka z odrostami i brunetka. Matka i córka. Ich luby śpiewa. Pieśń niesie się po rosie. Ujadają psy. Ktoś, kto ich mijał, miał zapewne uśmiech na ustach, bo nikt tak się nie zachowywał w Kopanie. Ani w Pawłowicach, Wylezienie, Ra-

ciborzach, Kawęczynie, a nawet na Szczerbówce, Księżowoli, Koceranach i Rembertowie. Szli. Śpiewem skracali sobie drogę do *pałacu*.

Tereska w 1971 roku ukończyła VIII klasę w Szkole Podstawowej imienia Wojciecha i Anieli małżonków Górskich w Pamiętce. Po maturze wyszła za mąż. Z matką wyjechały do Warszawy i ślad po nich zaginął.

Drogę, którą przemierzali z Pamiętki do Kopanej, przemianowano na ulicę Wojciecha i Anieli Górskich, choć to powinno być ul. Starej Marcjanny, która latami udeptywała polny trakt, na którym był piasek i trafiał się kamień.

Piszę o tym, żeby potomność wiedziała, jak to się wybiera nazwę ulicy, po której chodziłem do szkoły podstawowej. O tym nawet napisałem wierszyk pt. *Ballada o drodze z Kopanej do Pamiętki (Zapiski i ballady, Warszawski Ośrodek Kultury dawniej Szpital Świętego Ducha, Warszawa 1992)*. Nie będę się wygłupiał i siebie cytował. Upominam się nie dlatego, że taki szlachetny i bezinteresowny. Po prostu, mam dobrą pamięć, więc nie lubię oszczędzać na prawdzie. Nie jestem jak gazeta, która żyje z kłamstwa, choć nic nie mam do prasy. Od lat piszę na luźnych kartkach. Nie używam brudnopisu. To tak na marginesie. Zamiast błysku. Pointy.

Kopana pod wersalikiem; Przypisek; Topola; D.O.M. a dom; Podarta złość; Dwa listy, ale jakie!; Ulica, czyli awans polnej drogi, „Kultura Wsi. Kwartalnik popularyzatorski Centralnej Biblioteki Rolniczej” 2015, nr 5.

Moi krajanie z Tarczyna

1. W czerwcu 2015 roku pan dr n. med. Jerzy Golański przesłał do „Gazety Wyborczej Stołecznej” książkę pt. *W dawnym Tarczynie*, Warszawa 2001, ss. 96, z prośbą, żeby mi przekazano. Przesyłka doszła po dwóch tygodniach, z ul. Czerskiej 8/10 do ul. prof. Marii Grzegorzewskiej, od strony ul. Rosoła. Ponad pięć kilometrów, a szła wolniej niż grójecka ciuchcia. W druku zwartym Autor napisał dowcipną dedykację.

Po wirtualnych peregrynacjach, odnalazłem pana dr. Jerzego Golańskiego, który powiedział, że „jesteśmy krajanami” i dziwi się, że nie piszę do dwumiesięcznika „Wiadomości Tarczyńskie”, które wydaje Gminny Ośrodek Kultury w Tarczynie. Przyznałem, że kiedyś zadzwoniłem do Niezależnego Miesięcznika Regionalnego, żeby porozmawiać z panem Alfredem Kohnem, ale nie udało mi się *go złapać*. Potem nie zwracałem głowy panu Alfredowi, który *goni w piętkę*. Po rozmowie przemyślałem sprawę. Będę pisał dla ziomków z okolic *Kwitnącej Jabłoni*. Urodziłem się w Grójcu, mieszkalem w Kopanie, w Tarczynie kilka razy bywałem, więc nabyłem praw do tego, żeby sygnąć garść słów. Poprosiłem syna Pawła Piotra, który ma smykałkę do plastyki, żeby wykonał stosowną winietkę. Na dobry początek.

2. Gdzie mi tam do *Tarczynian*, jakie zostawił tata pana dr. Jerzego, dr Jan, i mama, pani Seweryna, magister farmacji, która знаła wszystkich, bo do apteki trzeba iść, nie tak często jak do sklepu, ale człowiek musi uzupełnić domową apteczkę i poradzić się, bo choroba czyha na szlachetne zdrowie.

Pan doktor wewnątrz książki skreślił długopisem, dobrze rozpisany, dedykację, zaznaczając, że jestem z „Pamiętki poetą i pacjentem lekarzy”. Cztery słowa, jak strony świata, są lapidarnym komentarzem do tego, co przeszedłem w życiu, czyli kapitalik: SZKOŁA W PAMIĄTCE – POEZJA – LEKARZE – PACJENCI. Bardzo trafnie to ujął. Z dokładnością do ostatniej kropli lirycznej. Nakrył mnie doktor nauk medycznych na tym, a może nawet przyłapał, że mam słabość do służby zdrowia i tych, co pracują na niwie pedagogicznej. Do szkoły w Pamiętce chodziłem z przerwami, zimę spędzałem daleko od domu, tj. w sanatorium. Wiosną przejeżdżałem, kiedy w kwiatkach tonęła okolica *Kwitnącej Jabłoni*. Śnieżno-

różowe płatki durzyły naszą stronę. W pasiekach czyli pszczelnikach, aż wrzało. Jeszcze wtedy nie znałem passusu, że „(...) Pszczoły wysysają to tu, to tam różne kwiaty, ale potem robią z nich miód, który jest ich; to już nie tymianek ani macierzanka. Tak samo niech uczeń przerobi i stopi w jedność cząstki pożyteczne u drugich, aby z nich uczynić dzieło całe własne, (...)”¹. Nie wiedziałem, że „Miód to publiczne roboty pszczół” (Eurypides). Wracalem do domu w Kopanie, do sadu dzieciństwa. I musiałem dobrze kombinować, żeby nie wyskoczyły łzy z łódeczki powieki. Przecież chłopcy to mali mężczyźni, którzy uczą się przez całe życie, żeby łzy nie wyskakiwały z łódeczek powiek. Beksa to mogła być szmaciana lala albo dziewczynka. W dzieciństwie mamy różne przytulanki, które nas strzegą przed tym, co nas przerasta. Szedłem z ojcem poboczem drogi. Po lewej i prawej stronie były sady, wrzynające się w szczere pola, w miedze albo łąki. Ta Biel zaróżowiona padała na pobocze łysej ściężynki; była jak szlaczek ze szkolnego zeszytu. Proszę nie zapominać, że uczyłem się z *Elementarza* Mariana Falskiego, który był tak nasączony poezją i przygodami. Od młodych lat strzegli mnie lekarze i siostry. Nauczyciele i wychowawcy wykorzeniali wszelkie *dziczki* (czyli *wilki*) i szczepili, żeby odbiły szlachetne odrosty. Do domu wracałem o kulach. Zadumany nieco i nieśmiały.

Kiedy szedłem do szkoły podstawowej im. Wojciecha i Anieli małżonków Górskich w Pamiętce, to zanosilem panu kierownikowi Józefowi Chodeckiemu arkusz wypisu szkolnego. On mówił, że to będzie honorował i przepisze na cenzurę. Prosił, żebym nie przychodził na lekcje. A ja pojawiałem się. Przebierałem nogami i kulami, żeby na czas zdążyć albo zabierał mnie z drogi „Nyską” pan Jan Budzik z PGR Pawłowice. Stałem na winklu, pod wisienką (dzisiaj w tym miejscu styka się ul. Działkowa z ul. Pawłowicką).

Na koniec roku szkolnego mama mówiła, że świadectwo odbierze moja starsza siostra Czesława Bożena. O tym napisałem przed laty opowiadanie pt. *Odwrotna strona*.

Potem następowały wakacje. Lipiec, sierpień. Byłem w domu. W sadzie, gdzie duszno i tajemniczo. Coś mnie gnało do lasu albo na łąki, albo na miedze, wcięte w szczere pola. Odwiedzałem dziadka Szczepana i babcię Zofię, którzy byli przypisani do ziemi. Na dobre i złe. Ich warsztat pracy znajdował się pod dachem otwartego nieba. Zaglądałem do stry-

ja Bolka, co był taki niezaradny i stary od kłopotów, ale z wesołym smutkiem. Jego żona Lucyna wyglądała jak zasuszony patyczek; opowiadała mi w zapuszczonym ogródku niestworzone rzeczy, tj. na granicy normy i patologii. Ożywiała się i była jak podpalony gołębnik. Uczulała mnie, że od strony sadu podchodzą kochanki i różne bezwstydnice. Ja jeszcze wtedy nie znałem wysublimowanych wierszy Bolesława Leśmiana z cyklu *W malinowym chruśniaku*. Dziś bym powiedział, że moja stryjenka, pochodząca z wioski Kotorydz pod Tarczynem, dybała, żeby seksizm nie opętał brata mojego świątobliwego dziadka Szczepana, który ledwo co trzymał się na powierzchni. Seks to był kogut na podwórku, no i wróble, które mają takiego bzika, jak kaczor.

Czasami wołał mnie z warsztatu ojciec, bo nie mógł sobie z czymś poradzić. Byłem takim dodatkowym imadłem, co mocno trzyma i nie popuści.

Poza tym w sezonie zbiorów zrywałem szypułki truskawek, a potem ślęczałem nad krzakami porzeczki. Czerwonej, bladej i czarnej. Dbałem o to, żeby króliki miały co chrupać. Podrzucałem im marchewki, mlecz z koniczyną oraz suchy chleb.

Czytałem pod pachami drzew gazety i książki. A w sierpniu, pod pretekstem, że idę obejrzeć telewizję w świetlicy PGR Księżowola, drałowałem, żeby zobaczyć, co się dzieje w szkole w Pamiętce. Zerkalem na ścianę głogów, co za sosnami oraz na (zarośnięte) szkolne boisko. Z lubieźnym zielskiem. Widziałem wysokie czereśnie *pamiętkowskie*. Pamiętka mi zawsze imponowała. Tu zamieszkać, to było marzenie, które trzymało mnie długie lata.

A przecież Pamiętka to były dwa domy. Duża wiejska szkoła i nieopodal budynek z cegły, w którym mieszkaly rodziny Edwarda Reka i Wacława Sankowskiego. Pan Edward miał fikuśny traktor, który sam sobie skręcił. Mój tata często do niego dorabiał części z żelaza i mosiądzu. To był bardzo pracowity rzemieślnik, który liczył wydatki ołówkiem źle zatemperowanym. Pan Wacław był rzemieślnikiem nagej igły, która obszywa cały świat. Szył na miarę niejedne moje spodnie. Dwa domy w Pamiętce. Szkoła i dom zwany „domem dróżnika”. W szkole była biblioteka. Małeńki pokój z książkami obłożnymi szarym papierem. Z czułością zerkalem w górę, gdzie w mansardach mieszkali nauczyciele. Samotni albo z rodzinami.

3. Rozpisałem się, bo pan doktor pierwszy zaczął i skreślił, żem „z Pamiątki”. To była taka kontrolowana nieścisłość. Fajnie pan doktor nauk medycznych powiedział, że „ta Kopana” trochę do mnie nie pasuje. Że jest jak siniak, którego trzeba rozmasować. Kopana to wdzięczny temat. Nie chcę tego nazywać *małą ojczyzną*, bo potem trzeba się tłumaczyć z *dużej ojczyzny*.

Wasilij W. Rozanow pisał m.in.: „Tylko w starości poznajemy, że «trzeba było dobrze żyć», w młodości nawet nie przychodziło to do głowy, w wieku dojrzałym również. A w starości wspomnienie o dobrym uczynku, o serdecznym stosunku, o delikatnym stosunku, to jest jedyny «gość jasny w pokoju» (duszy)”.

Poprawiłbym to nieco. Młodość to jest kipisz dzieciństwa. Pożegnanie baśni.

Dopiero po latach rozumiemy, że to, co dawniej wydawało nam się takie złe i nieprzyjemne jak prawda, na dobre wychodzi. Ze wspomnieniami się rośnie, a z marzeń wyrasta, jak z butów.

Będę pisał, bo tak zdecydowali moi krajanie z Tarczyna: pan dr n. med. Jerzy Golański i pan Alfred Kohn, dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury w Tarczynie i szef „Wiadomości Tarczyńskich”. Oczywiście, że nie będę się szarogęsił. Jestem li tylko pastuszkim zielonych, niebieskich i żółtych gęsi, co chodzi po rosie.

Jak się dobrze zawoła, to przyjdą słowa. Postaram się, żeby felietony nie były pastewne. Czyli będę kręcił loki na... łysinie i bieżnikował. Trzeba komponować inaczej, żeby to się dało czytać. To nie jest łatwe zadanie, ale pomalutku też można daleko zajść, póki ma się cel, i nie zasłania sobą.

¹ *O wychowaniu dzieci*, [w:] Michel de Montaigne, *Próby. Księga pierwsza*, przełożył: Tadeusz Żeleński (Boy), opracował, wstępem i komentarzem opatrzył: Zbigniew Gierzyński, Biblioteka Poezji i Prozy, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1985.

Moi krajanie z Tarczyna. Felietony, „Wiadomości Tarczyńskie. Niezależny Miesięcznik Regionalny” 2015, nr 5/8.

Między „Tygodnikiem Oleckim” a „Wiadomościami Tarczyńskimi”

Tarczyn od Olecka dzieli 304 kilometry. Z Ursynowa do Olecka jest 285 km. Z Tarczyna do mnie 38, 1 km. Za tymi tysiącami metrów kryje się coś więcej. Otóż tak się składa, że współpracuję z dwoma tytułami prasowymi. Z „Tygodnikiem Oleckim”, założonym w 1997 roku, który wydał ponad 900 numerów; wydawcą jest Agencja Promocyjno-Wydawnicza WIR. Bogusław Marek Borawski jest jednoosobowym redaktorem, ogłoszeniobiorcą, kolporterem. Wszystko trzyma w garści, czyli wiele srok na raz. Oby tylko z tym nie przesadził.

W 2015 roku, za sprawą pana dr n. med. Jerzego Golańskiego, publikuję felietony w „Wiadomościach Tarczyńskich”. Gdyby nie pan doktor, byłyby mieszkaniec Tarczyna, pewnie bym nie wysłał do „WT” małych form literacko-dziennikarskich.

Przypomnę, że tytuł, opatrzony ISSN 1233-8869, ukazuje się od 2008 roku. W ciągłej numeracji ma 238 numerów. Na jego winietce figuruje napis: Niezależny Miesięcznik Regionalny. Egzemplarze są bezpłatne. Redaktorem naczelnym i technicznym jest pan Alfred Kohn, szef Gminnego Ośrodka Kultury w Tarczynie. Szef pisma pisze wiersze, redaguje książki, albumy fotograficzne. Robi wszystko, żeby ożywić okolicę *Kwitnącej Jabłoni*. To typ regionalisty, który poszerza granice myślenia, tj. za widnokręś. Jedni wyciskają soki, drudzy robią to, co do nich należy. Nie przeszkadzają.

Dwa tytuły pasowe. Oba formatu A4. „TO”, założony w 1997 roku, z ISSN 1505-0246, ma 20 stron i kosztuje 2 zł. Wydawany jest na papierze o gramaturze ponad 80 g/ m². Ukazuje się regularnie. W środę.

„WT” pojawia się w numerach podwójnych albo potrójnych. Ma 28 stron. W kolorze. Od pierwszej do ostatniej strony. Egzemplarze są bezpłatne. Gratis też ma swoją cenę.

Pod winietą *FELIETONY*, wykonaną przez mojego syna Pawła Piotra, staram się pisać tak, żeby nie było jak w *prawie dzemu malinowego*, tj. im szerzej kultura się rozprzestrzenia, tym staje się cieńsza. Ja bym to poprawił i maliny zamienił na powidła śliwkowe. Dlaczego? Bo maliny kojarzą się z *wpuszczaniem* kogoś w tarapaty; mówiąc jak były prezydent

Lech Wałęsa – w *samych skarpetkach*. A powidła mają to do siebie, że równo się rozsmarowują. A poza tym moje pisanki są jak śliwka, co wpadła do kompotu, więc z jej pestki rzadko wyrośnie drzewo. Póki co, ślę e-maile do Tarczyna, do którego należy moja wioseczka Kopana, oraz do Olecka, gdzie byłem kilka razy. Piszę, bo wieś i miasto czeka. Staram się nie zawieść gmin. Dzięki temu mam twardy orzech do zgryzienia, a nie ogryzek, obierzyny i pestki. Gimnastyka dziennikarsko-literacka też ma swoje dobre strony. Ćwiczenia powiek to troszeczkę za mało, gdy się weszło w wiek 60+.

List od mojego krajana, dr n. med. z Tarczyna

Pan dr n. med. Jerzy Golański jest moim krajaniem z okolic *Kwitnącej Jabłoni*¹. To jest świetny lekarz, regionalista, znawca moich stron (*W dawnym Tarczynie*, 1991, *Z dziejów Tarczyna*, 1997). Dokumentalista i archiwista. Komentator z narracją w dobrej szacie literackiej. Panu doktorowi wysyłam egzemplarze „Tygodnika Oleckiego”, dzięki temu znam jego opinię czytelniczą. Przytoczę fragment większej całości z listu, który jest napisany takim stylem, że to się czyta z uśmiechem na ustach. Oto rąbek epistolarny: „(...) Z dużym zainteresowaniem przeczytałem wszystkie Pańskie felietony w «Tygodniku Oleckim». Moim skromnym zdaniem, bo przecież nie jestem krytykiem literackim, są na bardzo wysokim poziomie, okraszane wieloma cytataми z innych znaczących publikacji, co świadczy o rozległej i analitycznej wiedzy autora dotyczącej literatury. Mówiąc po prostu, czuje się, że nie tylko pisanie, ale i czytanie, jest jedną z Pana pasji. Podziwiam również pracowitość (3 felietony w czerwcu 2015 r.). Moja wiedza poszerzyła się dzięki tym felietonom o poznanie sylwetki poety Wacława Ewarysta Klejmonta. Pismo «Radar», oczywiście, czytałem jako chyba kilkunastoletni chłopak, było dla mnie źródłem interesujących wiadomości i chyba oknem na świat. Zaciekawilo mnie też spotkanie Pańskie na ulicy z Tadeuszem Konwickim², znakomitym pisarzem i reżyserem. Mam podobne wspomnienie. Trzy razy w tygodniu pracuję w Spółdzielni Lekarskiej «ALFA» na ul. Ordynackiej. W czwartek przyjmuję rano między 9³⁰ a 11⁰⁰. Przez wiele lat, wychodząc z pracy, spotykałem pana Tadeusza Konwickiego w towarzystwie nieznanego mi pana w średnim wieku, jak szli na ul. Okólnik przez Ordynacką, potem Nowym Światem, jak się później dowiedziałem, szli do kawiarni Bliklego lub do kawiarni «Czytelnika». Pan Tadeusz był zawsze ubrany w zieloną kurtkę, mimo prawie 80-tki, zawsze szedł energicznym krokiem. Któregoś dnia, chyba gdzieś przed 2 laty, wychodząc z pracy, wręcz wpadłem na obu Panów. Przeprosiłem ich i rozpocząłem krótką rozmowę, że poznałem mistrza, że jestem lekarzem, że go często widuję i chciałbym go prosić o autograf. Powiedział, że na ulicy tego nie robi, ale chyba dla mnie zrobi wyjątek, ale nie ma na czym złożyć podpisu. Wtedy ja wyjąłem z teczki blankiet recepty i mistrz złożył swój pod-

pis. Mam tę receptę w moim archiwum do dzisiaj. (...) Warszawa 29 07 2015”.

Cytuję passus, nie dlatego, żeby posunąć się za daleko, czynię to, bo nadarza się okazja, żeby przypomnieć to, co pisał Wasilij W. Rozanow: „Gutenberg żelaznym językiem oblizał całą literaturę i zginęła w niej intymność rękopisu”.

¹ *Moi krajanie z Tarczyna. Felietony*, „Wiadomości Tarczyńskie. Niezależny Miesięcznik Regionalny” 2015, nr 5/8.

² *Wacław Ewaryst Klejmont (6 kwietnia 1947-13 maja 2011). Suwalszczana*, „Tygodnik Olecki” 2015, nr 23.

Mędzy „Tygodnikiem Oleckim” a „Wiadomościami Tarczyńskimi”; List od mojego Krajana, dr n. med. z Tarczyna. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2015, nr 32.

Ku Pamiętce (1)

1. Szkoła w Pamiętce. W 2015 roku przypadają dwie okrągłe daty: 80-lecie śmierci Wojciecha Górskiego (23 IV 1849-11 II 1935) i 90-lecie otwarcia szkoły powszechnej imienia Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce.

Biorąc Pamiętkę z obrotem Ziemi wokół Słońca, można pokusić się na kartograficzną metryczkę: wschód – Kopana, zachód – Księżowola, południe – Grójec, północ – Tarczyn.

Obok trasy E77, zza plecami lasu mieszanego, mieści się placówka oświatowo-wychowawcza, która promieniuje na okolicę *Kwitnącej Jabłoni*. Przypominam o tym, bo pamięć jest krótka, a wdzięczność nie za długa. Dobrze, że są takie podarunki, co chronią od zapomnienia.

Romantyk i pozytywista z Lekarzyc pod Grójcem o tym zakątku pisał: „(...) szkółkę w Pamiętce uważam za młodszą siostrę Gimnazjum pod wezwaniem Ś-go Wojciecha. Chcę z niej zrobić typ szkoły powszechnej godny naśladowania”.

Starszą siostrę zburzono podczas Powstania Warszawskiego, młodsza siostra ucierpiała, ale nie tak. Hitlerowcy strzelali do tablic, ławek i okien jak bandyci. Zabili pierwszego kierownika szkoły, pana Ryszarda Zrobka.

Po 2. wojnie światowej szkoła otrząsnęła się z traumy. Jest wiekową panią, dla której zachowujemy szacunek i wzruszenie. Jak do upominków, co mają wartość sentymentalną, a więc są bezcenne.

Szkółka jest po kilku liftingach, więc nie wygląda na swój wiek. Jest w świetnej kondycji. Kiedy przekroczymy bramę, to mijamy dąb Wojciech. Na jego liściach są wypisane szkolne notatki. Od 1925 roku. W jego korzeniach jest zakopany akt erekcyjny placówki edukacyjnej. Pamiętkowski dąb – niemy świadek tego, co było i zostało dla moich ziomków od Wojciecha Górskiego. Napisać, że mamy dług wdzięczności, to za mało. Taki patron zobowiązuje, żeby przypominać o tym, jakiego to pedagoga wydała ziemia grójecka. Dzięki niemu na wsiach jest znośniej i jaśniej, i już tak nie straszno. Świadomość, że się ma takiego krajana, dodaje otuchy i siły. Wojciechem Górskim można się pochwalić, szczególnie przed malkontentami. To był ktoś, kto miał to, co zwie się *łaską*

stanu. Mówiąc prościej: był nauczycielem, wychowawcą, który uczynił z polskiej szkoły miejsce, gdzie uczono i wychowywano. Mój ziomek to był mądry człowiek i dowcipny, a to nie jest znów takie częste. Jak świat długi i szeroki. Powiem więcej, mocno stał na ziemi: „Wybór zawodu jest rzeczą ważną, lecz wybór przyszłej towarzyszki życia jest jeszcze ważniejszy, gdyż błąd popełniony jest jeszcze groźniejszy, bo najczęściej nie może być naprawiony bez krzywdy dla drugich, częstokroć drogich sercu naszemu osób. (...) Pamiętaj, że nie masz prawa żądać od swej ukochanej, czego jej sam ofiarować nie możesz. Jeśli chcesz, by twa oblubienica weszła w twój dom z czystym sercem i nieskazitelną wyobraźnią, zachowaj swe serce i myśl swoją w nieskalanej czystości. To nie frazes – to zasadniczy warunek miłości w rodzinie”.

2. Na bieżąco informowałem Wacława Klejmonta, co się dzieje w okolicach *Kwitnącej Jabłoni*. Latami to trwało.

W 1996 roku wydałem nakładem własnym druk zwarty pt. *Pamiętka*, w którym opublikowałem m.in. *Myśli Wojciecha Górskiego* oraz *Kronikę Szkoły zaprowadzoną przez Józefa Chodeckiego*. Jeden z 80. egzemplarzy podesłałem Wacławowi, który na widokówce skreślił: „Drogi Czesiu, serdecznie wdzięczny Ci jestem za osobliwą «Pamiętkę» o Pamiętce na pamiętkę spisaną i mi – między innymi – darowaną. Między innymi... żyjemy, uczymy się, przeżywamy dobro i zło miejsc i ludzi sercu bliskich. Nasze wyspy szczęśliwe, Arkadie, Utracone Raje kryją się – między innymi – w skrótach, brzemiennych wykrzyknikach i między ludzkich niedopowiedzeniach, nadpowiedzeniach takich zapisków jak Śp. Twojego Kierownika SZKOŁY, wiernej swojemu PATRONOWI, mimo dookólnego niedowiarstwa. Szkoła oparta o Kościół, Kościół wspierany przez Szkołę – to był naturalny fundament kultury narodowej, a nie: mur-beton! Warto o tym myśleć przed różaną drogą do Europy na kolejnych stacjach myśli Wojciecha Górskiego, myśleć, czynić i wierzyć, bo tylko wtedy «cogito, ergo sum» i myśl że się w sobie mieszczą – jak pisał i czynił słowami – Mieczysław Czychowski. Myślmy, nikt nie woła. Wacław Klejmont, Olecko, 4 lipca 1996 roku”.

3. Wacław z Białolasu nie był u mnie w domu, więc nie mógł zahażyć o Pamiętkę. Do mojej szkoły podstawowej zaprowadziłem Michała Fludra, wychowawcę z sanatorium dziecięcego PKP *Leśny Dwór* we Wleniu, powiat Lwówek Śląski. Było to jesienią 1986 roku. Michał wziął

na drogę szkicownik, a ja byłem jego *cicerone*, powiedzmy. Oczywiście, że przez cały dzień odbyliśmy peregrynację artystyczną. Poszliśmy do Pamiątki. Wdepnęliśmy na teren szkoły. Stanęliśmy w sadzie pod pachami czereśni *pamiątkowskich*. Michał szkicował, a mi buzia się nie zamykała, ale czego to się nie robi dla ludzi, których darzymy serdecznością. On był zachwycony Pamiątką (i nie tylko!). Potem Michał z Wlenia przesłał długi list, kiedy „lasy z rumieńcem palonych brązów, ugrów i czerwieni”. Pisał m.in.: „A Twoja szkoła Pana Górskiego, tak elegancko przyozdobiona starodrzewem, że nie wiem, co piękniejsze, czy dąb czerwony, czy sosny na poboczu, czy wierzby pod płotem. Chciałoby się takie szkoły oglądać, nie tylko na Ziemi Grójeckiej, obok Tarczyna i spijając soki wieloowocowe zamiast bełtów i kwaśnego piwa”.

Za kilka miesięcy Michał przywiózł mi prezent. Starą ramę okienną, gdzie w miejsce wybitych szybek wstawił 16 miniatur kolorowych. Jedno okno było poświęcone Kasztelanii Wleńskiej, zaś drugie okolicom *Kwitnącej Jabłoni*. Byłem oczarowany. Wśród obrazków jeden był z motywem Pamiątki. O tym napisałem 16 *zapisków wleńskich*. Na tej miniaturce widać gmach szkolny imienia Wojciecha i Anieli Górskich w Pamiątce, który zasłania jesienny dąb Wojciech – niemy świadek jego wzlotów i upadków. Z Michałem jeszcze zdążyliśmy zobaczyć mury szkolne w okrasie jesieni, z sadem, gdzie rosły słynne, długonogie czereśnie *pamiątkowskie*. Zbiegło to się, kiedy zaczęły łamać się kolory, a „jarzębiny (...) spletały dwie pory (jesień z latem)”.

4. Przeczytajcie, jak wspomina pani Marianna Jakubowska, była nauczycielka z Pamiątki: „(...) odkąd pamiętam, Szkołę otaczał i otacza do dziś las sosnowy. Przy bramie rosły srebrzyste świerki, które wiatr powrywał, pousychały, jest ich już tylko kilka, od szosy szpaler z ałyczy i dużo bzu. No i sad czereśniowy i jabłoniowy, który posadził Komitet Rodzicielski. Każdy z nauczycieli miał na własny użytek działkę, na niej 15 drzew czereśniowych. Sad jabłoniowy i czereśniowy też, należał do Kierownika Szkoły. Mieliśmy też ogródki warzywne, a w nich warzywa na własny użytek, truskawki, porzeczki. Ja swój warzywnik zlikwidowałam dopiero (...) po śmierci męża. Wszystkie wiosenne popołudnia spotykaliśmy się przy pracy na działkach. Było to bardzo miłe. Dziś już tego nie ma. Nauczyciele dojeżdżają do pracy samochodami i po zajęciach ro-

bi się pusto. (...) Życia towarzyskiego, jakie istniało kiedyś między mieszkańcami szkoły, już nie ma. Może to i czasy się zmieniły. (...).”

To, co było drzewiej korzeniem, wyrwano, zdewastowano sad i ogródki. Rozbudowano obiekt szkolny. Podeptano sentymenty i wspomnienia. Kiedy się o tym dowiedziałem, to przestałem bywać w Pamiątce, bo nie wiem, jakbym się zachował, gdyby mi stanął ktoś z grona pedagogiczne i zaczął zachwalać, jak to ocalają od zapomnienia dzieło zacnego pana Wojciecha Górskiego. Dla mnie to, co zrobiono, jest wielkim skandalem (*Okno pejzażowe okolic Kwitnącej Jabłoni i Kasztelanii Wleńskiej...*, Warszawa-Ursynów 2007, nakładem własnym).

Fragment Michała miniaturki był oczkiem na okładce *Alfabetu na Pamiątkę*, Warszawa-Ursynów 2005, nakładem własnym.

Byłem wkurzony tym, co zobaczyłem. Potem się rozchmurzyłem. Ze-
starzałem się i zaczęły opuszczać mnie siły. Nie komentowałem trendu, jaki panuje w Polsce po 1989 roku. Żeby z wiosek zrobić miasto, drogi polne zalać asfaltem i przybić tabliczki z nazwą ulic. Wyrugować swo-
jość. Poczułem się jak człowiek z innej baśni. Starej. Zacząłem pisać wspomnienia, tj. zatrzymywać fragmenty, które ociekają czasem PRL. Drzewiej byłem pełen zapału. Żyłem na własny rachunek. Przygastem, ale się nie nudzę, choć coraz mniej smakują mi pokarmy z menu XXI wieku. W życiu warto brać za przykład pogodę, gdzie wschód jest wart zachodu.

Cdn.

Wybór myśli Wojciecha Górskiego

Nauczyciel sprzedaje to, co ma najcenniejszego, swoje zdrowie, swoje serce, swoje płuca, swoje gardło. Dlatego powinien być możliwie najlepiej wynagradzany.

* * *

Dwóch rzeczy nie cierpię: śpieszyć się i gniewać, a taki jest mój los, że przez całe życie muszę to robić.

* * *

Gdybym umiał choć cząstkę tego, czego nie umiem, byłbym istotnie mądry.

* * *

Naród, który nie umie pracować i oszczędzać – popadnie w niewolę ekonomiczną lub polityczną tego narodu, który te cechy posiada.

* * *

Człowiek zupełny powinien mieć trzy rzeczy w porządku: serce, głowę i kieszeń. Tę ostatnią po to, żeby mógł spełniać, co nakazuje serce i rozum.

* * *

Dziś głos mój nie jest jeszcze słyszalny, lecz przyjdzie czas, że przyszłe pokolenia przypomną go sobie i wydobędą z lamusa.

Ku Pamiątce (1); Wybór myśli Wojciecha Górskiego. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2015, nr 42.

Ku Pamiętce (2)

5. W październiku 2005 roku na kartce pocztowej mój starszy kolega, nauczyciel języka polskiego z Olecka, informował: „Czesiu, dziś rano redaktor [Andrzej] Zalewski (ten od dobrej pogody i „Święta Niezapominajki”) pamiętał o Twojej Pamiętce i Jubileuszu jej 80-lecia. Mówił z serca o kolorowych liściach i kolorowych dzieciach. Od razu zrobiło się cieplej na sercu, bo nie wszystkie dzieci są zagryziakami od Barbarelli, a jesień istotnie jest piękna. Pragnę podzielić się z Tobą złotem i brązem przywiezionym z rodzinnej Hańczy, w której chodziłem wczoraj za gospodarza. Naprawiałem nadwerżoną piwnicę (u nas sklepem zwaną), przesadzałem śliwy. A wieczorem srebrna Fabia uwiozła mnie do Olecka. (...) Waław Klajmont, Olecko, 21 października 2005” .

Na okręgu pieczęci *Przystanek Olecko* na kopercie dopisał:

NA PIERWSZE «A!»

Szkoły dzieciństwa to zaczątek

najserdeczniejszych naszych pamiętek.

6. Do Pamiętki Waław Klajmont będzie powracał i przypominał, że tę szkołę upodobał sobie pan redaktor Andrzej Zalewski, który latami prowadził *Eldorado* na antenie Programu I Polskiego Radia, czyli felietonowe pogodynki. Był inicjatorem „Święta Polskiej Niezapominajki”. Przy okazji przypomnę wierszyk Marii Konopnickiej pt. *Niezapominajki*, jaki powtarzałem w dzieciństwie:

Niezapominajki

to są kwiatki z bajki!

Rosną nad potoczkiem,

patrzą rybim oczkiem.

Gdy się płynie łódką,

Śmieją się cichutko

I szepcą mi skromnie:

„Nie zapomnij o mnie».

Wacław napisał fraszkę wydartą z nieba pt. *Pogoda dla wszystkich*, dedykowaną „Prorokowi Dobrej Pogody Panu Andrzejowi Zalewskiemu:

*Na przedostatniej chmurce
pod niebem jak z bajki
Pan Andrzej wplata w tęczę
Niezapominajki.*

7. W 2005 roku wydałem nakładem własnym kolejną pamiątkowską książkę, 259 stron, pt. *Alfabet na Pamiątkę*. Oczywiście, że egzemplarz wysłałem do Wacka, nauczyciela języka polskiego w Zespole Szkół Rolniczych. Olecko to Białolas jego fraszek, poczętych w Hańczy.

Nie musiałem długo czekać, żeby w skrytce pocztowej znaleźć widokówkę – *Malownicze Mazury* (żaglówka z łabędziem i kluczem trzech łabędzi, skąpanych w słońcu) z przypiskiem rymowanym:

*Czesiu,
Wszystkie barwy pamięci
i okruchy światła
ocalasz, aby czas nasz
obrazu nie gmatwał;
widząc czysto i jasno
jakby w zachwyceniu
w pracowitej skromności
czarnoleskim cieniu
swą przegładarką wspomnień
wnikasz w serc zakątki...*

.....
*Tyle już wyczytałem
z przepięknej «PAMIĄTKI»*

8. Z okazji jubileuszu szkoły, w 2015 roku, wydałem własnym sump-tem *Alfabet bez szkolnej wymówki*, 36 stron. Jeden z 30 egzemplarzy wysłałem do Hanny Krall, która mieszka po zachodniej stronie Ursynowa. Autorka *Zdążyć przed Panem Bogiem* wysłała priorytetem widokówkę

czarno-białą z własnym konterfektem, na odwrotnej stronie napisała: „Szanowny Panie Czesławie Mirosławie! Bardzo dziękuję za książeczkę. Doprawdy, zaczynam żałować, że nie byłam absolwentką, albo chociaż uczennicą szkoły w Pamiętce... Pozdrawiam serdecznie, Hanna Krall, Warszawa, 4.III.2015”.

9. I pomyśleć, że w Pamiętce były tylko dwa murowane budynki: szkoła i dom dróżnika przy krakowskiej szosie E77.

Szkoła była pamiętką zanego syna ziemi grójeckiej, Wojciecha Górskiego. Pedagoga starej daty, który niósł *kaganek oświaty* dla tych, co byli ze wsi. Uczułał młodych polskich nauczycieli-wychowawców: „Obowiązkiem każdego jest pamiętać, że wcześniej czy później musi się rozstać z tym, co jest jego własnością moralną czy materialną, co ukochał, z czym się zżył, czemu życie poświęcił.

Pamięć o tej konieczności zniewala człowieka do zabezpieczenia przyszłości swemu umiłowaniu, bez względu na to, czy to będzie dziecko czy idea, instytucja czy jakiegokolwiek posiadanie będące owocem jego pracy, mozołu życia, jeżeli życie to miało treść, a nie było bezmyślnym sobkowskim bytowaniem pozbawionym wszelkiego ideału. Tym się tłumaczy troska rodziców o przyszłe losy swoich dzieci, autorów o swoje dzieła, myśli i idee zawarte w książkach, pomnikach, obrazach”.

To, co pisał, było jak z pieśni:

(...)

*Musimy siać, nie wiedząc, w którą stronę
Poniesie wiatr i w ziemię rzuci siew
Nie wiedząc kto i gdzie pozbiera plony
W dożynki czyj radosny zabrzmi śpiew.*

(...)

*A nas tak mało tych co mogą posiąść
Ze swych zapasów szczyptę braciom dać
I choć nie przy nas wszędzie ruń zielona
My róbmy swoje, my musimy siać.
(Musimy siać)*

10. Rozpisałem się, bo do pewnych miejsc mamy dług wdzięczności, który spłacamy pamięcią, po kawalku. We wspomnieniach. To jest treścian, o którym przypominał Cyprian Kamil Norwid:

*(...) jak wrócić wspomnieniem
Do pewnych herbat, tudzież ciast i konwersacji,
Prawdziwie wielkim dobrze zaprawnych natchnieniem,
Do szkolnych dni – bukietów z róż – i do wakacji (Wspomnienie).*

No właśnie, jak?

11. Wojciech Górski to był człowiek o gołęmbim sercu, zatroskany nie tylko o wymiar polskiej szkoły. W spuściznie jego nie ma słownych fajerwerków. Pięknostek. Wszystko jest starannie przemyślane. Bez zbędnego zdania. Podporządkowane pedagogice, w imię dobra wychowanków. Odsiano plewy i poślad, wybrano ziarna. Z tego można coś upiec. To nie powinno zostać w lamusie, a nawet pod korcem. Z podziwem się czyta, choć jest w tym dużo wymagań. Zacytuję, choć dzisiaj to może być niezrozumiałe, bo świat poszedł *swoją drogą*: „Pierwsze dziecię – pociecha, następne – zachęta do pracy, ostatnie – podpora starości, a wszystkie razem – wytyczny punkt dążeń, pragnień, zabiegów, usiłowań. Przez dzieci odradzamy się, w nich widzimy swych następców, im przekazujemy nie tylko dobra materialne, lecz nasze wierzenia, nasze ideały. (...).

Miłość rodzicielska, ta, która rodzicom nakazuje przepędzać noce bezsenne przy kolebce dziecięcia, narażać swe życie pielęgnując w chorobie zaraźliwej, odejmować sobie od ust, by głód mu nie dokuczał, poświęcać wszystkie swe siły ku zapewnieniu szczęśliwszej przyszłości dziecięciu, jest wielką potęgą; ta miłość odzwierciedlała się w słowach: dziecko za rękę – rodziców za serce.

(...).

Sprawiedliwość w życiu szkolnym to słońce, które powinno przewodniczyć i oświecać najciemniejsze kąciaki gmachu szkolnego; jedynie pod jego dobroczynnym wpływem dadzą się wypłenić mikroby rozkładu nie znoszące światła. Sprawiedliwość to rodzic szacunku dla szkoły i jej przedstawicieli; nawet rękę karzącą poszanujemy, gdy karać będzie z mi-

łością. Szkoła sprawiedliwa wnosi zdrowe ziarno w życie społeczne, uspakaja umysły, wychowuje przyszłych obywateli.

Szkoła sprawiedliwa to podwalina spokoju społecznego” (*Woj...ski., Sprawiedliwość w wychowaniu.*, „Przegląd Pedagogiczny” 1898, nr 1).

12. Z okazji 90-lecia istnienia szkoły Wojciecha Górskiego w Pamiętce koło Tarczyna przesyłam, jako były uczeń, wszystkie najlepsze życzenia, które są jak kwiaty, co spełniają się w owocach.

Ku Pamiętce (2). Felietony, „Tygodnik Olecki” 2015, nr 43.

Sekrety jabłka

W dzieciństwie rąbki tajemnic drzew owocowych odsłaniano nam na lekcjach biologii w Szkole Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiątce koło Tarczyna. Pan Józef Chodecki, kierownik szkoły, prowadził nas wiosną do rozkwitłych czereśni, w których kąpały się pszczoły. Brał kiść i naginał gałąź, i tłumaczył budowę kwiatu. Objasniał, co robi owad w jego kielichu. Dlaczego zagląda? Co spija? A co zabiera ze sobą do ula? Z tymi sekretami wracaliśmy do klasy.

A kiedy zazieleniło się od czereśni, nie wchodziliśmy do sadu. Gdy zapłonily się drzewa czereśniowe, patrzeliśmy i nikogo nie kusiło, żeby urwać sobie, bo owoców w naszych stronach zawsze było i jest w bród. Nie do przejedzenia.

W szkole mówiono o kwiatach drzew, jakby sprawa owoców była tak jasna, jak stwierdzenie, że trzeba dla zdrowia jeść owoce. Nikt nam nie wyjawiał dalszego ciągu sekretów. Że skórka to jest istny skarbiec witamin (szczególnie witaminy B i C, które pobudzają do wytwarzania czerwonych krwinek i wzmacniają układ immunologiczny /odpornościowy/). Strużyńka, która ma tylko 20 mikrometrów grubości, jest ważna. Przypomnę, że mikron to «jednostka długości równa jednej tysięcznej milimetra; mikron (symbol: μm)».

Jeżeli byśmy potrafili zdjąć z jabłka naskórek tak precyzyjnie i zmierzili mikrometrem, to by wskazał 0,20 mm. Cieniutka powłoczka ochrania miąższ jabłka przed deszczami, kroplami, burzami, zanieczyszczeniami, mgłami, promieniami. W niej przechowują się substancje zapachowe (żółtozielone i zielone). Na powierzchni osłonki znajduje się kutykula (różowa) – woskowa powłoka, dzięki której jabłko nie wysycha, a przy okazji jest taką zaporą przed pyłami i zanieczyszczeniami. Jabłuszko się nie marszczy. Za ustoiną jest miąższ, w którym są m.in. pektyny i fruktozy i błonnik, co obniża poziom cholesterolu. Dalej gniazda nasienne z pestkami, które zawierają amigdalinę z witaminą B17. Są gorzkie, więc lekarze zalecają, żeby je rozgryzać i zjadać. I nie krzywić się, że zaskodzą.

Aż się nie chce wierzyć, że z mierzących 30 mm kwiatów jabłoni, wyrastają owoce o średnicy sięgającej do 130 mm, które wiszą na ogonku

o średnicy 3 mm. Ta kitka jest przekaźnikiem, który utrzymuje jabłko i zaopatruje go w substancje odżywcze. Gdy tylko jabłuszek dojrzeje, wysyła do drzewa gaz (etylen), i jabłko odcina połączenie; urywa się kontakt, i spada owoc jabłoni do fartucha ziemi. Ciap, ciap... na darń.

Na jabłko można spojrzeć, jak patrzeliśmy na lekcji biologii. Albo jak Newton, którego „spadające jabłko natchnęło (...) myślą o prawie ciężenia, chociaż rzeczywiście mogło mu dać tylko pierwszy impuls do zastanawiania się nad tą sprawą (...)” (Fryderyk Chrystian Hebbel, *Dzienniki*). John Ruskin dowcipnie skomentował: „Newton wyjaśnił nam – przynajmniej tak się utrzymuje – dlaczego jabłko spada na ziemię. Nie zajął się natomiast innym, nieporównywalnie trudniejszym zagadnieniem: jakim sposobem pojawia się ono na wysokości”. Albo jak Paul Cézanne, który potrafił tak namalować jabłko, że chciało się po nie wyciągnąć rękę.

Jabłko, niby taki powszedni w moich stronach owoc, o kształcie zbliżonym do kuli, z zagłębieniem na szczycie, z którego wystaje ogonek z listkami oraz z wylotem gniazda nasiennego u dołu, a ile w sobie kryje sekretów, które kwitną w owocach. O tym zadziwieniu przed laty napisałem wierszyk:

*Żyli wśród liści i gałęzi
Od wiosny do złotej jesieni
Wynajęli gniazda nasienne
W których jabłko drzemie

Pszczoły-dobrodziejki знаły ich
Z zalążków gdzie pręciki i szyjka
Szli po pyłku co jak piegi
Na płatkach płytko wciętých

Tajemnicę ukryli w pestkach
Co świat widzą przez skórę
Ona dzieliła kęs czułości zaś
On śnił o rajskim upadku
(Ballada miłosna /20/)*

Sekrety jabłka, „Kultura Wsi. Kwartalnik popularnonaukowy Centralnej Biblioteki Rolniczej” 2015, nr 7.

Mapa z 1955 roku

W zbiorach mam szpaltę papieru o wymiarach 66x90 cm. Z 1955 roku. *Mapa powiatu piaseczyńskiego*, wydana przez Centralny Urząd Geodezji i Kartografii, Państwowe Przedsiębiorstwo Wydawnictw Kartograficznych, na papierze o gramaturze 120 g/m². Publikacja bezoprawowa, czyli wstęga złamana w postaci harmonijki. O takim druku mawia się *Leporello*. Nazwa pochodzi od Leporello, lokaja i powiernika Don Juana; kolekcjonera wizerunków jego kochanek, czyli miłośnic. Mozart napisał o tym operę pt. *Don Giovanni*.

Wracajmy do starej mapy.

Grubą zieloną linią zaznaczono powiat piaseczyński. Oddzielono go od powiatu grójeckiego. Mapa jest moją młodszą rówieśniczką. Nieraz do niej zaglądam, żeby sobie przypomnieć strony od Tarczyna do Grójca. Biorę szkło powiększające i odbywam peregrynacje kartograficzne, tam gdzie nogi mnie niosły, więc wyliczę: Kopana, Stefanówka, Brominy, Skrzeczeniec, Wylezin, Racibory, Kawęczyn, Pamiątka, Księżowola, Kocerany, Las Lesznowski. Albo gdzie nie doszedłem, bo się zmęczyłem i bałem, że nie pokonam odległości: Rembertów, Podole, Duży Dół, Kośmin, Lesznówola. Nieraz sobie wzdycham, żeby były takie mapy, na których można by zobaczyć tych, co urodzili się, cierpieli i umarli. Nie sposób stworzyć obrysu, gdzie byłem, jadłem, piłem, smakowałem owoce i po brodzie mi kapąło. Marzenia, marzenia...

Na starej mapce zaznaczono wioski, które można zobaczyć, jak się ją rozwinię i na stole rozłoży jak ceratę, co ziębi. Oczywiście, że plan z 1955 roku jest złożony jak harmonia. A harmonia, proszę o tym pamiętać, to nie akordeon. O czym wie jej każdy klawisz i guziczek. Harmonia nie rżnie, tylko gra, jakby szlifowała to, co w nas takie sentymentalne. Jak ją fachowo naciśniesz i rozłożysz, to dopiero wydobędziesz akord jak idylla.

Pytania o wieś Kopana

Miałem takie oto wydarzenie w latach 80. XX wieku. Wszedłem przez otwartą na oścież bramę na teren Szkoły Podstawowej imienia Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce koło Tarczyna; dzisiaj to jest ul. Anieli i Wojciecha Górskich, która prowadzi od Kopanej (ul. Ogrodowa) do Księżowoli (ul. Parkowa). W moich szkolnych latach, to była polna droga z koleinami, kamieniami, z ubitym jak klepisko poboczem.

Wszedłem na II piętro, żeby przy okazji odwiedzić panią Marianę Jakubowską, a potem panią Jadwigę Mielcową. Panie nauczycielki z Pamiętki. Wizytę traktowałem jak obowiązek uczniowski. W czasie spotkania u pani Jadwigi przyszedł taki moment, że starsza nauczycielka zapytała: „Panie Mirku, jak powinno się poprawnie odmawiać wieś Kopana?” Takiego pytania, przyznam, jeszcze w swoich okolicach *Kwitnącej Jabłoni* nie słyszałem. To znaczyło, że nikt nie miałam językowych dylematów. Nie zastanawiał się, czy język mówi poprawnie to, co pomyśli głowa. Niektóre kobiety starały się, żeby zasadnie wymawiać *q* (samogłoska tylna, podwyższona, zaokrąglona, nosowa) i *ę* (samogłoska przednia, płaska, nosowa). I czasami w swej poprawności wychodził szum; było śmiesznie, choć nie do śmiechu. Słyszałem tak, jakby wpadła mi do ucha kropla wody.

Po dłuższej chwili odpowiadałem, że szedłem drogą z Kopanej do Pamiętki. Że w Kopanie był mój sad dzieciństwa. Że forma w Kopanie też jest poprawna. Dopuszczałem pewien liberalizm, żeby nieco rozmiękczyć normy językowe, które czasami bokiem wychodzą, jak przy hiperpoprawności.

Pani Mielcowa wysłuchiwała i nie skomentowała. Nie było dyskusji. Potraktowałem to jak akceptację. Miło mi się zrobiło, że nie wygłupiłem się przed nauczycielką, która uczyła nas subtelności, dyskrecji i podziwu do geometrii, szczególnie, gdy wyjdziemy w przestrzeń. Była dla mnie wzorem cichej czytelniczki szkolnej, małej biblioteki z tarasem. Miała też kronikarskie zacięcie. Pisała skomprimowane komentarze; protokołowała to, co się działo na radach pedagogicznych. Bardzo poważnie wszystko traktowała. Ze stoickim spokojem zносиła to, co się działo pod dachem szkoły, gdzie w kominach kawki wiły gniazda. Nie wyczuwałem,

żeby miała choć ciut epikureizmu. Chciałem napisać o łagodności, ale przypomniałem sobie, że mój wnuczek Stasio Feliks, rocznik 2009, jak był w starszakach w przedszkolu, powiedział: „Dziadku, misie w bajkach są łagodne, ale tak naprawdę nie są łagodne”. Pani Jadwiga, choć była osobą szczupłą, miała w sobie nadmiar empatii. To była mądra starsza pani nauczycielka, która nie wstydziła się powiedzieć: nie wiem! Miała pewność niepewności.

W XXI wieku, konkretnie 14 marca 2015 roku, napisałem e-maila do pana prof. Jana Franciszka Miodka w sprawie odmiany wsi Kopana. Językoznawca prośbę potraktował bardzo poważnie i szybko odpowiedział: „Szanowny Panie Czesławie!

Nazwom typu Kopana, Jabłonna, Miłosna, Warszawa, Częstochowa, Kolbuszowa, Limanowa, Ciasna polski system fleksyjny oferuje dwa typy odmiany: albo rzeczownikowy, albo przymiotnikowy i tylko zwyczaj decyduje, który model deklinowania zostanie wybrany (np. Warszawy, Częstochowy – ale Limanowej, Kolbuszowej). Blisko moich rodzinnych Tarn.[nowskich] Gór jest miejscowość Ciasna. Jej mieszkańcy mówią, że są z Ciasny i mieszkają w Ciasnie. Tak że Kopana wcale nie musi mieć przymiotnikowego paradygmatu odmiany z Kopanej, w Kopanej, ale rzeczownikowy z Kopany, w Kopanie. To jednak musi już Pan sprawdzić. Z wyrazami szacunku pozostaję

Jan Miodek”¹.

Publikuję opinię, bo może komuś się przyda. Nigdy nie wiadomo, jakie dylematy siedzą w głowie moich ziomków i krajanów. Z Kopanej/Kopany.

Wioseczka Kopana już nie przypomina dawnej wsi. Uliczki zalano asfaltem. Wbito tabliczki z nazwami. Tylko patrzeć jak do *Słownika frazeologicznego współczesnej polszczyzny* trafią dwa słowa: *tarczyńskim targiem*. Ja wcale nie żartuję. W życiu zawsze jest coś za coś. Nie sposób zjeść i mieć jabłuszko. Niby to pestka. Albo jak kto woli: mocniejszy gryz jabłka.

Na sam koniec chciałbym dodać, że mieszkańcy mojej wioseczki mówią ładną polszczyzną. To nie jest komplement, ale fakt. Jest mi głupio, że piszę o tym, co wszyscy wiedzą.

(Nie) Jadę do Kopanej

Nie miałem w swoim życiu takich kawałków z cyklu – *Jadę do Kopanej*. Nie udało mi się napisać o tym piosenki. A przecież mógłbym pociągnąć to z refrenem o tym, jak pędzę ciuchcią od Piaseczna, Zalesia, przez Szczaki-Złotokłos i czekam dłużej na stacji w Tarczynie Wąskotorowym. Albo z drugiej strony, od szosy krakowskiej, tzw. trasy E77. Mógłbym uskrzydlić ją wersem – *Jadę do Kopanej*, a tu nic z tego nie wyszło, bo ta podróż w swoje strony, była zawsze przygaszona. Jechałem, a już wisiało nade mną widmo odjazdu. Pożegnanie. Do widzenia albo dobranoc! Jak w wierszu Pod Trzema Gwiazdkami:

*chciałbym wreszcie powrócić
zobaczyć porozwieszaną Biel bielizny
porozrzucane pordzewiałe garnki
poczuć zapach gotujących się kartofli
oglądać ręce matki
wśluchać się w ujadanie psa
ktoś się zdziwi po co wracać
nie potrafię siać orać
chcę co innego pokazać
kocham: ziemię lasy
wszystko w stodołach oborach
na polach
nikomu zawdy nic nie zrobię
kradnę ziemię i
rozsiewam
dopóki trwać będzie
wędrownka²*

Oczywiście, że wiem, jak to należy zrobić, bo znam cztery znakomite piosenki.

Pierwsza, Paula Simona, *Graceland* (1986).

Druga, Tiny Turner, *Nutbush City Limits (live)*. Tina Turner nie wywyższała nigdy swojego śpiewanie, które jest świetne. W jednym z wywiadów powie: „Moim celem jest podnosić ludzi na duchu i dawać im siłę”.

Trzeci utwór to *I Dug up a Diamond* Mark Knopflera. Jestem z Kopanej, więc go przetłumaczyłem – *Wykopany diament*. Śpiew jak melorecytacja i subtelny riff gitarowy. Napisać, że świetny, to ciut za mało.

Czwarta to piosenka pt. *The Road To Hell*, którą śpiewa Chris Rea, ma niezły, choć prosty, gitarowy riff. W jego utworze pojawia się tajemnicza kobieta z poboczu drogi, która ostrzega: *Son, this the road to hell* (Synu, to droga do piekła). No cóż! Dopokąd żyjemy, jest otwarte niebo i zimne piekło, w którym siedzą (zimne) dranie. To tak na marginesie czyśćca.

Nie napiszę utworu pt. *Jadę do Kopanej*, więc nikt go nie będzie mógł wyśpiewać.

(Nie) *Jadę do Kopanej*, bo choroba powiedział, żebym w domu został. Że było. Minęło. Mój czas przeszedł. Pociuszające w tym jest to, że już nic nie muszę. Że mogę sypać ziarna słów i uważać na plewy, które dodają podmuchu myślom. Kończę, żeby ktoś nie powiedział, że jest problem, czyli zaczyna się blues.

¹ W 2017 roku opublikowałem wywiad pt. *Odpowiedzialność*. Z prof. dr. hab. Janem Franciszkiem Miodkiem rozmawiał Czesław Mirosław Szczepaniak, „Tygodnik Olecki” 2017, nr 19. Na pytanie: Panie Profesorze, czy jest anegdota na Pana temat, która dodaje skrzydeł do pracy, i w ogóle? Pytam, bo tyle lat pomaga nam Pan profesor, jak nauczyciel, językoznawca odpowiedział: „Najbardziej lubię nazywanie mnie przez studentów zakręcačem żarówek, bo to określenie idealnie wyraża mój najbardziej typowy gest. Gdy o nim pomyślę w czasie wykładu, dodaje mi to nauczycielskich skrzydeł”.

² Z tomu: *Mieliśmy Białe ściany*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1977.

Liść dębu Wojciech z Pamiątki

Liść spod dębu Wojciech, który rośnie od 1925 roku przed Szkołą im. Wojciecha i Anieli małżonków Górskich w Pamiątce koło Tarczyna, podniosła moja siostra Czesława Bożena Luterek (z d. Szczepaniak), zaś moja matka Marianna, włożyła między kartki książki w Kopanie; na wszelki wypadek położyła odważnik z dawnej Fabryki Wag Władysława Gawarskiego (1882-1967) w Tarczynie, aby pod nim tak przesechł, żeby widać było zasuszoną notatkę. Listeczek pochodzi z papeterii jesieni 2014 roku. W formie plaskacza, jak w plastrze miodu, jest to, co nakapia korzenie. To jest taka fryzurka.

W Polsce najbardziej znany jest dąb szypułkowy (*Quercus robur L.*) i dąb bezszypułkowy (*Quercus petraea*), rodzina: bukowate. Są to dęby krótkoogonkowe. Gatunek światłolubny, inaczej – światłolubny. Dąb w młodości znosi ocienienie. Wieść gminna głosi, że „dąb lubi rosnać w kożuchu, wśród innych drzew, ale z odkrytą głową”. Czyli korona dębu lubi być nasłoneczniona. Nie znosi czapki, jak uczeń, powiedzmy.

Na monetach, jakie są w obiegu polskim, o nominale 1 grosz, 2 grosze, 5 groszy jest (w zależności od kwoty) jest liść dębu czerwonego (*Quercus rubra L.*), jaki na przykład rośnie przed szkołą w Pamiątce. Na rewersie wybito orła w koronie i wersalik POLSKA RZECZPOSPOLITA, zaś na awersie listeczki dębu amerykańskiego, które są dłuższe i ostrzejsze. Znowu ktoś przegapił i ściemnił, eufemistycznie mówiąc, że to nasze drzewo.

Liść, jaki załączyłem na odwrocie książki pt. *Alfabet bez szkolnej wymówki*, był z Pamiątki, co leży przy trasie E77. Jest jak plaskacz (policzek). Zrobiłem zakładkę z dębu czerwonego, który nie ma stożkowej korony, ale z wiekiem szeroką i okrągłą. Nie jest to dąb szypułkowy albo bezszypułkowy, jaki się zwykł zakorzeniać w polskim pejzażu. Te dęby mają zaokrąglony kształt, a nie taki ostry, tj. ościsto-zębaty. Bardzo bym pragnął, żeby tego też uczyli w szkołach. Nazim Hikmet, turecki poeta, uczulał swoich rodaków: „Umarło jedno drzewo, przebudził się cały naród”.

Jeżeli chodzi o liście, to istnieje podanie ludowe, które mówi, że „wróble odlecą od nas na zimę wtedy, kiedy spadnie z dębu ostatni liść,

a liście do reszty spadną wówczas, gdy odleci do ciepłych krajów wróbel” (Maria Ziółkowska, *Gawędy o drzewach*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1983).

Szyszka

Kiedy przygotowywałem tomik wierszy pt. *Przypomnienie* (2015), poprosiłem syna Pawła Piotra, rocznik 1979, żeby wykorzystał rysunek Zbyszka Janeczka, który wyprowadził się z miasta Łodzi do Eufemino-wa, gdzie prowadzi *BILBO Graficzne Studio Komputerowe*. Zbyszek znalazł szyszeczkę. Czystą. Jak się spojrzy na szyszkę sosny zwyczajnej z góry, to widać, jakby wygięty gąszcz wieżowców, co drapią się po garść obłoków. Przypomniałem sobie, że w dzieciństwie nieraz podnosiłem w lesie mieszanym, co obejmował sanatorium Zagórze koło Warszawy, szyszkę. Przynosiłem ją na oddział, żeby schować do metalowej szafki, która stała przy łóżku. Szyszka schła i wynurzały się z niej suche języczki.

W młodości, jak szedłem do lasu w Pawłowicach, co graniczy z Kopaną, czasami podnosiłem szyszkę, zapłątaną w podszycie lasu, tj. w trawie, wrzosi albo w mchy. Była nawilżona zgrzaną ziemią. Po drodze do Szkoły Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce koło Tarczyna, jak szedłem aleją modrzewiową, która poły-skiwała żywicą, nieraz przystawałem pod światłolubnym modrzewiem, żeby zobaczyć szyszki wtopione w małe igielki. Ze szkoły wracałem aleją obsadzoną świerkami pospolitymi. Na czarno-brązowej grubej korze oglądałem żywicę. Z tej kory dłubałem statki, które puszczałem w okolicznym strumyku, co płynął z wolna do stawów w Pawłowicach. Z traw wydłubywałem wysmukłe szyszki, szorstkie w dotyku. Świerki to cienio-znośne drzewa.

Po szlaku drzew iglastych, co rosły między sadami, nie ma już śladu. Wyrwano sady i aleje z Kopanej. Smutno, że muszę pisać o tym, co było w XX wieku. Że ktoś miał śmiałość wykopać z dzieciństwa drzewa z alej i sadów, no i na dodatek skasować ciuchcie.

Graszka przywoziła szyszki z działki z Wieliszewa (prawidłowo powinno być Michałów-Reginów) koło Zegrza. Na stronie tytułowej tomiku jest kora sosny z posesji, którą 7 lipca 2013 roku, w niedzielę sfotografowała moja Kochana Żona.

Szyszka leksykalnie rzecz biorąc, to «kulisty lub owalny owoc większości roślin iglastych, składający się ze zdrewniałych łusek z nasiona-

mi». Drzewiej tak też mówiono «o osobie bardzo wpływowej, na wysokim stanowisku». Dawniej o osobach na strzelistym fotelu mówiono, że to *szycha*. Dzisiaj prawi się o nich – *boss, oligarcha, prominent, VIP...* Ulica mówi nieco inaczej, ale nie będę tego cytował.

Zamknięta maleńka szyszka wygląda jak serce, które oblała żywica i nie bije na gałęzi. Jest ciemnozielona. Otwarta szyszka z czasem brązowieje. Wiatr ją ścina i upada niedaleko od iglastego drzewa. Jest jeżykiem z zaokrąglonymi kolcami. Leży na fartuchu ziemi. Wiatr z nasion ją wyczyszcza i włóczy, gdzie podpadnie.

Szyszka trzyma się bosych traw. Z czasem nasiona-żagielki odpływają, wiatrem podszyte. Na wszystkie strony świata. Przypomina kogoś, kto spadł z wysoka i na ziemi już nie potrafi się pozbierać. Sam.

Makatka

Makatka – słowo, które odchodzi do lamusa. Jeszcze go odnotowuje *Słownik języka polskiego*: «niewielka tkanina dekoracyjna zawieszana na ścianach lub rozkładana na meblach». Redaktorzy nie dodali, że to archaizm. Zapewne uczynili tak przez grzeczność, bo trafić na makatkę w domu, jest coraz trudniej, niestety. Oczywiście, że pamiętam kobierczyk z wyhaftowanymi życiowymi mądrościami. Kilimek widziałem w kąciку czystości u mojego dziadka Szczepana i babci Zofii Grzondkowskiej w Pawłowicach. Za parawanikiem, co stał za drewnianym łóżkiem. Był czyściutki i wykrochmalony. Wielkie chusteczki przypominały *veraikon* z baśni. Wisiały w dyskretnych miejscach, jak rąbek tajemnicy. Przecież tu dokonywano ablucji. Na makatce haftowano kolorową nitką sentencję. Czyli obwijano bawełną zdanie, które warto było zapamiętać. Na przykład: „Nie mów nikomu, co się dzieje w domu”. Albo „Co się ugotuje, każdemu smakuje”. Drobnie żarciki poprawiały humor, zwilżały apetyt i dodawały otuchy, podczas ablucji. Były jak przysłowie, które zahaczyła naga igła (z nitką), która ubiera cały świat.

Postscriptum

Zbigniew Janeczek, Szyszka, rysunek. Łódzianin, rocznik 1946. Spec od małych form graficznych. Od 2003 roku mieszka we wsi Eufeminów pod Łodzią, gdzie prowadzi *BIL-BO Graficzne Studio Komputerowe*. W 2007 roku wybrano go sołtysem. Jego dziadek, Wojciech Janeczek, opracował recepturę nalewki imbirowo-cytrynowej *Łzy świętej Eufemii*, patronki wioski. Zbyszek udoskonalił przepis leczniczej wódeczki, którą bez słów można przelykać. Mój starszy kolega, dla potrzeb domowej apteczki, wyciska z jabłek nalewki, po których żdziebko szumi w głowie. Z ziemi francuskiej pod dach polskiego nieba przemycza smaki. Czyli calvados. Piszę o tym *kawa na ławę*, żeby wiadano z jakim to człowiekiem się zadaje. Że to równy gość. Lekki pesymista, z dużym bagażem entuzjazmu; trzymający pion.

Liść dębu Wojciech z Pamiątki; Szyszka; Makatka. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2015, nr 50.

Winieta tarczyńska

W czerwcu 2015 roku pan dr n. med. Jerzy Golański prosił, żebym się skontaktował z panem Alfredem Kohnem. Poza tym zachęcał do współpracy z „Wiadomościami Tarczyńskimi”. 28 czerwca br. napisałem e-maila, że krajanom się nie odmawia, więc mogę się podjąć pisania, tylko muszę wiedzieć, ile to ma być znaków. Ze swojej strony będę przesyłała teksty o okolicach *Kwitnącej Jabłoni* pod winietką *Nie ma bata!* Oprócz tego przygotuję wybór pt. *Od owoców do pestek. Humor. Serio.*

Kiedy wpadł do nas syn Paweł Piotr, powiedziałem, że Tarczyn z okolicznymi wioskami czeka na teksty, więc pora, żeby zrobić winietkę. Kolejną. Syn zapytał, o czym zamierzam pisać. Odpowiedziałem, że tradycyjne felietony, w myśl zasady Karla Krausa: „WIEJSCY balwierze mają jabłka, które wtykają chłopom w usta przed rozpoczęciem swej pracy. Gazety mają felieton”. Teksty będę opatrywał winietką *Nie ma bata!* „Co?” – spytał. Pokazałem pierwotnemu JPEG, na którym mój rodzony brat Ireneusz wykonał zdjęcie bata, jaki miał mój wujek Tadek Tomecki z Lasu Lesznawskiego pod Grójcem. „O jaki bat Ci chodzi?”, spytał. Odpowiedziałem po ojcowsku, że o taki, że nie ma bata, żebym nie pisał do „Wiadomości Tarczyńskich”. I nagle syneczek mówi, że ma pomysł na winietkę z jabłkiem. Taki żarcik. Na drugi dzień przesłał mi pocztą elektroniczną dwie wersje winietki, pionową i poziomą. Obie świetne. Dzięki Pawłowi ożywiona została kartka papieru. To fajnie, że postawił na swoim. Bat odrzucił do lamusa. Z ręki wykonał literactwo i jabłuszko, w które wpisał mój konterfekt z listkiem na łysinie, a bródkę leciutko przyszyrzył i nie uczesał do końca. No i wtedy szybko przygotowałem wysyłkę do Tarczyna z felietonem i z winietką, jaką opracował Paweł Piotr Szczepaniak, rocznik 1979, znak zodiaku – baran.

W lipcu br. na 27. stronie (przedostatniej) ukazał się felieton pod winietką pt. *Moi krajanie z Tarczyna. Felietony*, „Wiadomości Tarczyńskie. Niezależny Miesięcznik Regionalny” nr 5/8, Maj-Sierpień 2015 roku.

W połowie lipca otrzymałem list od pana dr n. med. Jerzego Golańskiego: „(...) Przesyłam Panu 2 numery «Wiadomości Tarczyńskich» z maja-sierpnia 2015 r. Gazeta jest co prawda miesięcznikiem, ale nie zawsze wychodzi regularnie. Z dużym zainteresowaniem przeczytałem Pański felieton pt. «Moi krajanie z Tarczyna». Na początku proszę pogratulować

synowi Pawłowi Piotrowi wykonania pięknej winietki tytułowej. Dziękuję bardzo za miłe słowa o mnie i moich Ś.P. Rodzicach. Tekst felietonu bardzo mi się podobał – refleksyjny, wspomnieniowy, poetycki, bardzo osobisty, pisany z sercem, autentyczny – to się czuje. Cytaty z innych autorów dokładne, bibliografia. (To mi się podoba, bo moi mentorzy nauczali mnie, aby zarówno w pracach naukowych, jak i w innych tekstach, powoływać się na piśmiennictwo dokładnie przy cytowaniu: autor, tytuł, wydawnictwo, strony. Dbając o to, szanujemy dorobek intelektualny innych autorów). (...) Gratuluję pierwszego felietonu zamieszczonego w «W.T». (...) (Warszawa-Tarczyn 18 07 15)”.

Pod koniec lipca br. Paweł poinformował, że „znak *Felietony* to ten, który robiliśmy ostatnio do twoich tarczyńskich tekstów, więc jest to sukces rodzinny... został zauważony przez jurorów”. Poprosiłem go o wyjaśnienie, bo nie łapię o co chodzi. Objął, że znak *Felietony* został wybrany na II Ogólnopolską Wystawę Znaków Graficznych, tj. wyselekcjonowany spośród prawie 3000 zgłoszonych projektów. To był znak z elementami identyfikacji wizualnej; kategoria projekty wdrożone. Szybko odpisałem, żeby nie było niedomówień: Pawciu, to jest Twój sukces, bo gdybyś posłuchał ojca, to byś wpadł w pleśń i potknął się o grzyby. A ponieważ to, co powiedziałem, wpadło lewym uchem, a wypadło prawym, więc wyszedłeś na swoim. I jest fajnie. Oto przykład, że lepiej na siebie liczyć i jeżeli już na kogoś, to na *Graszkę*. Oczywiście, że ten znak już ma dobrą opinię, która wykracza poza Tarczyn, choć olecki piesek, który ma najeżoną sierść schodami, też jest świetny. To dobry omen na jutro. Żeby nie strzelać batem.

Dla mnie to był kolejny przykład, że grafika jest tym, co synowi podchodzi. I dobrze. Bo ile można skubać słowa i w *świecie druku* brodzić?!

Obie winietki, jakie wykonał Pawciu, tj. dla „Tygodnika Oleckiego” i „Wiadomości Tarczyńskich”, są fajne, jak się patrzy. Nie ciapią jak jabłka do fartucha ziemi. Mają swój sznyt!

Aha! Wystawa prac laureatów II Ogólnopolskiej Wystawy Znaków Graficznych odbyła się w trzech miejscach (Gdynia, Warszawa, Wrocław). Wybrano winietę, która jest jeszcze nie wdrożona (II wersja), czeka na wydanie książkowe. I pomyśleć, że ten design tarczyński Rada Wystawy wyłowiła. Wpadł im w oko pomysł z główką w kształcie zielonego jabłuszka i napisem z ręki, co zaczyna się jak zawiązana wstążeczka na kokardę, a nie w supeł.

Anatewka

Gdyby tak liczyć metrami, to do miejsc dzieciństwa mam tak niedaleko. Od Ursynowa do Kopany jest 37 700 m, wystarczy tylko przebieć się do al. Krakowskiej i E77 można mknąć, jak po *asfaltowych łąkach*. Do Tarczyna jest 31 400 m, zaś do Grójca 44 700 m.

A z Kopanej do Grójca 9 800 m., do Tarczyna 5 500 m, do Rembertowa 2 500 m., zaś do Pamiątki 1 700 m. Do Piaseczna 22 000 m.

Gdyby tak liczyć krokami dużymi, czyli stąpienie około 1 m., to można by dojść na piechotę.

To jest li tylko gdybanie, bo tylko po domu się poruszam, czasami wyjdę na balkon. Wiem, że nie pojedę, tam gdzie wszystko się zaczęło. A przecież w okolicach *Kwitnącej Jabłoni* jest początek. Tam się urodziłem, zachorowałem, powracałem ze szpitali/sanatoriów, chodziłem do szkoły podstawowej im. Anieli i Wojciecha Małżonków Górskich w Pamiątce koło Tarczyna, peregrynowałem do Pawłowic, Lasu Lesznowskiego, raz zapuściłem się pod Kawęczyn i Skrzeczeniec; kilka razy mnie widziano w Księżowoli.

Ciuchcią jeździłem do Grójca, Piaseczna, gdzie na wiadukcie przesiałem się na elektryczny pociąg z szerokich torów, co mknął do Warszawy albo do Kielc via Radom. Tylko raz pojechałem drogą żelazną do Nowego Miasta nad Pilicą via Mogielnica.

To, co kiedyś było, pozostało we wspomnieniach, do których wraca moja matka Marianna i siostra Czesława Bożena Luterek oraz mój młodszy brat Ireneusz. Dawność została na zdjęciach, które robił i nadal to czyni mój brat, rocznik 1959, zodiakalny koziorożec, z domieszką z końca strzelca.

To wszystko można nazwać Anatewka. Zapewne ci, którzy byli na musicalu pt. *Skrzypek na dachu* (ang. *Fiddler on The Roof*), wiedzą, co mam na myśli. Tym, którzy zapomnieli, przypomnę, że musical powstał na podstawie prozy Szolema Alejchema, *Dzieje Tewji Mleczarza*, 1894, napisany w języku jidysz. Anatewka była miasteczkiem na terenie Imperium Rosyjskiego, gdzie mieszkaly dwie społeczności: żydowska i rosyjska. I nagle, na skutek politycznych zawieruszeń, naród, co wyszedł z ziemi Egipskiej, która słynęła z wysokiego poziomu cywilizacyjnego,

musiał opuścić Anatewkę. Jeżeli nieco odwrócimy mapę, to w podobnej sytuacji działo się na ziemiach polskich. Na przykład w Grójcu i Tarczynie. Byli i nagle Ich nie ma. Zostały budynki i zdjęcia, i dziwne opowieści, które się urywają. Raptem po tych, co byli, została cisza i zapomnienie. Zabrakło dla nich miejsca. I co zastanawiające, nikt nie uronił łzy. Podobno macewy wykorzystano na utwardzanie dróg albo na osetki do ostrzenia kos i noży. Groźne i straszne. Wstyd.

Dzięki fotografiom ocalono chwilę sprzed lat. Zatrzymano na światło-czułej kliszy. Ta iskra, co w dzieciństwie się zapala, oświecła młodość, a potem przygasa. Wolno. Czasami zdmucha ją wiatr. Na starość do nas powraca i wtedy chuchamy, żeby nie zagasła jak w popielniku. Żeby zapaliła się w żrenicach. W dzieciństwie o tym się jeszcze nie myśli, dopiero kiedy opuszczają nas siły i nie możemy, choć bardzo się staramy, wziąć się w garść. Tracimy powoli wszystko. I obija się o uszy powiedzenie, że *czym knot krótszy, tym wiara mocniejsza*.

A kiedy fotografia wypada nam z dłoni, to się wkurzamy, bo nie możemy sobie przypomnieć, kto jest kto.

Zdjęcia miejsc mają wartość sentymentalną. To widoczny ślad, że coś było i nie odleciało na jaskółcze szlaki. Zostały fundamenty, mury, obtłuczone fragmenty. Archeologia śmietników. Tylko nie ma ludzi, którzy tu mieszkali. Świadomość tego, że tutaj żyli tacy zaradni, dodaje otuchy.

Człowiek zawsze chciałby lepiej, a wychodzi, jak zawsze, troszeczkę nie tak. Taka jest kolej (nie tylko wąskotorowa!) życia. Wszystko się kończy, nawet dobry początek, który zawiązuje koniec. W kokardę albo supełek. Niekoniecznie.

Winieta tarczyńska; Prasówka jabłkowa; Anatewka. Felietony, „Wiadomości Tarczyńskie. Niezależny Miesięcznik Regionalny” 2015, nr 11-12.

Głosa o Marii Konopnickiej

Nieraz pisałem o tym, że mam słabość do Marii Konopnickiej. Gdy się odwróćę do biblioteki, to widzę książkę pt. *O Krasnoludkach i sierotce Marysi Marii Konopnickiej. W stulecie pierwszego wydania, studia i szkice*, pod redakcją Tadeusza Budrewicza i Zbigniewa Fałtynowicza, Wydawca: Muzeum Okręgowe w Suwałkach, 1997, ss. 197. Do tego egzemplarza upycham to, co jest związane z poetką z Suwałk. Mam m.in. serię widokówek, jakie wydało muzeum oraz folder pn. *Baśniowy szlak (od Suwałk do Sejna)*. Dzięki temu wiem, gdzie na Suwalszczyźnie są krainy jak z bajek i baśni. Oczywiście, że zbiorami dzielę się tylko z tymi, o których wiem, że znają jakiś cytat z Marii Stanisławy Konopnickiej (z d. Wasiłowska, 23 V 1942-8 X 1910), na przykład: „Czy to bajka, czy nie bajka, / Myślcie sobie, jak tam chcecie. / A ja przecież wam powiadam: / Krasnoludki są na świecie”.

Nie tak dawno, pisząc do swojej sąsiadki ze (Starej) Kopanej, pani Jolanty Sas, przesłałem dla jej wnuczki Marysi, zakładkę pt. *Zaulek Krasnoludków Baśniowy szlak Suwałki, Król Błystek*. W liście zaznaczyłem, że mam nadzieję, że być może dziewczynka kiedyś pojedzie do tego ustronia, więc ten kartonik niech będzie bonusem. Przy okazji poczyniłem drobną uwagę w nawiasie – (proszę wytłumaczyć Marysi, że to znaczy tyle, co dobry znak).

Pani Jolanta podbudowała moją nadzieję, bo nadesłała długi list, z którego wybieram fragment: „(...) W imieniu Marysi i własnym, pragnę podziękować Panu za piękną zakładkę. Król Błystek jest królem serc dziecięcych. Jest pewne, że Marysia odwiedzi Króla Błystka. Otóż Suwalszczyzna, to rodzinne strony mamy Marysi. W odległości 40 km od Suwałk, we wsi Kopanica mieszka Marysi babcia Halinka. A więc do Króla Błystka niedaleko. Czekamy do wakacji, a wrażeniami podzielimy się. (...) Z poważaniem Jolanta Sas, Kopana 5 XII 2015 r.”.

Gwoli ścisłości dopowiem, że mama Marysi, pani Grażyna Wiśniewska-Sas, urodzona w Augustowie, jest wiceburmistrzem Tarczyna w powiecie piaseczyńskim. Przepraszam, że wyjawiam takie sprawy.

Księga jubileuszowa z dedykacją

Na stronie tytułowej wlepka pod wersalikiem *CZŁOWIEK I ARCHIWUM* oraz zdjęcie czarno-białe z wejścia do robotniczych zakładów, z hasłem „życzymy DOBREJ PRACY”, niżej wpisane w żółte tło obiekt Archiwum Akt Nowych w Warszawie przy ul. Hankiewicza 1 (dawna Biblioteka Narodowa). Można powiedzieć – pod wersalikiem albo kapitałem.

Pan prof. Edward Kołodziej napisał skomprimowaną notę pt. *Dr Władysław Horst – archiwista, historyk dziejów najnowszych*. Władysław, znany na mojej wioseczce, jako Andrzej, urodził się 2 lipca 1946 roku w Kopanie koło Tarczyna. Jest moim sąsiadem i starszym kolegą. Za młodu był szykowany na teologa, ma za sobą służbę ministrancką w kościele pw. św. Jana Chrzciciela w Rembertowie koło Tarczyna. Potem mu przeszło posługiwanie do Mszy św. i skreślił w lewo. O mały włos, a by został oficerem Wojska Polskiego. Jest absolwentem Szkoły Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce oraz Liceum Ogólnokształcącego im. Emilii Plater w Zalesiu Dolnym, i Uniwersytetu Warszawskiego (Wydział Historyczny). We wrześniu 2005 roku na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie obronił pracę doktorską pt. *Kancelarie i archiwa: Centralnego Komitetu Wykonawczego Polskiej Partii Socjalistycznej, Komitetu Centralnego Polskiej Partii Robotniczej i Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej*. Jeżeli ktoś potrafi się rozeznać w tyłu archiwach partii, to życie dla niego jest pestką. Archiwista gromadzi nośniki papierowe oraz ułatwia zainteresowanym, żeby były dostępne. Z czasem. Trzeba mieć do tej roboty zacięcie i cierpliwość. Dokumentarzysta musi założyć fartuch i chwytać pełną garścią, a nie końcami palców; czytać i upychać do teczek, zachowując dyskrecję, a nie paplać na prawo, co było na lewo. Archiwum to spis zagadek wbitych w tajemnicę. Archiwistyka to jest straszliwy zapieprz. Trzeba gromadzić papiery, przechowywać i udostępniać dokumenty, to są pasje mojego starszego, uczonego kolegi, doktora humanistyki, który w grudniu przynosi mi woreczek orzechów, które łupię.

Mój krajan to spec ds. archiwum. Andrzej, jak przystało na profesjonalistę, ma swoje *koniki* (organizacje młodzieżowe i partie polityczne), dokumentuje spuściznę Wojciecha Górskiego i naszych stron, które, poetycko rzecz biorąc, nazywam okolice *Kwitnącej Jabłoni*. Nieraz korzystałem z jego zbiorów. Ma taką sympatyczną wadę, że nie lubi pisać. Opo-wiedzieć opowie, ale gdy proszę o to, żeby *przełał na papier*, to muszę czekać ruski miesiąc.

Wybrał taką postawę, że lepiej *Wspominać miło o tym, co było*; choć czasami gorzknije, ale mu to szybko przechodzi. Nie lubi *czernić papieru*, choć posiada wiedzę, że mógłby się pokusić o książkę dotyczącą historii Polski po 1945 roku. Przecież był w samym środku PRL-u, należał do różnych gremiów historycznych. Był naocznym świadkiem ówczesnych wydarzeń. Zna mnóstwo ludzi. Profesor Edward Kołodziej przypomina o tym, że jest grzeczny. Expressis verbis: „znany jest z tego, że każdą powierzoną mu pracę wykonuje solidnie, a poza tym angażuje się w działalność społeczną i pomaga użytkownikom archiwum. (...) Nic też dziwnego, że wśród archiwistów, historyków, a także petentów cieszy się wysoki uznaniem”. Ilekroć ktoś czegoś szuka, to zawsze go odsyłam do Andrzeja, bo tylko on może zaradzić, jeżeli chodzi o papiery. Ma dar znalezienia, jak św. Antoni, czegoś, co czasami uważamy, że przepadło, jak igła w stogu siana. Na amen. Czasami podejrzewam go, że trzyma ze świętym sztamę i dzieli się kluczami. Nie zaprzeczył, ani nie potwierdził.

Wcale mnie nie dziwi, że koleżanki i koledzy archiwiści wydali opasły tom pt. *VIR BONUS. Księga jubileuszowa dedykowana doktorowi Władysławowi Horstowi*. Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych Archiwum Akt Nowych, Warszawa 2015, ss. 347. Tytuł nawiązuje do powiedzenia „Vir bonus, dicendi peritus”¹. W spisie treści tomu znalazły się uczone rozprawy koleżanek i kolegów jubilata. Tematy z jego kwerend i naukowych peregrynacji. Wśród nich wyróżnia się artykuł wspomnieniowy Arkadiusza Kopera pt. *Pamiątka z Pamiątki – wspomnienie całkiem nie archiwalne*, napisany bez patosu; z biglem. Nasz starszy kolega z Księżowoli przypomina niektóre wydarzenia sprzed tylu lat: „Nad kilkunastuosobową grupą rówieśników w klasie i uczniami w szkole czuwało małżeństwo państwa Chodeckich, Kruszewskich, moja wychowawczyni p. Zrobek, a także bardzo młoda p. Neufeld i p. Marciniak – z tego okresu pamiętam niewielu kolegów i koleżanek, z całą pewnością nadal

kojarzę Anię Pawlak, Zosię (?) Gniadek, braci Masnych, Jabłońskiego, Pietrzaka, Gadomskiego. Niestety, z tych lat nie pamiętam p. Władysława – zapewne z powodu obowiązującego wówczas zakazu utrzymywania kontaktów z małolatami”. Poza tym o Andrzejku znaleźć można wzmianki na s. 213 (Eugeniusz Rudziński, *Postawy ideowe młodzieży w okresie okupacji hitlerowskiej*), s. 246 (Szymon Tadeusz Krawczak, «„Frona. Pismo Poświęcone”. Młodzież wobec nauczania Jana Pawła II»), s. 306 (Kazimierz Kozłowski, Jan Macholak, *Czołowi aktotwórcy dokumentacji Pomorza Zachodniego lat pionierskich /1945-1950/. Spojrzenie z perspektywy XXI wieku*). Na s. 322 Anna Nowakowska-Wierzchoś zamieściła pracę pt. *Związek Kobiet im. Marii Konopnickiej w Belgii*, gdzie w przypisie do tytułu informuje: „Artykuł ten nie wyczerpuje tematu, powstał przy okazji pracy nad rozprawą doktorską *«Konopniczanki» Związek Kobiet Polskich im. Marii Konopnickiej we Francji 1944-1950* przygotowanej pod kierunkiem prof. Małgorzaty Gmurczyk-Wrońskiej w IH PAN. Praca ta nie powstałaby, gdyby nie pomoc p. Władysława Horsta, który ułatwił mi kontakt z b. «Konopniczanką» oraz służył pomocą w poszukiwaniu źródeł i informacji”.

Ten wykaz świadczy o tym, że jest to osoba *obszernych wiadomości* (Juliana Ursyna Niemcewicz).

Z przyjemnością cytuję glosy o moim ziomku, który mieszka w Warszawie przy ul. Inflanckiej, ponieważ o takich sprawach należy pisać za życia. W porę. A nie czekać, żeby się uleżały jak figa albo piernik, co zapomniał o miodowych miesiącach.

Oto archiwariusz! – chciałoby się zawołać, i nie było by w tym przesady.

Zamiast okrzyku wybieram to, co powiedziała pani Jolanta Cieślikowska-Horst, małżonka: *Andrzej jest osobą, która uwielbia stare rzeczy*.

¹ *Vir bonus, dicendi peritus* (Katon Starszy III/II w. p.n.e.). W tłumaczeniu – Człowiek uczciwy, doświadczony mówca. Starożytni mawiali – *Poetae nascuntur, oratores fiunt* (Poeta trzeba się urodzić, mówcą można zostać).

Ule

Ule i stare drzewa owocowe.

Gdzie to jest?

To jest widok zza siatki naszej działki w Kopanie. Ule pana Andrzeja Zarzyckiego, toromistrza kolei wąskotorowej, który miał wielką pasiekę pod pachami jabłoni. Od strony drogi (dzisiaj ul. Działkowa) był wysoki żywopłot (z grabiny), żeby pszczoły nie wpadały na drogę, a szybowwały wysoko.

Pan Andrzej wraz z synami (Tadeuszem i Edwardem) od wiosny do jesieni krzątał się wokół *pszczelnika*. Podbierał miód. Konewką z cybuchem okadzał *domki apikultu*. Na głowę zakładał obszerny kapelusz z siatką, która zasłaniała twarz przed owadami, z którymi nie ma żartów. W pracy towarzyszyła mu żona, pani Aleksandra. Stałem zza krzaczkami i obserwowałem do chwili, póki mnie pszczołka nie dziabnęła. Zamiast krzyczeć, pędziłem do domu, aby piekące miejsce przetrzeć octem. Ule były pomalowane na białe, żółte, niebieskie, zielone, jak domki krasnoludków. Pod jesień, kiedy zaczęły z drzew ciapać jabłka do fartucha ziemi, robiły wrażenie. Zimą stały w czapkach śniegu, jak krasnoludki, które przysnęły na mrozie.

Ze starszym sąsiadem nigdy nie rozmawiałem. Nie widziałem go bez (kolejarskie) czapki. Nasze spotkania ograniczały się do grzecznościowych zwrotów (dzień dobry, do widzenia).

Pan Zarzycki nie miał czasu, żeby opowiedzieć o tańcu pszczół dzięki któremu wiedzą, gdzie są kwietne miejsca. Że owady bzyczą w różny sposób. Że mają po bokach tzw. przyoczka i doskonale widzą, co się dzieje naokoło głowy. Nie wiedzieliśmy, że w ulu jest socjalizm, którego nie udaje się człowiekowi zaprowadzić na całym świecie. Że podczas lotu godowego królowej pszczół, odwłok trutnia eksploduje i władczyń uła zabiera plemniki z urwanym penisem. Że w ulu są pszczoły robotnice, które najpierw pełnią funkcje pielęgnacyjne (opiekunki larw i owadów), wkrótce awansują na strażniczki, które w odpowiednim czasie będą zbierać pyłek i nektar. Pszczoła robotnica, co żyje tylko 40 dni, produkuje 1/12 łyżeczki miodu. Oczywiście, że wśród roju, najważniejsza jest matka. Poza tym w ulu są trudnie, których zadaniem jest zapłodnienia

pszczelich królowych. Po spełnieniu samczej powinności, giną. O tym, że w ulu jest życie i śmierć, pan Andrzej Zarzycki nie pisał nawet półgębkiem. Po starszym toromistrzu mam w zbiorach kilkanaście egzemplarzy miesięcznika „Pszczelarstwo. Organ Polskiego Związku Pszczelarskiego” oraz *Poradnik pszczelarski* (Państwowe Wydawnictwo Rolnicze i Leśne, Warszawa 1967, ss. 422), które otrzymałem od sąsiada z naprzeciwko, Daniela Ogrodnego, pomocnika maszynisty kolei wąskotorowej relacji Piaseczno-Nowe Miasto nad Pilicą. A on otrzymał to wraz z ulami pana Zarzyckiego. Jak schedę. Pan Daniel wprowadził mnie w osłupienie, bo chciał, żebym został... pasiecznikiem. Oczywiście, że to był dla mnie sygnał, że zachorował na śmierć.

Michał Fluder, wychowawca z sanatorium PKP *Leśny Dwór* we Wleń, namalował kilka uli. Pisał jesienią 1986 roku: „(...) Z Krainy Kwitnącej Jabłoni wróciłem z nowymi pomysłami i nutką optymizmu. No powiedz, czy kiedyś ktoś przyjmował Ciebie tak, że wszystkie Bramy złotych ogrodów były tak pootwierane (jakbyś wszedł do raju, a drzewa były w ukłonie). Tylko czereśnie Pamiątkowskie stoją, jak dawniej dumne i zgrabnie ustawione w towarzystwie pitnych miodów, rozkołysane, pijane ze szczęścia, że znowu dzieciaki przylecą gasić pragnienie (oby nikt je stamtąd nie wyganiał, bo to byłoby nie fair).

A Twoja szkoła Pana Górskiego, tak elegancko przyozdobiona starodrzewem, że nie wiem, co piękniejsze, czy dąb czerwony, czy sosny na poboczu, czy wierzyby pod płotem. Chciałoby się takie szkoły oglądać, nie tylko na Ziemi Grójeckiej, obok Tarczyna i spijać soki wieloowocowe zamiast bełtów i kwaśnego piwa.

Na pewno byłeś teraz z Rodzinką w Kopanie i znowu napatrzyłeś się do woli na sad p. Zarzyckiego i równiutko ustawione ule. (...)”.

O miodzie nie napiszę komentarza, bo rodzice nigdy nie kupili patoki¹ od pana Andrzeja Zarzyckiego. To może świadczyć o jednym, jak to sąsiedzi z sobą żyli. Że byli blisko, a tak daleko. Za to nieraz oganialiśmy się od pszczoł z pasieki za miedzą. Przez te pracowite owady, nieraz chodziliśmy opuchnięci. Wyglądaliśmy jak ludzie, którzy *nierówno się poruszają*. Z ramki, którą z ula wyjmował nasz sąsiad, nic dla mnie nie skapało. Zamiast się obliżywać smakiem, napiszę – kropla miodu, to zgón kwiatów, utarty w pszczelej zagadce.

Ojciec i matka w sklepie nabywali sztuczny miód, o którym nie dało się powiedzieć, że to był cud-miód. Smakował jak pergamin nasączony cukrem. Ponieważ w PRL-u było sporo surogatów (namiastek), więc i to łatwo przełknąłem i popiłem herbatą gruzińską, która miała słomkowy kolor.

Ule zimą sfotografował mój brat Renuszek, rocznik 1959, bo taki miał kaprys. Wyraźnie widać, jak stoją w czapulach śniegu. Ponowa. Dzisiaj po nich pozostały wspomnienia i dwie ikonografie – akwarelka Michała i kolorowe zdjęcie, całe w bieli. W tle rosną wysokopienne jabłonie, które mróz ścisnął, od pnia po koronę. Oczywiście, że tego już nie ma, więc można sobie darować, żeby sprawdzić, czy to prawda, co wypisuję. To znaczy, że muszę ważyć słowa w *świecie druku*.

¹ Patoka – płynny miód pszczelel, oczyszczony z wosku, ściekający ze zmiażdżonych plastrów lub z nich wytapiany.

Fotografia Ireneusz Szczepaniak, Ule pana Andrzeja Zarzyckiego z Kopanej, zima, lata 80. XX wiek.

Czesław Szczepaniak (9 II 1930–18 X 1986)

Urodził się w Kazimierzowie (dzisiaj Las Lesznowski) pod Grójcem. Matka miała na imię Leokadia, a ojciec Józef (zmarł bardzo młodo). Wychowywała go prababcia Józefa Studniarkowa z Lasu Lesznowskiego. Nie ma dnia, żebym o nim nie myślał. Rano, gdy stoję przed lustrem, żeby ogolić się, to widzę jego rysy na swojej twarzy. Przeżyłem własnego ojca, który żył tylko 56 lat. Aż się to nie chce wierzyć, bo był zawsze taki zdrowy, żywotny, nie chodził na zwolnienia, lekarzy omijał wielkim łukiem. A matka, jak pamiętam, zawsze narzekała, że umrze. I tak umierała i umierała, aż przekroczyła 90 lat. I żyje, i ma się dobrze. Moja siostra Bożenka dba o nią wraz ze szwagrem Jędrusiem. Mój brat Renuszek przyjeżdża do Kopanej, gdy nostalgia go chwyci na warszawskim Bródnie. Ja już z domu nie ruszam, niestety. Dzwonię i nie tracę zasięgu.

Jestem do ojca podobny, choć nie mam tyle włosów i od lat nie używam grzebienia. Ojciec wyglądał jak kawał chłopca. A ja, dzięki temu, że choroba mnie zżera, jestem jak chucherko; spadłem z *XL* t-shirta na *L*. Mój frater nie lubił robić sobie zdjęć. Bał się szpitali. Pamiętam, że kiedy miał kłopoty z VII nerwem twarzowym, nie potrafił się z tym pogodzić. Wpadł w popłoch. Skoczyło mu (w górę) ciśnienie. Na nic zdały się moje perswazje z anatomii i fizjologii. Być sprawnym znaczyło dla niego wszystko. I nagle zaczął chorować, bo o siebie nie dbał. Nie słuchał się matki. W wieku 56 lat dopadł go w obcym sadzie wylew i śmierć. Był 18 października 1986 roku. Sobota. Odszedł na zawsze do Rembertowa, gdzie modrzewiowy kościół pw. św. Jana Chrzciciela i cmentarz parafialny, i sady nad sadami.

Zostało po nim kilka zdjęć. Świątecznych i codziennych.

Białą koszulę zakładał przy niedzieli albo gdy wyruszał w interesach do miasta. Na wszystkich zdjęciach, jakie znam, mój rodzic tylko raz się uśmiecha, w warsztacie przy tokarce, wyciąga w górę ręce i widać jego bielusińskie zęby. Na pozostałych fotografiach ma zamknięte usta i patrzy w dal. Trzyma się tokarki. Jest nieobecny. Dlaczego tak się zachowuje? Widocznie miał ku temu powód i nie do mnie należy komentarz.

Mój ojciec Czesław był starszym rzemieślnikiem obróbki skrawaniem w warsztatach kolei wąskotorowej w Piasecznie, tzn. tokarzem. Załoga

wybrała go na męża zaufania. Rodziciel nieraz mi powtarzał: „Synu, nie oczekuj pochwał za pracę. Masz dobrze pracować, a opieprzyć zawsze ciebie mogą...”. Staram się o tym nie zapominać, choć mam już swoje lata. Napisałem ponad 154. książeczek literackich, publikowałem w około 150 tytułach prasowych, więc nabyłem pewnych praw. A poza tym pamiętam o tym, co pisał Cyprian Kamil Norwid: „Żyjemy zaś (jeżeli się nie mylę?) w Epoce łatwego czytania rzeczy płodzonych szybko, ponętnych i głośnych. I to stało się jedną z pięknych pobudek o wywołania równocześnie o d c z y t ó w, z powodu iż, przy szybkim umysłowych płodów spożywaniu, o d-c z y t y w a ć na nowo godzi się”.

Ilekoć pochylałem się, żeby zaczernić papier, przychodzą do mnie jego słowa. Żeby obrabiać tak słowa, aby zdania się nie dziwiły. Żeby za dużo nie nakłamać. Więc opukuję tekst, jak rewident, który sprawdza młotkiem na długim trzonku koła pociągu.

W tomiku pt. *Przypomnienie* (Warszawa-Ursynów 2015, nakładem własnym) zamieściłem o tym wierszyk Pod Trzema Gwiazdkami, który streszcza to, o czym tak długo piszę:

*Jako syn tokarza, starszego rzemieślnika specjalisty,
z Piaseczna Wąskotorowego, nieraz sobie zadaję
pytanie: jak wygląda warsztat, w którym odbywa się
przegląd kół, co toczą koleje naszego losu?*

Postscriptum

Fotografia pochodzi z lat 50. albo 60. XX wieku. Mój ojciec Czesław przy tokarni w warsztatach kolejowych w Piasecznie, w których pracował z kolegami-rzemieślnikami. Robili wszystko, żeby ludzie mogli dojeżdżać i nakręcać zegarki według rozkładu jazdy wąskotorowego pociągu. Po 1989 roku zakład zlikwidowano wraz z ciuchcią grójecką. W tym miejscu jest dzisiaj knajpa *Odjazd* z parkingiem. Pozostała tylko obróbka słów i przywilej wspomnień.

Mój ojciec Czesław; Czesław Szczepaniak (9 II 1930–18 X 1986). Felietony, „Tygodnik Olecki” 2016, nr 11.

Czesław Szczepaniak (9 II 1930–18 X 1986) Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 14 kwietnia 2016 roku.

Peregrynacje z malarzami w Pamiętce koło Tarczyna

1. Kilka razy wspominałem o tym, że do Szkoły Podstawowej w Pamiętce zabrałem malarzy, na tzw. motyw. Ukrywałem i nie pisałem, jakim kluczem się kierowałem. No bo przecież nie był to wytrych.

Pierwszym malarzem był Michał Fluder, wychowawca z sanatorium dziecięcego PKP *Leśny Dwór* we Wleniu, co leży między Jelenią Górą a Lwówkiem Śląskim. To było jesienią 1986 roku, kiedy sady nie tylko w Kopanie się rumienia. Michał był zachwycony szkołą. Od pierwszego wejścia.

W latach 90. XX w. miałem kilku koleżków malarzy, wśród nich dwóch brodaczy: Antek Chodorowski, rysownik-karykaturzysta i Franciszek Maśluszczak – malarz, grafik, też nieogolony, nosił charakterystyczny czub włosów na głowie jak samuraj.

2. Kiedy zbliżało się 70-lecie Szkoły Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce, przygotowałem druk zwarty pt. *Pamiętka* (Warszawa-Ursynów 1996, nakład 80 egzemplarzy, ss. 76). Oczywiście, że poprosiłem koleżków o opracowanie graficzne siermiężnych książeczek, jakie wydawałem nakładem własnym, bo tego nie chciało żadne polskie wydawnictwo.

Antek powiedział, że do Pamiętki nie wpadnie, tylko zrobi rysunek ze zdjęcia i ex libris.

Franek, który lubił malować ze łba, zaproponował, żebyśmy pojechali pod szkołę. W sobotę ruszyliśmy z Ursynowa. W try mi ga zajechaliśmy, gdzie dąb Wojciech. Franio na karoserii samochodu rozłożył się z warsztatem plastycznym (piórko, kałamarz tuszu i brystol). Stałem obok i nie zwracałem głowy artyście. Kiedy pytał, odpowiadałem. Franciszek szybko uporał się z rysunkiem. Trochę zachlapał maskę auta, ale to czarna pestka. W domu wykonał jeszcze, według mojej opowieści, rysunek szkolnego ręcznego dzwonka. Zrobił to po swojemu, bo taki ma charakter.

A teraz opowiem coś, co się nie znalazło w tekście. Po prostu wykreśliłem w imię poprawności, zwanej też autocenzurą. Franciszka z Kotlic zaprosiłem, bo chciałem, żeby odreagował pewien szkolny epizod. Otóż, kiedy był uczniem szkoły średniej plastycznej w Zamościu, buntował się,

ale to jak! Podczas szkolnej akademii zrobił głupi żart, tj. wpuścił do sali gaz pieprzowy. A potem wszyscy się uśmiali do łez. Ponieważ nie nakryto sprawcy, więc nie relegowano go ze szkoły, wręczając wilczy bilet. To mi opowiedział, gdy przeprowadzałem z nim wywiad, którego fragment opublikowałem (Franciszek Maśluszczak, *Maluję swój życiorys*, „Twój Styl” 1995, nr 4). W trakcie rozmowy w jego ursynowskiej malarni, podpytałem o początki rysowania.

„«Kiedy mnie natchnęło rysowanie?» – pytasz.

Od szkoły podstawowej rysowałem różne dymy i myślałem, jaka to przestrzeń rysunkowa. Poza tym w szkole robiłem różne gazetki. Rzeźbiłem w dębowej korze i opoce. To samo przyszło. Więcej rysowałem niż się uczyłem.

Zawsze rysowałem wstydliwie, ukradkiem, ale... rysowałem biegle. Nie wiadomo dlaczego, tak jakoś szeroko ołówkiem, tak z jakimś rozmachem, bezceremonialnie. W szkole rysowałem to, co nauczyciel ustawił, a więc różne kanki, talerze, bańki na mleko. Czyli coś w rodzaju martwych natur. W tamtych czasach nie było kredek i farbek, tylko ołówki. Muszę Ci powiedzieć, że do tej pory mam wyrzut sumienia, ponieważ ukradłem sąsiadowi kolorową kredkę. Mój sąsiad taką kredką wypisywał kwity na podatek. To był kopiowy ołówek. Z jednej strony pisał na fioletowo, a z drugiej na czerwono. I właśnie taki ołówek ukradłem. Dzięki niemu mogłem wejść w kolor, skromny, bo skromny, ale... już miałem trzy kolory: czarny, niebieski i czerwony. Pamiętam, z jaką przyjemnością rysowałem tym kolorowym ołówkiem. Rysowałem ostrą czerwinią, maczałem to w ślinie i kładłem na papier kolor.

Skończyłem siedem klas. Był 1961 albo 1962 rok. Nie pamiętam.

Prawie wszyscy z mojej klasy gdzieś zdawali egzaminy. Do Liceum Ogólnokształcącego, Zasadniczych Szkół Zawodowych albo Technikum.

Pamiętam, że z resztek ze studni, bo to jest ważne, jak kopano studnie w Kotlicach, to po dwóch metrach była taka biała opoka. Takie płyty i tafle kamienne. Coś jak kreda. Gdy to się wyciągnęło z wody, to było miękkie, a potem stawało się twarde. W tych kawałkach opoki rzeźbiłem koty, psy, przedmioty rzeczywiste i nierzeczywiste. Rzeźbiłem scyzorykiem albo kawałkiem blachy, albo drutu. Rzeźby wrzucałem do worka. W końcu uzbierałem pełen worek rzeźb. Poza tym uzbierałem sporo rysunków i akwarel. Aha! Pamiętam, że po otrzymaniu akwarel na tekturce,

najpierw pomalowałem sobie twarz, usta na zielono, nos na niebiesko, oczy na fioletowo, uszy na czarno. Potem biegałem za dziadkiem i babką, i krzyczałem: uuu...!

W czasie nauki w szkole zbierałem sporo swoich prac. Pamiętam, że raz kierownik szkoły powiedział: «O, Ty malarz jesteś...». Potem powtórzył to mojemu ojcu. A mój ojciec chwilę się zastanowił i mówi: «Jak tak rysujesz i malujesz, to może byś zdawał do Liceum Plastycznego w Zamościu?».

Z ojcem wzięliśmy worek z rzeźbami, pod pachę teczkę z rysunkami i akwarelami, i pojechaliśmy do Zamościa.

Po kilku dniach dostałem list, że moje prace komisja zakwalifikowała i mogę zdawać egzaminy do Liceum Plastycznego.(...).”

Jeżeli chodzi o Antka Chodorowskiego, był to niesamowicie szybki rysownik. Potrafił tak szastnąć, jakby miał skrzydło w dłoni. Z Antonim wiele przejechałem i przegadałem. Opowiedział mi świetne historyjki z własnego życia: „Cały czas rysowałem. W szkole pod ławką. Były to różne obrazki obyczajowe, żeby komuś zrobić na złość. Żeby było zgrywnie. Kiedyś przylapała mnie nauczycielka na tym rysowaniu. I zaprowadziła mnie do kierownika szkoły. Kierownik obejrzał rysunki i powiedział, że trzeba mi urządzić wystawę.

Sporo też pisałem wierszy i opowiadań. Mam za te konkursy sanki wyścigowe i radio, które wtedy kosztowało tysiąc pięćdziesiąt złotych. To była wtedy kupa forsy. Miałem pierwszy na wsi swoje radio i mogłem sobie nastawić i słuchać. Mogę powiedzieć, że byłem łowcą nagród.

Co jeszcze pamiętam? Dobrze pamiętam śmierć Stalina, bo wszyscy się cieszyli, tylko pani Róża, nauczycielka, straszliwie płakała. To była ładna nauczycielka, ale nikt jej nie chciał, bo była stalinowa. Jedynie pani Róża płakała i nikt więcej z nauczycieli. Pod wieczór idę sobie przez Chodory i wołają mnie chłopcy i kawalerowie, co stali przy płocie. Wtedy mówili na mnie «Doktor Dzieżko». To była znana postać ze szpitala w Białymstoku. Był podobno cudotwórcą. Tak sądzono na wsi. Był bardzo lubiany. Kim ja mogłem zostać Chodorach, jak nie «Doktorem Dzieżko»?! Chłopi stoją przy płocie i pytają: «Doktorze Dzieżko, co Stalinowi zaszkodziło? Co byś zrobił, żeby Stalin nie umarł i żeby pani Róża nie płakała?» Chwilę się zastanowiłem. Cisza się zrobiła. Po zastanowie-

niu powiedziałem: Stalin miał zatwardzenie i trzeba było zrobić Stalinowi lewatywę. (...)”.

Natomiast Michał Fluder czasami opowiadał mi, że musiał po lekcjach w szkole podstawowej pomagać mamie, która była woźną. „Zimą się chciało na łyżwy albo sanki, a tu trzeba było wziąć się za miotłę i ścierkę, i sprzątać klasy...”, mówił. Może ta szarość mitręgi doprowadziła go do tego, że widział świat jak z baśni? W kolorach.

3. Trzech malarzy wzięło się za szkołę w Pamiątce koło Tarczyna. I wszyscy byli ze wsi jak ja, Czesław Mirosław.

Michał Fluder (28 V 1945-12 III 1989). Urodził się w Consenvoye, wieś w Lotaryngii (Francja), departament Moza. Michał pochodził po szkolnym sadzie, gdzie ule i warzywniki, obejrzał szkołę, dobrze omiółł las mieszany, zrobił szkic, a potem podesłał mi miniaturkę szkoły, namalowaną na tekturce. Jego pracę zamieściłem na okładce książek: *Alfabet na Pamiątkę*¹ oraz *Okno pejzażowe okolic Kwitnącej Jabłoni i Kasztelanii Wleńskiej*².

Franek Maśluszczak (ur. 21 I 1948). Urodził się w Kotlicach, czyli na wsi, w powiecie zamojskim. Rysował szkołę na karoserii samochodu i palił papierosy.

Antek Chodorowski (7 VI 1946-15 II 1999) urodził się w Chodorach, wiosce w województwie podlaskim. Rysował z fotografii (Wojciecha Górskiego) i z pamięci (ex libris szkoły). Lubił, kiedy mu się rzuciło jakąś myśl, wtedy się ożywiał i gadał: „Ja potrafię najgłupszy pomysł narysować”. Kiedy poprosiłem o ex libris dębu, w którym jest pełno ptaków, zrealizował, choć jego dąbek nie jest podobny do tego, jaki rośnie przed szkołą. Antoni jest patronem Szkoły Podstawowej w Czaczkach Małych pod Białymstokiem. Jego imię i nazwisko nosi warszawska ulica na ursynowskich Kabatach. Wojskowe Powązki to miejsce, gdzie na wieki spoczął.

„Górale, Gazetka szkolna”, nieregularnie wydawana przez Zespół Szkół w Pamiątce im. W. Górskiego w Pamiątce, co rusz zamieszcza rysunki moich kolegów, oprócz Michała.

Antek, Franek i Michał Pamiątkę podnieśli do rangi sztuki plastycznej. Rozrysowali ją świetnie. Próbowiałem to nieudolnie opisać, jaką pozostawili pamiątkę, na długie lata. Być może ktoś ze współczesnych pój-

dzie moim tropem i ściągnie do Pamiątki innych artystów. A więc, śmie-
lej!

¹ *Alfabet na Pamiątkę*, Warszawa-Ursynów 2005, Wydano nakładem własnym w 120. egzemplarzach, ss. 260.

² *Okno pejzażowe okolic Kwitnącej Jabłoni i Kasztelanii Wleńskiej*, Obrazki z ramki wyjęte: Michał Fluder, Warszawa-Ursynów 2007, Wydano nakładem własnym w 18. egzemplarzach, ss. 52.

Peregrynacje z malarzami w Pamiątce koło Tarczyna. Felietony, „Wiadomości Tarczyńskie. Niezależny Miesięcznik Regionalny” 2016, nr 1/3. Michał Fluder, Szkoła Podstawowa w Pamiątce, akwarelka; fot. Paweł Piotr Szczepaniak.

Okrężne

1. Ci, którzy chcą wiedzieć, co to znaczy, niech nie zagląдают do *Słownika języka polskiego*, bo będę musieli nadrabiać drogi. Expressis verbis: „okrężny «odbywający się lub leżący wokół czegoś»: Ruch o. Jechać okrężną trasą.”

Zygmunt Gloger w *Encyklopedii staropolskiej* zanotuje: „Okrężne, biesiada rolnicza w jesieni po sprzątnięciu wszystkich zbiorów, czyli po «okrażeniu» pól, skąd nazwa okrężnego powstała. Okrężne tem się różni od dożynek, że dożynki oznaczają dożęcie oziminy i przyniesienie wieńca gospodarzowi z pola do domu. Okrężne zaś jest zabytkiem uczt jesiennych, znanym w przeszłości wielu narodom, wyprawianych po sprzątnięciu z pola wszystkich plonów. Długosz w XV wieku powiada, iż Litwa miała dawny obyczaj, że do gajów, uważane za święte, nawiółszy zboża w jesieni, zgromadzano się z żonami, dziećmi i domownikami, aby bogom czynić ofiary z wołów, cielców, baranów i potem przez trzy dni biesiadować, tańcząc, wyprawiając rozmaite igrzyska i pożywiając ofiarne jadło. Ludy, graniczące z sobą, zbliżały się zawsze obyczajem, tembardziej Litwini, którzy przez kilka wieków uprowadzali z Mazowsza całe tłumy ludności dla zasiedlenia pustyń leśnych. Domy staropolskie przygotowywały się wcześniej na okrężne. Wazono piwo i krupnik (z gorzałki i miodu), zabijano kilka sztuk bydła, na oznaczony dzień spraszano sąsiadów i sprowadzano muzykę. Gości przyjmowano chlebem powszednim, barszczem, bigosem i zrazami z kaszą. Była to wspólna biesiada szlachty i kmieci, bo obyczaj narodowy był w Polsce jeden, a tylko późniejsza cywilizacja i ogłada potworzyła w nim różnice i szczyrby. Podstoli Krasickiego, zasiadając do ogólnego stołu z gromadą kmiecią podczas tej uroczystości, powiada o dożynkach, że «zwyczaj ten, od czasów dawnych wniesiony, na wzór przodków zachowuję». W starej pieśni dożynkowej słyszymy:

*«U naszego jegomości dębowa podłoga,
Zjeżdżają się zewsząd goście jak do Pana Boga,
Zjeżdżają się na okrężne panie i panowie,
A ja chodzę dziś nieboga bez wianka na głowie».*

Dziedzic rozpoczynał ucztę, pijąc kieliszkiem do najważniejszego z kmieci, po uczcie szedł poloneza z sołtysową, a jejmość z sołtysem. Kapela wygrywała od ucha razem szlachcie i kmiotkom. (...)

2. Zwyczaj ten jeszcze się zachował. Na przykład w okolicy *Kwitnącej Jabłoni*, dawny powiat grójecki, po zbiorze owoców organizowano tzw. okrężne, czyli pospolicie mówiąc, coś na wzór murarskiej wiechy.

Kiedy pytałem ziomków, skąd do nas przywędrowało okrężne, nikt nie był mi w stanie tego wytłumaczyć. To może świadczyć o tym, jak dawno przyszedł do nas ten radosny kanon kultury agrarnej.

Ale po kolei. Była kośba (koszenie), potem rozpoczynały się zbiory czereśni, wiśni, jabłek, śliwek, gruszek. Kiedy praca zbliżała się ku końcowi i zostało kilka drzew do oberwania z owoców, to ludzie podpytywali gospodarza: „kiedy będzie, panie, okrężne?” Upominali się o darmowy poczęstunek. Przypominali, że kończy się robota, więc jest okazją do spotkania przy stole nakrytym obrusem. To było takie pożegnanie i podziękowanie za podjęty trud pracy. Ale bez wielkich słów. Prace polowe zwieńczano okrężnym.

Pani Jolanta Sas, co mieszka w Kopanie przy ul. Słonecznej, w liście z 29 października 2015 roku m.in. wyjaśnia: „Pyta Pan o zwyczaje, jakie były u sadowników. Otóż nic się nie zmieniło, jeżeli chodzi o okrężne. Zwyczaj ten pozostał do dziś. Może nie jest przyjęty u wszystkich sadowników, ale u większości. Po zbiorach czereśni, czy jabłek częstuje się pracowników dobrym obiadem, zakąską i oczywiście alkoholem. Ci, którzy nie akceptują tego zwyczaju, często dają dodatkowe pieniądze. (...)”.

3. Na Kaszubach po wykopkach ziemniaczanych odbywa się uroczysta kolacja zwana *bąks* albo *obulwine*. Zaprasza się do stołu tych, którzy pracowali w pocie czoła, żeby wydobyć plody z ziemi. Po owocobraniu, żniwach, sianokosach, młócce, wykopkach odbywał się poczęstunek, zakrapiany alkoholem. Na Pomorzu *W dużych majątkach i gospodarstwach właściciel stawiał na końcu pola butelkę wina, która przypadała przodownicy*.

Wacław Klejmont w kajeciku, w którym odnotowywał słówka gwary suwalskiej, odhaczył wiecznym piórem, co latami ssało chiński atrament: „tłoka – sąsiedzka pomoc w ciężkich pracach”. Danusia Klejmont dodała, że podczas zbierania lnu, było tyle roboty, że musiano korzystać z pomocy. Za pracę płacono, choć najczęściej odrabiano. Po zbiorze organizo-

wano specjalny poczęstunek, obiad. Mieczysław Ratasiewicz, w swoim subiektywnym leksykonie pn. *Słownik gwarowy pogranicza Suwalszczyzny i dawnych Prus Wschodnich*, uściśla, że dzięki tej wspólnej pracy, w porę wszystko zebrano i nic się nie zmarnowało. Na przykład w Przełęsi odbywały się tłoki: *Inudercia, piorowdercia, torfukopania*.

Zadzwoiłem do Małgosi Śledź (z d. Tomecka), która gospodaruje w Lesie Lesznawolskim koło Grójca i zna się na kulturze agrarnej. Nie raz z nią się konsultuję, bo różnie bywa z tą pamięcią. Moja siostra cioteczna poinformowała, że u nich było okężne po wykopkach, bo najmowali ludzi do kopania ziemniaków, więc kiedy robota dobiegła końca, to na pole przynoszono alkohol, ciasta, coś do jedzenia, żeby ludziom podziękować.

A w sadzie?, zapytałem.

„Nie robiliśmy, bo do rwania czereśni nikogo nie najmowaliśmy, rwalіśmy sami”, uzupełniła.

4. Dożynki to jest okężne na dużą skalę.

Władysław Stanisław Reymont skreślił do Zdzisława Dębickiego: „Pomyśl: dożynki w dzień Matki Boskiej Zielnej! Święto oracza! Święto ziemi! Święto pracy rolnej, obchodzone przez całą Polskę!” (15 sierpnia 1925). Do Julii Niemiry tak pisał Autor *Ziemi obiecanej* o festynie w Wierchosławicach: „(...) Chłopi ogłosili na 15 września wielkie dożynki dla mnie. Obiecałem solennie pojechać. Juści, słowa dotrzymałem, a to kawał drogi, aż pod Tarnów, daleko za Krakowem. Odbyło się to nadzwyczajnie. Zebrało się bowiem przeszło trzydzieści tysięcy ludzi. Wypadek jedyny w swoim rodzaju. Trzymałem się mocno broniąc przed wzruszeniami, ale pomimo trzydniowego odpoczynku w Krakowie, po powrocie do Poznania musiałem iść do szpitala. Zupełnie już nie mogłem chodzić. Obecnie mam się nieco lepiej, czy to jednak będzie trwało długo? (...)” (16 września 1925 roku). 19 września 1925 roku w liście nabażrze: „«dożynki» dorżnęły mnie”. 27 września 1925 roku, jak weredyk, doda: „(...) owe dożynki dorżnęły mnie w zupełności”. 25 października 1925 roku skreśli: „(...) 15 sierpnia chłopi wyprawili mi wspaniałe dożynki, na których zebrało się około 40 tysięcy ludzi z całej Polski. Pomimo choroby i ja musiałem na nie pojechać. (...)”.

5. Jan Kochanowski we fraszce pt. *Przymówka chłopska* streścił rozmowę pana z włodarzem, wspominając:

*Takci bywało, panie, pijaliśmy z sobą,
Ani gardził pan kmiotka swojego osobą,
dziś wszystko jest inaczej, wszystko spoważniało;
Jak mówią: postawy dosyć, wątku mało.*

Spróbowałem przyszpilić słowo okrężne, w którym kryje się zwyczaj, co wnosi tyle radości po zakończeniu pracy. W polu, ogrodzie i sadzie. Zanim jesień wymiecie, co się da, z lata i wiosny; przed gnuśną zimą, dla której ciepło jest obce.

Postscriptum

Rysunek Marek Karpowicz, Pieczenie ziemniaków na kartoflisku.

Okrężne. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2016, nr 36.

Cerowanie

Czy ktoś jeszcze ceruje rzeczy? – pytam, gdy moja żona *Graszka* sięga po igłę z nitką, żeby wnuczkom/wnukowi zaszyć dziurkę albo przyszyć guziczek. Drzewiej wszystkie kobiety potrafiły zacerować. Starannie, a nie na okrętkę, czyli byle jak. Stare i młode przewlekały przez ucho igły nitkę i zaszywały. Wystarczyło, że pościel zaczęła się siąpić, a szybko pędziły do pokoju i na drewnianym grzybku cerowały, aby dalej oczko nie poszło, a dziura nie darła się dalej. Jednym mrugnięciem igiełki zbierały puszczone oczka w pończochach. Zaszywały uszkodzone koszule, portki i gacie. To, co pruło się, przywracano do porządku, żeby jeszcze dało się nosić. Reperowano rzeczy. Nie wyrzucano, gdy zauważono przedarcie. To nie to, co dziś, wystarczy, że komuś pękną spodnie na tyłku albo na kolanie, a już wrzuca do gardzieli plastikowego pojemnika, co stoi przy śmietniku, nieopodal trzepaka.

Kobiety siedziały z naparstkiem na palcu i było tak jak w wierszu pt. *Tańczyła igła z nitką*.

Nieraz babci Zofii pomagałem przewlec niteczkę przez ucho igiełki. Seniorka naszego rodu była poetką cienkich ściegów, choć nie wiedziała, co to jest wiersz, pomimo że nieraz wyśpiewywała o zaranku *Kiedy ranne wstają zorze* (tekst Franciszka Karpińskiego do muzyki Stanisława Moniuszki). Potrafiła tak załatać, że tego nie było widać. Dzięki temu, że byłem świadkiem, jak kobiety zaszywały, bardzo sobie cenię arabskie przysłowie: „Goła igła ubiera cały świat”. Jest zgrabniejsze niż to o *gołym w pokrzywach*. Na dodatek nie parzy, tylko grzeje.

Postscriptum

Rysunek Marka Karpowicza, Stogi z sianem. Po przeschnięciu zabierano je i układano w sąsiekach w stodole, a resztę upychano w stertę za stodołą.

Przyschła sprawa; Cerowanie. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2016, nr 39.

Z Olecka do Kopanej via Ursynów

W „Wiadomościach Tarczyńskich” nr 1/3 z 2016 roku zamieściłem tekst pt. *Peregrynacje z malarzami w Pamiątce koło Tarczyna*. Po plastykach pora zająć się tym, który był specem ds. małych form literackich. Mam na myśli Wacława Ewarysta Klejmonta z Olecka, nauczyciela języka polskiego, smakosza ojczyzny-polszczyzny. Pisał fraszki, zaczerpnięte z życia. Szedł pod prąd. Był bogobojny, więc nie jadł długą łyżką z diabłem z głębokiego talerza. Miał – jak się drzewiej mawiało – dyszel w głowie. Oczywiście, że należał do nielicznej rodziny tych, co osiągnęli biegłość w słowie. W swojej kuchni literackiej wypichci niejeden drobiazg liryczny: *Mój pokój jest placem boju / dla moich niepokojów (Wpisany w cztery ściany)*.

Wacław dał się poznać z sążnistych epistoł. Albo inaczej: pikantnych listów oraz fraszkoznaczków. Czyli drobnego komentarza, elegancko spointowanego na naklejony znaczek pocztowy. Oto przypisek wierszowany:

Ma wiele w sobie z fraszki i znaczka./ Klei, mąci, a jednak krzepi./ Ni to geś, ni dziennikarska kaczką, / bo do lepkich łap się nie lepi (Wacław Klejmont, *Fraszko definicja fraszkoznaczką*, 1 czerwca 2005).

To ociupinki liryczne, z bigłem pisane. Mała rzecz, a cieszy!

Latami prowadziliśmy ożywioną korespondencję. Pozostały baśniowe listy i kartki. W kopertach drzewią Wacka słowa, rozpisane wiecznym piórem, co ssało kolorowy (chiński) atrament. Oto próbki nietuzinkowego talentu, który przekraczał miary oleckie: „(...) zachłysnąłem, opilem się Twoją Poezją. Dojrzałe wino «Ballad» szumi w wyobraźni. Gorycz «Kopanej» i ostatnie jesienne liście Michałowe spadają na serce. Rozpadanie się kruchej tkanki życia jest może najbardziej widoczne w przechodzącym w mgłę nerwów butwiejącym liściu. Po polach mnie teraz nosi w zimnie i deszczu. (...).

(...) Dziękuję Ci za serdeczny dar, któremu wypieściłem przytulne miejsce wśród moich pól w zasięgu ręki i serca. Chcę mieć jak najbliżej tę wieś w sadach i w ranach. To i Twoja, i moja wieś. Wczoraj z uporem maniaka przepiłowywałem przez 5 godzin gałąź uschniętej śliwy przywiezionej z Hańczy na lustrzaną ramę. Mróz, który ją zmroził, chcę

utopić w srebrzystej nieskończoności, z nadzieją na wieczną wiosnę. Może klucz do niej wytopisz z wleńskiego jesiennego złota? (...) Wacław Klejmont, Olecko, 20 września 1990 roku”. Ten zapisek włożył do koperty zrobionej ze strony kolorowej gazety, na której okrągły stempel pocztowy OLECKO, a reszta nieczytelna. Obok naklejony znaczek *Błotniarka stawowa*, POLSKA A. Na lewej stronie fraszkoznaczek:

Z MUSZLĄ PRZY UCHU

*Płynie jesień... Cicho... Sza...
A na Pocztę? Wielkie „A”!*

Kiedy opublikowałem tekst pt. *Urodziłem się w sadzie i to moje szczęście. Z własnego życia* („Magazyn Gazety Wyborczej” 1997, nr 39 + fotografie kolorowe Sławomira Kamińskiego), Wacek szybko nadesłał kartkę pocztową (Bełchatów, Hotel „Barbórka”, Park nad Rakówką, fot. K. Rybicki) opieczętowaną: BEŁCHATÓW 3099713. Na odwrocie skreślił: „Zniosło mnie do Bełchatowa na Finał IV Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Władysława Olszewskiego, w którym nagrodzono moje fraszki i limeryki. Ciebie, Czesiu, w sadach, ogrodach i przy studni «Magazynu Gazety Wyborczej». Cała szkoła mi zazdrości poetyckich znajomości. I dobrze im tak! Trzymaj się cieplej jesieni i pozostawaj w zdrowiu z Najbliższymi”.

Gdy starszemu koledze przesłałem książkę pt. *Alfabet na Pamiątkę* (wydano nakładem własnym, 2005, ss. 259), to Wacław z Białolasu na odwrotnej stronie kolorowej widokówki (*Malownicze Mazury*) staranie spointował trud szkolnych wspomnień:

*Czesiu,
Wszystkie barwy pamięci
i okruchy światła
ocalasz, aby czas nasz
obrazu nie gmatwał;
widząc czysto i jasno
jakby w zachwyceniu*

*w pracowitej skromności
czaroleskim cieniu
swą przeglądarką wspomnień
wnikasz w serc zakątki...*

.....
*Tyle już wyczytałem
z przepięknej „PAMIĄTKI”.*

Jesienią 2008 roku chwycił za pióro, żeby poinformować, co w lasach mieszanych Suwalszczyzny brzęczy i piszczy: „(...) purchawki olbrzymy w tym roku w Hańczy nie obrodziły. Za to jabłek zatrząsienie i wiatry północne bezczelnie ze starych jabłoni natrzęsają się. Jedną nawet okaleczyły, podłamując ciężarną gałąź. Jesień ma się dobrze. Miejsmy się i my z nią. (...)”.

Wacław doskonale wiedział, że moim feblikiem są drzewa owocowe. Nieraz ulegał moim pasjom i przelewał na papier: „(...) Byliśmy wszyscy tylko trzy dni w Hańczy. W obumierającym sadku dzieciństwa się zanurzyłem w łopian i dzikie ziele, w chaszcze drażliwe. O kikuty schnących jabłonek wzrok zawiesiłem, grzęznący w przemijanie, pustkę, samotność... (...)”.

Ku pamięci przypomnę, że we wsi Hańcza zachował się drewniany dom, tzw. chałupa Klejmontów z 1880 roku.

W jego listach/kartkach znaleźć można wtręty dotyczące Kopanej. Oto jakie *puszczał żagle/ Myślom*, mówiąc językiem Juliusza Słowackiego:

„Olecko, 9 lipca 2006 roku/z Olecka wysłane w dniu w Złoto kopanej Drogi Czesiu,

uwiedziony polityką lustracyjną, od piątku rezydowałem w Hańczy i prześwieślałem korony wiekowych jabłoni wiekowego sadu. Jako nieodrodny Syn Kwitnącej Jabłoni, zapewne dołożysz mi z linii strzału, że «tą porą się nie prześwietla». Święte słowa! Ale ja tylko wytrzebiłem suche odrośla, więc, mimo lipcowego gorąca, chyba jestem w porządku. W sobotę do zachodu słońca ściągałem do drewnutni chrust na owocowy dym pod świeżo nabyty kociołek z odlewni Żeliwa w Kowalach Oleckich. Nocą strudzonego i odrapanego odwiozła mnie Danką nad Legę, a obie z Julią do wtorku pozostaną w Hańczy. (...)”.

Innym razem wykaligrafuje taką oto antyfonę:

„Olecko, 10 lipca 2006 roku

Drogi Czesiu

A więc, jako się rzekło – między kartkami Twoich rzeźwiących opowieści z Kopanej, prześwietlałem w Hańczy korony jabłonek, pamiętających II Rzplitą, gdy bliźniaki, co ukradły księżyc, zagięły patrol na IV, i dumałem: po owocach ich... Anioł Stróż mnie asekurował, abym nie spadł z drzewa jak śliwka w... i nie myślał jak potłuczony.

I to nie zmieściło się na poprzedniej «poniemieckiej» kartce z Margrabowej za narodowego socjalizmu Treuburgiem zwanej na niepamięć Olecka. Staram się, by to Olecko po polsku nadal wierne było Najwyższej Koronie – nie dennej mamonie. A kuflem wznoszę toast za Kopaną Kwitnącą Jabłoń, ciesząc się, że mamy w czubie, co trzeba bez formatowania 6/9”.

Na odwrocie kolorowej widokówki (*Olecko. Reprint pocztówki z kolekcji M. Nowickiego*) naklejony znaczek *Przedmioty ze srebra i złota wspólna emisja Polski i Chin, 1.30 ZŁ POLSKA, PWPWSA 2006 WANG HUMING; dzban*, stempel pocztowy OLECKO 10070614) obok w ząbkowatej obwódce fraszkoznaczek:

DZBANIE NAS PISANY PO DRODZE

Pójdźmy nie bez dzbana.

Niech żyje Kopana!

Wacław K. pisał świetnie i barwnie, choć nigdy nie dał się skusić, żeby wpaść do okolic *Kwitnącej Jabłoni*.

W tym miejscu pora na wtret. I pomyśleć, że to wszystko przeminęło. Stare sady wykopano i dziabnięto siekierą, dorżnięto piłą. Są za duże, żeby o nich kreślić elegie. Może ktoś się pokusi i wymaluje je na wysuszonym dzbanie?, pytam. Z krainy dzieciństwa zostałem wypchany przez chorobę, więc nikomu nie jestem dłużny. Wiem, co to znaczy *dostać ucho od śledzia*. Nie skrewiam. Staram się być pożyteczny.

Juliusz Słowacki nabazgrał do matki, że poeci to niepoprawni marzyciele. Że należy do tych, co zbyt daleko pojechali w gości. A jednocześnie bardzo sobie cenił tych, którzy mogli o sobie powiedzieć: „Żyję jak

kwiat na jednym miejscu – tą samą rosą i tym samym słońcem – dziś jak wczoraj – jutro jak dzisiaj. (...) Szczęśliwy, kto nigdy z oczu komina ojcowskiego nie straci, kto jak liść uwiędły padnie u stóp drzewa, na którym wyrósł...”.

Szczęścia można u innych szukać albo u siebie znaleźć.

Postscriptum

Rysunek Marek Karpowicz, Dzban.

Z Olecka do Kopanej via Ursynów. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2016, nr 41.

Orzechy

Nasi sąsiedzi mieli dwa drzewa orzechów włoskich, które gałęziami zaczęły dach komórki z cegły. Kiedy wiatr szarpał ich koronami, to drapały papę oblaną lepikiem i obruszały komin. Ojciec się denerwował, że znowu musi naprawiać to, co zniszczyły drzewa. Nie było mowy o *nici sympatii* czy *ogniwie przyjaźni*. Ale obywało się bez kłótni, na szczęście.

Jesienią orzechy spadały na naszą działkę w Kopanie. Zbierałem i odrzucałem do sąsiadów, bo to było nie nasze, choć klapnęło do nas. Ojczulek z matulą się dziwili i *komplementowali*, żem głupi.

Orzechy się rozrosły. Jesienią pojawiały się wiewiórki. Tata musiał dach naprawiać, więc nieraz (cicho) kłął pod nosem.

Zmarli Aleksandra i Andrzej Zarzycy. Odeszły córki i syn Edward. W wielkim domu z cegły został najstarszy syn Tadeusz. Były tokarz. Działka zarosła. Orzechy skarłały i zaczęły się kruszyć gałęzie. Owoce nie ciapały na naszą działkę. Już. Komórka nie była zagrożona. Gałęzie w czasie wiatru nie dziurawiły przykrycia dachowego. Pod nasze place podszedł las z grzybami, kleszczami i lisem, i kunami (sic!). Szczere pola zagłuszył i zacienił.

Jesienią stary sąsiad, podchodzący pod 80., zawołał moją matkę, żeby podeszła pod siatkę. Powiedział, że nie ma zębów, więc mu orzechy są niepotrzebne. „Niech pani to sobie pozbiera”, zaproponował. Moja ponad 90-letnia matula odpowiedziała, że też nie potrzebuje orzechów. Na co siostra dodała, że pójdzie i zbierze, żeby się nie zmarnowały. Tak jak powiedziała, wykonała. Bożenka wróciła z wiaderkiem włoskich orzechów bez zielonej okrywy. Matka zarządziła, żeby je rozrzuciła na płachcie, co leży na strychu. I pomyśleć, że był kiedyś mleczny czas na orzechy, które jesienią były łatwe do zgryzienia. Łupaliśmy je w rękach albo rozbijaliśmy młotkiem na kamieniu. I wydłubaliśmy smaczne jądro, zjadaliśmy ze smakiem. Oczywiście, że nikt z nas jeszcze nie znał dwóch słów *in nuce*, co w wolnym tłumaczeniu znaczy – w skorupce orzecha albo w jądrze orzecha. Krótko. W streszczeniu. Albo inaczej: w najzwyczajniejszej formie. Powiedzenie nawiązuje do opowiadania Cyncerona, które

mówi, że rękopis *Iliady* zmieści się w skorupce orzecha. O tym w innym miejscu piszę, więc nie będę się powtarzał.

Urszula Koziół, w felietonowej częście pt. *O podpalaczach*, opisuje zmyślności drapieżnych ptaków, zwłaszcza gawronów, które zwykły koczcować przy śmietnikach. Przeczytajcie: „Stało się już ich zwyczajem, żeby podkładać pod koła przejeżdżających samochodów znalezione pod drzewem orzechy, bo przekonały się, że tym sposobem łatwiej je rozłupać, niż gdyby dobierać się do nich dziobem. Potrafią też wrzucić do kałuży nazbyt zeschnięty kawałek chleba. (...)” (*Z poczekalni*, „Odra” 2016, nr 10).

Frazeologicznie mówi się – *nadgryzione zębem, przez ząb czasu*. Tak gawędzą ludzie starej daty. Że czas wszystko, co żyje, napoczyzna. Na ubytki, jakie czyni przemijanie, nie ma stomatologów, którzy by wypełnili spustoszenie. Na stracie zębów najbardziej cierpi uśmiech. Poza tym już nie możemy jeść pełnymi ustami. Kurczymy się jak orzechy, które z czasem bywają puste. Słodka starość służy tylko winogronom, przepraszam, rodzinom. Jedyna pociecha to ta, że bezzębny dziadek do orzechów, z metalowymi dziąslami, chrupie, tylko trzeba dobrze ścisnąć. Jak kombinerki. Zamknięty orzech włoski, w łupinie z obwódką, jest twardy i trudny do zgryzienia.

Kiedyś opublikowałem wierszyk o tym, że orzech z radości się przegryzł. I nikt mnie nie strofował, że przesadzam jak ogrodnik.

Sujka

Purystów językowych proszę, żeby nie poprawiali u na ó, bo tu nie chodzi o „«ptaka leśnego o rdzawoszarym upierzeniu, z niewielkim czubkiem»”. Nie mam też na myśli sójki w bok ani w brzuch „«kułak, kuksaniec»”, a nawet przysłowiowej, która „«wciąż zwleka z wyjazdem, z wyjściem, odkłada ciągle podróż»”. Sójka jest kolorowym ptakiem, o barwie kakaowej, na skrzydełkach ma tzw. lusterko (prążkowane błękitno-białe). Tu chodzi o sujkę mazowiecką, która nie fruwa. Drzewiej zwaną *kasiok*, *kapuśniok*. O niej przypomniła sobie moja matka w pewien wrześniowy dzień 2015 roku. Moja matula, rocznik 1926, kiedy ją odwiedziła wnuczka Marzenka Luterek z Gdyni, powiedziała, że jej babcia piekła *sujki*. Z tymi *sujkami* to było ubaw. Kiedy gospodyni wypieкла chleb albo ciasto, to babcie ujmowały z tego ciasta i kleiły pierogi z farszem. *I na łopatę, i do pieca*. Ale zanim do tego doszło, trzeba było wpierv wypiec chleb. Dopiero, gdy wyjęto świeże bochenki z wychładzającego piekarnika, wkładano zawinięty w ciasto farsz (nadzienie z kiszzonej kapusty, grzybów, kaszy jaglanej, tłuszczu, doprawione solą i pieprzem). Moja matka pamięta nadzienie z buraków cukrowych, czyli słodką *sujkę*. Przed włożeniem do piekarnika, żeby pieróg (ok. 15 cm) błyszczał, smarowano go roztrzepanym jajkiem. Po wyjęciu z pieca wyglądał jak upieczona bułeczka albo długi pieróg, z brzegiem wykończonym warkoczem albo falbanką.

Na Suwalszczyźnie popularne były *bondki*, tj. maleńkie bocheneczki chleba, upieczone z resztek ciasta, jakie pozostały w dzieży, tzw. wychopieniek. Poza tym wypiekano *wyskrobki*, które powstały z ciasta oskrobanego ze ścianek dzieży. Mieczysław Ratasiewicz, suwalski leksykograf, podaje, że *wychopieniek* był „wkładany do pieca na samym końcu tuż przy drzwiczkach. Piekł się bardzo szybko i był wyjmowany przed normalnymi bochenkami chleba (wychapuwany z piekarnika). Stanowił on niezwykle rarytas dla asystującej wypiekowi dzieciarni”¹. Autor z Przerośli nie podaje, jaka była różnica między *bondką* a *wychopieńkiem*. Jeżeli w ogóle była, bo w sumie chodzi o chlebek, którym raczyły się dzieci. Wypiekano je w myśl zasady, że na wsi nic się nie mogło zmarnować. Kobiety po skończeniu wypieku formowały bułeczki jako

podarek dla dzieciaków. W ten oto sposób nagradzały je za to, że oczekiwały na świeży chleb. Poza tym na Nowy Rok pieczono *faferneski*, tj. orzeszki z ciasta.

Sujka jest wpisana na listę produktów tradycyjnych województwa mazowieckiego. Oczywiście przez ó, jakby ją wypiekał ornitolog. Przepis na jej recepturę znaleźć można w internecie. Z tego, co przeczytałem, pieczony pieróg cieszy się sporym apetytem, choć sójki tak się guzdrzą z tym odlotem, ale ostatecznie zimę spędzają w południowo-zachodniej Europie. Na ich miejsce pojawiają się sójki z północy i ze wschodu.

Kto w dzieciństwie zasmakuje w *sujkach*, ten do końca życia ich nie zapomni. Oto przykład pierwszy z brzegu, moja matka z Kopanej, co jest naprzeciwko Pawłowic. Ludzie starej daty mają doskonały zmysł smaku z dzieciństwa, który w nich siedzi. Jak kaprys. Ponieważ pochodzę z wioseczki Kopana, którą na mapie zaznaczono *Szczera Wieś*, więc obowiązuje mnie zasada – jak kopać to kopać, a nie byle jak kopać, czyli *rykać*.

Piszę o tym z *trzeciej ręki*, bo to wykopała z pamięci moja matka Marianna. Przy okazji coś upiekłem, żeby ktoś nie myślał, że oblizałem się smakiem.

Sujka; „Zemsta Teściowej”; *Makutra. Felietony*, „Tygodnik Olecki” 2016, nr 50.

Kalendarz szkółkarzy

Moja siostra Czesława Bożena z Kopanej ma wiele przyzwyczajęń, jak na przykład, lubi wysyłać tradycyjne kartki pocztowe z okazji świąt, urodzin, imienin. Jak kogoś odwiedza, to nie przychodzi z pustymi rękoma. Zawsze ma drobny podarek z narracją. Kiedyś spytała, co mam w śwince-skarbonce. Odpowiedziałem, że *Graszka* wrzuca raz na tydzień dwie dyszki, a potem w grudniu, gdy jest czas prezentów, wyciągamy i mamy, jak znalazł, na podarki. Siostra szybko poszła po portmonetkę i wróciła tyle, ile daje na tacę.

Bożenka od lat zbiera kalendarze, którymi obdziela sąsiadów. W grudniu otrzymuję kalendarz, jaki wydaje Stowarzyszenie Polskich Szkółkarzy w Skierniewicach przy ul. Rybickiego 8. Na ostatniej stronie dołączona jest lista członków stowarzyszenia, które dba o to, żeby była wysoka jakość drzew, krzewów i owoców. To że mamy coraz smaczniejsze jabłka, śliwy, grusze, czereśnie, wiśnie i inne owoce, duża zasługa tych, co się znaleźli na liście, obejmującej 64 osoby. Są wśród nich moi krajanie: Andrzej Doliński z Grójca, Piotr Doliński z Wylezina, Piotr Jasiński z Kopanej, Ryszard „Arno” Nowakowski z Lewiczyna, Szymon Nowakowski ze Żdźar, Krzysztof Sobczak z Grójca. Z północno-wschodniej Polski jest tylko pani Nina Gursztyn z Braniewa, województwo warmińsko-mazurskie. Z przyjemnością odnotowuję imiona i nazwiska, bo rzadko się pisze o szkółkarzach.

Dzięki siostrze nie tracę kontaktu z okolicami *Kwitnącej Jabłoni*. Uczę się szczepić i ciąć, gdy odbije dziczka. Dobrze mieć siostrę, która ma niezłą pamięć i przypomina, skąd wyszedłem. Poza tym mój młodszy brat Ireneusza robi amatorskie zdjęcia tego, co odchodzi w niepamięć. W razie, gdy czegoś zapomnimy, można iść do matki Marianny, rocznik 1926, która zachowała wspomnienia o tym, co było drzewiej. Zawsze mogę liczyć na krajanów. Z Kopanej, Pawłowic, Wylezina, Racibór, Skrzeczeńca, Lasu Lesznawskiego, Pamiątki, Księżowoli, Rembertowa, Prac Małych, Tarczyna oraz z Grójca i zza Grójca, aż po Mogielnicę.

W młodości nie nadąża się za marzeniami. Na starość wspomnienia ożywiają i zatrzymują. Zamiast mówić, ile mamy krzyżyków na karku, powinno się przypominać, ile przeszliśmy w głąb kalendarzy.

Kalendarz szkółkarzy; Laczki; Uwagi z końca 2016 roku; Szampan. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2016, nr 52.

Żołnierze z ołowiu

Lalkami bawiły się dziewczynki, zaś chłopcy marzyli, żeby mieć ołowiane żołnierzyki. To było śnienie. Któż jeszcze o nich pamięta? Dlaczego zostali tak szybko zapomniani? Pierwsze żołnierzyki miałem z papieru. Rysowałem na tekturce. Kolorowałem, a potem wycinałem i ustawiałem na stole albo na podłodze. Moje wojsko było z papieru, którym też można się zaciąć. Po cichu marzyłem o bojownikach z ołowiu albo z cyny. I nagle stała się rzecz niesamowita. Pan Henryk Horst, nasz sąsiad, giser, pracownik „Stołecznych Odlewniczych Zakładów Żeliwa” w Warszawie, przyniósł pudełko towarzyszy broni. „To dla Mirka!”, powiedział. Zostawił na wieczną pamiątkę pełną kasetkę metalowych wojowników. Tak się tym ucieszyłem, że bardzo cicho podziękowałem, bo o mało się nie popłakałem ze szczęścia.

Miałem nareszcie swoje wojsko. To były wiarusy z cyny. Piechota, na koniach, z pistoletami i bagnietami jak zastygłe pioruny. Dzięki bojownikom mogłem toczyć niezliczone bitwy. Po każdym takim starciu zawsze któryś ucierpiał. Kruszyła się nakapana cyna. I kiedy na to patrzyłem, to uśmiech gasł na moich ustach i pojawiał się grymas na policzkach. W pojedynkach na niby zawsze były jakieś straty. Wojna jest wojną, niezależnie czy naprawdę, czy naumyślnie. Wybrakowanego żołnierzyka odkładałem do pudełka, które pełniło rolę lazaretu. Wiedziałem, że trep nie wyliże się z ran i złamań. Z czasem straciłem całe wojsko. Wszyscy, co mieli bronić, padli pokotem. Ojciec wyniósł na strych karton z połamanymi weteranami. Dopiero, kiedy straciłem ich z oczu, zacząłem o nich myśleć. Dla taty, starszego rzemieślnika, to była kupa złomu, choć mi tego nie powiedział, dzięki temu oszczędził mi dodatkowych przykrości.

Nie miałem konia na biegunach ani elektrycznej kolejki. Za to w długie zimowe wieczory cieszyłem się ołowianymi żołnierzykami, które odlał z cyny pan Henryk Horst. Dzięki zabawce z dzieciństwa, staram się, żeby był we mnie pokój. Ponieważ jestem synem tokarza, więc siedzę przy stole w warsztacie i obrabiam niepokój. W dużym pokoju z biblioteką. A za ścianą jest kuchnia na gaz, która nigdy nie jest błada.

„Zima miejska”; Przeżyć czy przeżyć?; Żołnierze z ołowiu; Bolesław Leśmian, na marginesie. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2017, nr 1.

Uważaj na przysłowia

Z przysłowiami trzeba uważać. Zmieniają się, jak pory roku. W listopadzie zwykło się przypominać, że „W listopadzie goło w sadzie”.

W grudniu 2016 roku otrzymałem od pani Jolanty Sas z Kopanej kolejne dary oraz listy z cenną uwagą: „Czy w listopadzie na pewno jest nago w sadzie? Otóż u Roberta Sasa obecnie na 15 drzewkach wiszą piękne owoce. Proszę się nie dziwić. Zostały, bo służą mojemu synowi, jako materiał doświadczalny. U sąsiadów wywołało to zdziwienie”.

I jeszcze jedno jej mini rozważanie z dendrologii: „Koło domu rośnie 46-letni kasztanowiec. Jednak tak mu, czy jej doskwiera samotność, że jeszcze nigdy nie było owoców. No cóż, nawet wśród drzew samotność jest trudna”.

Pięciopalczasty kasztanowiec z podwórka przy ul. Słonecznej, co jest po północnej stronie, tego nie zapisze, więc go wyręczę.

Postscriptum

Marek Karpowicz, Strach na dziki. Czyli strach polny. Silniejszy niż ten, co wystawał na owocowych drzewach, żeby wypłoszyć smakoszy czereśni (szpaki, wrony). Strach – niemy stróż pól i sadów. Stoi jak duża kukła, podszyta strachem. W kapeluszu płowym oraz w podartym ubraniu, gdzie lata na łacie. Sfilcowany i bosy, bo buty zgubił, goniąc złodziejasków, którzy chcieli go przechytryć.

Stop klatka; Z kalendarza przyrodniczego; O dziadku, picciu i paleniu; Uważaj na przysłowia; Chochół. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2017, nr 2.

Przekrzyczeć pociąg

Lubiłem czasami, jak przejeżdżała ciuchcia, krzyknąć, żeby sprawdzić, czy jestem w stanie skład pędzących wagonów przekrzyczeć. Takie to były te niewinne dziecięce zabawy. Zwykle to czyniłem nieopodal łąk, które były po drodze do „Górnego Dołu”. Pędził pociąg towarowy. A ja się darłem i nieraz byłem głośniejszy, niż skład wagonów relacji Piaseczno-Nowe Miasto nad Pilicą via Grójec. Zupełnie bym o tym zapomniał, gdyby nie pewien artykuł o Manachem Kipnisie, który „śpiewał, zbierał pieśni ludowe, pisał felietony oraz krytyki muzyczne, fotografował żydowskich mieszkańców miast i miasteczek”¹. Kiedy Menachem fotografował kantora Mosze Kusowieckiego, to go ustawił na torach kolejowych. W komentarzu do zdjęcia napisał: „Wielki kantor próbuje sprawdzić czy jego głos jest silniejszy od hałasu czynionego przez przejeżdżający pociąg” – opowiada Teresa Śmiechowska. Nie trzeba aż tak wielkiej wyobraźni, żeby zrozumieć, jakim on musiał dysponować głosem. Ponieważ nieraz udawało mi się przekrzyczeć pociąg wąskotorowy, więc kantor wzbudza mój podziw. A poza tym, co za podpis skomprimowany pod fotografią czarno-białą.

Odnutowuję to ku pamięci, bo w Polsce co rusz się zamyka kolejne połączenia kolejowe. Dość szybko zapominamy o tych, którzy tak dbali, żeby ludzie mogli odjechać i przyjechać. Doczekałem *późnych wnuków*, co potrafią nie tylko coś spieprzyć, ale i skasować przy okazji pociągi. Świadkiem zardzewiałe tory i zarośnięte nasypy, ściśnięte przez darń. Tym, co się dzieje, jestem lekko wystraszony. Jeszcze nie krzyczę, ale kto wie, czy nie podniosę larum, jak się wkurzę.

Ciuchcia cd.

Mój dom dzieciństwa był w Kopanie w tzw. okolicach *Kwitnącej Jabłoni*. Przez nasze strony przejeżdżała kolej wąskotorowa o prześwicie torów 1000 mm, którą skasowano po 1989 roku. Była solidna stacja z mansardami. Może nie taka, jak w tekście Agnieszki Osieckiej pt. *Balada o dziewczynie, co piła gorące mleko*:

*Są małe stacje wielkich kolei,
Nieznane jak obce imiona,
Małe stacje wielkich kolei,
Jakiś napis lampa zielona.
(...)*

Ciuchcia tyle lat służyła, póki ją nie dopadli solidarni chłopcy, którzy myśleli o jednym, jak zdemontować PRL i zrobić spięcie? jak rozebrać zakłady pracy, żeby zwiększyć bezrobocie?

Kolejka nasza była obiektem żartów, na przykład obowiązywał w niej *zakaz zbierania grzybów podczas jazdy*.

O grójeckim ekspresie, co wyglądał jak czajnik na szynach, po Polsce krążyła anegdota.

– Panie konduktorze, czy ten pociąg nie mógłby jechać szybciej? – pyta pasażer.

– Jak się panu bardzo śpieszy, to niech pan idzie piechotą – odpowiada konduktor.

– No aż tak bardzo, to ja się już nie spieszę – dodaje pasażer.

Nasyp kolejki wąskotorowej tzw. grójeckiej

Słownik języka polskiego krótko rozprawia się z nasypem, że to „«wał usypany z ziemi w celu podniesienia terenu w danym miejscu»”. A przecież usypać nasyp pod szyny kolejki wąskotorowej, to był straszliwy zapieprz. Na początku XX wieku ludzie musieli liczyć na własną siłę rąk i konia. Łopatami to usypywano i wyklepano, a resztę dopięła darń. Nie było mowy o cudach techniki, jak buldożery, traktory, koparki... Ileż musieli przywieźć furmanek ziemi, żeby powstał taki wał od Warszawy do Nowego Miasta nad Pilicą? Nie piszą o tym w żadnej książce, więc nie podejmuję się oszacować. To był trakt o dobrej robocie. Praktyka, a nie teoria.

Wzniesienie jest nieopodal naszej działki, po stronie Pawłowic, gdzie dawniej było boisko piłkarskie, a dzisiaj wyrósł las, który przez pola przeszedł i ma gdzieś miedzę. Od strony przymy rośnie dzika jabłoń, która rozsypuje pod jesień jabłuszka, po które nikt się nie schyla. Dzikie owoce spadają do fartucha, gdzie ziemia, trawa, chwasty i to, co wiatr przywiał. To, co powstało z kwiatu i pracy owadów, leży i na pewno po to nie sięgnie ręka, więc zgnieje.

Po drugiej stronie są brzozy i sosny, co wychodzą na skraj lasu.

Hałda zdziczała. Zarosła. Nasyp był zawsze skażony perwersją, bo na nim rosła tarnina, dzika róża, szczaw, łopian, rumianek. Tu był wielki atlas krzewów i ziół, i traw, które kosili ci, co pracowali na torach. Naszymi sąsiadami byli dwaj toromistrze: Jan Wrotek, zwany „Błażejem” i Andrzej Zarzycki, co mieszkał za miedzą. Do ich ekipy należał Rysio „Z Góry”, czyli Antosiewicz, ojciec Januszka, to on wyciął wszystkie akcje na stacji Pawłowice-Kopana. I na nic było larum „Starej Marcjanny”. Nawet radiowa audycja *Fala 56* nic nie wskórała. Piszę o tym, żeby P.T. Czytelnicy nie zapomnieli o tym, że dawniej szybko się rwali do siekiery, kłonicy, sztachety albo pasa. Niektórych świerzbiły ręce, jak wojom, co w pierw sobie popili, a potem szli na wojnę i ryczeli, bo to nie była sztuka wokalna. Szukali do bójki pretekstu. A jak przeżyli, to zostawiali bohaterami, zgodnie z rachunkami zwycięzców, choć tego nie dało się przeliczyć na pokój.

Teraz, kiedy ciuchcia nie jeździ po szynach, to musi być dopiero perwersja roślin.

Na innych zdjęciach kurhanu, jakie wykonał mój brat, leżą szyny, które nie zaznaczają jego górnej linii. Ireneusz, rocznik 1959, zrobił te fotografie za szybko, jakby chciał przyspieszyć, jak ci, co jadą rowerem z przerzutką.

Wyszło jak wyszło. Z brakiem. Po latach nie poprawi się wizerunku. Ale nic. Został nasyp, jak garb. Czyli lordoza, kifoza, skolioza, używając terminologii medycznej patologii. I pomyśleć, że jeszcze niedawno po nim sunęły pociągi towarowe i osobowe, i drezyny. U jego podnóżka była droga, którą przejeżdżały wozy, a nawet sprzęt ciężki. Drożyną chodziliśmy do lasu albo na łąki, albo na staw. Na kolejowym wzgórku zbieraliśmy szczaw na zupę z sadzonym jajkiem. Góra była dla pociągów, zaś dół dla ludzi, co szli na piechotę albo jechali wozem, albo traktorem po piasek do „Górnego Dołu”. Obsypisko było wtedy górą, a dzisiaj się tak się przygarbiło jak starzec podparty kijaszkiem.

Podobno śpiew słowika najczęściej można usłyszeć na skwerach, które znajdują się przy stacjach kolejowych. Te niepozorne ptaszki o donośnym głosie, zwiększają tembr w zależności od hałasu. Im większy, tym głośniej śpiewają.

Minęły lata i grobelka jest wszystkich, więc nikogo. Szczepa i nie ma na kogo liczyć, żeby ktoś się za nią upomniał. Publicystyka to za mało. Ludzie pamiętają, kiedy mają interes, który kruszy wszelkie przyjaźnie. A gdy targi się kończą, przychodzi zapomnienie i wygasza to, co jasne. Zostawia czarne dziury. Nawet nasyp nierówno się poprawia.

Próbuję z jego fragmentu, jaki został, coś ocalić, żeby nie było żegnaj, tylko do widzenia.

Brat zrobił zdjęcia, więc nie mogą być gorszy jak ciura.

Czym fundament dla domu, tym było wzniesienie pod szyny ciuchci.

A za oceanem jest zupełnie inaczej. Wystarczy zajrzeć do internetu i wklepać: tory kolejowe, „Hihg Lane” w Nowym Jorku.

Gdzie my jesteśmy?

Za niepamięcią.

Jedyna pociecha to ta, że – podobno – przed wielkim wybuchem było nic.

¹ Jerzy S. Majewski, *Reporter Żydowskich Nalewek*, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 29 stycznia 2014 roku.

Marek Karpowicz, *Tory kolejowe*, rysunek cienkopisem.

Jan Peszek, aktor, z czułością opowiadał o swojej babci Stefanii: „Mam przed oczami dzień, w którym odprowadzałem ją na pociąg, piękną, postawną. Wsiadła do przedziału i powiedziała mi jeszcze przez okno: «Janeczku, pamiętaj, życie jest piękne i krótkie jak pociąg»”.

Przekrzyć pociąg; Ciuchcia; Nasyp kolejki wąskotorowej tzw. grójeckiej. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2017, nr 4.

Od bajki do baśni

W krainę bajek wprowadziła mnie w Kopanie „Stara Marcjanna”, pani Krajewska, która pracowała w kiosku Ruch przy stacji kolei wąskotorowej Piaseczno-Gołków. Niewiasta nosiła fartuszek szkolny, spięty paskiem skórzanym, więc wyglądała jak dominikanka/franciszkanka. Starsza pani przywoziła mi tygodnik „Płomyczek”, czyli młodszego brata dwutygodnika „Płomyk”, oraz dwutygodnik „Miś”, i książeczki z serii *Poczytaj mi, mamo*. Tym, którzy plotą bzdurki o PRL-u, gdzie rzekomo głupimi siali i był totalitaryzm, przypominę, że członkowie Klubu Przyjaciół Płomyczka otrzymywali odznaki i legitymację z dewizą: „Płomyczek to czasopismo młodych, którzy chcą wiedzieć więcej niż muszą i umieć więcej niż jest od nich wymagane”. Iskierka.

Rodzice płacili jej za dostarczone czasopisma i książeczki, które miały format kwadratowy. Matka mi nie czytała, bo była przeciążona pracą. Ojcu takimi sprawami nie zwracałem głowy, bo tyrał w warsztatach kolei wąskotorowej w Piasecznie pod Warszawą. Po fajrancie myślał tylko, jak wskoczyć do pociągu, usiąść i kimać, bo w domu czekała na niego kolejna robota. Na działce, czyli w polu albo w warsztacie. Czytałem w kąciku kuchni i było mi błogo. Wieczorami rozmyślałem to, co wyłowilem ze *światła druku*. W bajkach tak się rozsmakowałem, jak w budyniu z malinowym sokiem albo w kiślu z herbatnikami. Były jak słodki podwieczorek. Oczywiście, że tego nie zauważyli rodzice, bo mieli poważniejsze sprawy na głowie. Nie wiem kto mi podrzucił książeczkę Marii Konopnickiej pt. *O krasnoludkach i sierotce Marysi*. Czytałem ją z wypiekami na twarzy, aż matka dotykała do mojego czoła, żeby sprawdzić, czy nie mam gorączki. Kazała mi włożyć termometr pod pachę. Ukradkiem zerkałem, jak rtęć szybko zaczęła się wdrapywać i przekraczać podziałkę, gdzie było napisane czerwonym drukiem 37⁰ C. Aż wyjąłem termometr i strzepnąłem o kilka kresek w dół. Podałem matce, która poinformowała ojca, że mam 36⁰ C i 6 kresek. Tatuś skomentował: „Marysia, ty zawsze przesadzasz!”

Dzięki temu fortelowi, upiekło mi się kolejne kłamstwo.

W książeczce już na samym początku znalazłem dziwne pouczenie:

*Czy to bajka, czy nie bajka,
Myślcie sobie, jak tam chcecie.
A ja przecież wam powiadam:
Krasnoludki są na świecie!*

Zgodnie z instrukcją Marii Konopnickiej, zacząłem szukać krasnoludków, tj. pod progiem, w kuchni. A kiedy otworzyłem piekarnik, to matuła zapytała – „czego tam szukasz?” Odpowiedziałem, że krasnoludków. Zajrzałem do torebek z cukrem, pod stół, żeby sprawdzić, czy są jakieś okruszynki na podłodze.

W południe poszedłem do dziadka Szczepana, który miał konia, wóz i bat, żeby posłuchać, jak krasnoludki z rzemienia w supełkach strzelają, a potem wiążą koniom długie grzywy i warkocze z ogonów, co jak spięte miotły. W oborze dziadek mnie trochę ofukał, żebym nie podochodził tak blisko do zwierząt, co mają silne kopyta, więc mogą mi zrobić krzywdę. Czy to prawda, że krasnoludki w stajni siedzą i czeszą konie?, pytam dziadziunia. Tata mojej matki spojrział na mnie i odpowiedział, że zmora nocą koniom płacze ogony i grzywy. Wpadałem w przerażenie i szybko poszedłem do domu, bo taki mnie strach obleciał, jak słowo daję. Wpadłem w popłoch. Dostałem cykora, więc szybko wróciłem do domu.

W pokoju czytałem *O krasnoludkach...* i przecierałem oczy ze zdziwienia. W książeczce było jak w bajce. Piękne słowa i kolorowe ilustracje. W *domowych pieleszach* poczułem się tak pewnie, że zacząłem opowiadać o krasnoludkach. Moje gawędzenie zbyto śmiechem. Tata był pierwszy, co chciał przegnać istoty nie z tej Ziemi. Krasnoludków tak broniłem, że zacząłem się jękać. W ramach perswazji zacząłem czytać na głos, co napisano w książce, czarno na białym, czyli zaczerniono:

(...)

*Pod kominem – czy pod progiem –
Wszędzie ich napotkać można:
Czasem który za kucharkę
Poobraca pieczeń z różna...*

*Czasem skwarków porwie z rynki
Albo liźnie cukru nieco
I pozbiera okruszynki,
Co ze stołu w obiad lecq.*

*Czasem w stajni z bicza trzaśnie,
Koniom splata długie grzywy,
Czasem dzieciom prawi baśnie...
Istne cuda! Istne dziwy!*

Powiedziałem z emfazą, że to, co napisane, to jest prawda. Jak musiałem wyglądać, skoro moją groźną minę potraktowano jak żart. I obśmiało, choć mówiłem jak ktoś, kto poluje na prawdę. Dzięki temu zrozumiałem, że „z bajki śmiech, z prawdy gniew”. Dziś bym napisał, że było tak jak w humorze z zeszytów szkolnych: „Sierotka Marysia służyła do spełniania życzeń gospodarza, a na swoje potrzeby miała tylko psa”. Że „Cel uświęca sierotki”.

I tyle w Kopanie. No cóż! Są pocieszenia, z których potem biorą się kłopoty.

Nie wiem, jakby się dalej potoczyły bajki, gdybym nie wyjechał do szpitala/sanatorium neuropsychiatrii dziecięcej w Zagórz koło Warszawy, powiat Stara Miłosna. W Białych ścianach spotkałem Eugenię Kawecką, dla nas to była „Ciocia Enia”, (28 VII 1905-20 VIII 1989). Matka Erazma Ciołka, artysty fotografika, milczka z Ochoty, z Alej Jerozolimskich. Cudowna wychowawczyni robiła wszystko, żebyśmy od młodych lat nasączali się literaturą. W myśl zasady: lejmy przez koszyk wodę, nie szkodzi, że przecieknie, ważne że będzie wilgotny. To ona nas prowadziła stroną wiersza Juliana Tuwima, Jana Brzechwy, Marii Konopnickiej, Wandy Chotomskiej i zapomnianego Or-Ota (pseudonim Artura Franciszka Michała Oppmana /1867-1931/), którego tak faworyzowała. Do tej pory pamiętam dziecięce strofy, które uczyłem się na pamięć jako smarkacz. To była wielki pedagożka specjalna. Wychowawczyni, która odeszła w zapomnienie, niestety. O niej myślę, gdy biedzę się nad tekstem wierszem i prozą. Ona nauczyła nas czytać dzieła literackie ze zrozumieniem, choć wtedy mówiono – *z sercem*. Przez palce patrzyła na błędy. Śmiesznie się denerwowała. Za jej srogością kryło się tyle czułości.

Dzięki niej nie musieliśmy wkuwać utworów na tzw. blaszkę. Jaka szkoda, że nikt nie napisał książki o nauczycielach, wychowawcach, lekarzach, siostrach, salowych i kucharkach, i innych, którzy pracowali z dziećmi po chorobie Heine-Medina (polio, H14, łac. *poliomyelitis anterior acuta*, ostre nagminne porażenie dziecięce, wirusowe zapalenie rogów przednich rdzenia kręgowego) w Zagórz pod Warszawą. „Ciocia Enia” nieraz zabierała nas do Warszawy, do kina, cyrku, teatru, nad Wisłę, a latem rozbijaliśmy się obozem nad Świdrem. Uczyła dużych i małych, że człowiek ma prawo być inny (stary, niepełnosprawny), więc trzeba mu pomóc, kiedy opuszczają go siły i na siebie nie może liczyć. Kiedy to wspominam, to na usta cisną mi się słowa ulubionego poety „Cioci Eni”:

*Niezapomniane młodzieńcze lata!
Szkolne wspomnienia niezapomniane!
Na ciężkich drogach chmurnego świata
Wyście jak balsam (...).*

„Ciocia Enia” nieraz mnie angażowała do Kółka Teatralnego, gdzie grałem w sztukach opartych na podstawie tekstów Marii Konopnickiej oraz Wandy Chotomskiej i Wacława Bisko. Byłem statystą, grałem epizody i główne role. Dzięki temu nabrałem praw, że moimi kolegami są aktorzy. Może lekko przesadzam, ale czasami trzeba, mówiąc po warszawsku, *troszkie* nakłamać, żeby to dało się czytać.

Bajki i baśnie są jak deser dla tych, co przeszli strach z odwagą.

Postscriptum

Rysunek Marek Karpowicz, Piec kaflowy.

Ku pamięci chciałbym przytoczyć pewne zdarzenie, jakie przytrafiło się pani Wandzie Chotomskiej: „(...) Kiedyś zaprosił mnie ksiądz na spotkanie z dziećmi. Odbывało się ono nie w sali parafialnej, tylko przed ołtarzem, więc musiałam improwizować, żeby nie było za wesoło. Potem podeszła do mnie starsza pani i mówi: „Pani Konopnicka, ja tak się przy tej «Sierotce Marysi» spłakałam” (*Matka na przychodne, autorka na stałe*. Z Wandą Chotomską rozmawia Katarzyna Bielas, „Wysokie Obcasy” Dodatek do „Gazety Wyborczej”. Sprzedaż łącznie z „Gazetą” 2013, nr 22, „Magazyn Świąteczny. Gazeta Wyborcza” z 1-2 czerwca 2013 roku, nr 126).

Od bajki do baśni. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2017, nr 7.

Łyk oranżady

Z oranżadą jest tak jak napisano w słowniku w żąbkach: «musujący napój chłodzący z wody, cukru i soku owocowego». Butelka była zamknięta porcelanowym korkiem z gumką. Taka konstrukcja nazywała się kabłąkiem, tj. wygięciem w łuk. Była to niby klamra z grubego drutu, którą przymocowano do butelki z grubego szkła. Jak się szybko otworzyło wgięcie w łuk, to słychać było pusty strzał, a za chwilę z szyjki wydobywała się piana. I trzeba było szybko przyłożyć do ust, i pić słodziutkie bąbelki oranżady. Pycha! Rozsadzało policzki i drażniło przełyk. A gdy się chwileczkę odczekało, to się bekało i mówiło z dziecięcym wdziękiem – przepraszam. Wydzielanie gazów ustami, strasznie nas śmieszyło. Ci co pili oranżadę, mieli wokoło ust wielkie zaczerwienie, pewnie od proszku, który dosypywano, żeby były bąbelki.

W latach 60. XX wieku na weselu w Tarczynie u wujka Zygmunta, piiliśmy tyle oranżady, że co rusz ganialiśmy do drewnianego wychodka. Starsi oranżadą albo wodą sodową (z syfonu) optokiwali usta, przepijali wódeczkę, która ich wykrzywiała. Wypili i gadali, że *mocna jucha!* I szybko za zakąskę albo za butelkę. Po czym nalewali do szklanki oranżadę. Dzieci sączyły prosto z butelki.

Była też lemoniada w proszku. W małej paczuszce. Też pycha. Słodko-kwaśna, jakby mandarynki wyciśnięto z cytrynki. Może trochę przesadzam, ale chyba nie do końca. Proszek sypaliśmy na dłoń i zlizywaliśmy.

A jednak... najlepsza była cytrynada z butelki. Można było ją pić i pić, i zniewalać pragnienie.

Zamiast zmniejszać łaknienie, lemoniada wzmagała, więc trzeba było sięgnąć po kolejną butelkę z takim dziwnym korkiem na sprężynkach, który otwierał się jak scyzoryk. I trzaskał, jak przeciąg.

Pomoc; Zgoda; Baba wielkanocna; „Suchar”; Łyk oranżady; Deczko. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2017, nr 15-16.

Miejsce w pamięci

W powieści Aleksandra Solżenicyna pt. *Oddział chorych na raka* natrafiłem na cytaty, który nie daje mi spokoju: „Które miejsce godne jest twojej miłości? Czy to, w którym przyszedłeś na świat jako wrzeszczący noworodek, nieświadom jeszcze niczego, nawet doznań własnych oczu i uszu? Czy to, w którym po raz pierwszy powiedziano ci: «Możecie iść bez konwoju. Idźcie s a m i!»”.

Solżenicyn pisząc *sami*, ma na myśli przypowieść biblijną o paralityku, który nagle ozdrowiał i wstał, więc wziął swoje łożo i poszedł. To jest, oczywiście, życzeniowy przykład, którego w szpitalu nie spotkasz. Bo nie ma takiego ozdowieńca. Do zdrowia się *dochodzi*, ale bez takiego bagażu na grzbiecie.

Dylemat miejsc, które pokochaliśmy. Czyli trudny orzech do zgryzienia, kiedy się ma 15 lat albo 60+.

Jaki stąd wniosek?

Ano taki, że do miejsc, które pokochaliśmy w dzieciństwie i młodości, nie powinno się powracać, bo można się rozczarować.

Mam swoją literacką okolicę *Kwitnącej Jabłoni*. Z Kopaną. Jest Grójec, w którym zawiązano mój pępek. A za trzy lata na grójeckiej uliczce zachorowałem i upadłem, jakbym miał przyciasne buciki. Mocno trzymam się Tarczyn, gdzie kilka razy byłem i na stare lata zostałem jego honorowym obywatelem. Nie wiem, jakie mam z tego tytułu przywileje, a jakie obowiązki? Po drodze mijam szkołę w Pamiętce, wybudowaną w latach 1925-27. I jest też Busko-Zdrój ze słońcem w herbie, gdzie w sanatorium dziecięcym *Górka*, wiosną 1970 roku, powiedziano, że mogę iść do ojca, który przyjechał, żeby mnie zabrać do domu. Poczułem, że nagle wszystko, co tu było, ode mnie zaczęło się odklejać. Jak znaczek od widokówki/koperty. Wyszedłem jak człowiek zdrętwiały. Czułem brzemię, jakie stąd zabierałem. Z traumą, choć wtedy jeszcze nie znałem takiego słowa. Był 1970 rok, wiosna.

Drzewiej o ludziach mawiali, że są z *ptoków* (czyli ci, co przylecieli, przyszli na *nowiznę*) albo z *krzoków* (osiedleni na ziemi zwanej *pępkowa*). Taki był jasny podział jak cholera, choć cholera wtedy nas bierze, gdy nad nami ciemność, że *oko wykol*.

Zamiast; Miejsce w pamięci; Siewca; Dziennikarstwo; Cisza. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2017, nr 20.

Z okolic *Kwitnącej Jabłoni*

Nieraz cytuję fragmenty z listów, jakie otrzymuję od pani Jolanty Sas, która mieszka w Starej Kopanie, w tzw. okolicach *Kwitnącej Jabłoni*. Moja sąsiadka pisze świetne noty. Oto garść słów jak wiosenny oddech: „(...) mamy upagnioną po zimie wiosnę. Wszystko się zazieleniło. (...), zakwitły czereśnie, morele i brzoskwinie, nawet jabłonie zaczynają rozwijać swoje pąki. Tylko znikła radość i nadzieja na soczyste owoce, które cieszyły oko i podniebienie. Jedna noc z minusową temperaturą i wszystko zamarzło. Czarne słupki kwiatów, nic dobrego nie wróżą. A szkoda. Opadną kwiaty i zostaną puste drzewa. Tak na wsi bywa. Tu nie wszystko zależy od dobrej pracy gospodarzy. Bądźmy jednak dobrej myśli, może nie wszystko stracone. A jeżeli nawet. To nie koniec świata. W przyszłym oku możemy mieć klęskę urodzaju”. Na koniec listu dodaje: „okolice «Kwitnącej Jabłoni» wyglądają obecnie pięknie, obsypane białym i różowym kwieciem. Jest uroczo”.

Cytuję, bo robię literaturę na ponad 400 osób, jakie żyją w Kopanie. Dodam, że wszystkich budynków jest 424, w tym 108 domów mieszkalnych. Za pomocą naszej wioseczki opisuję świat. Kopana jest lustrem, do którego zerkają inne wsie, miasteczka, miasta i metropolie całego świata.

Powidoki; Z okolic „Kwitnącej Jabłoni”; Prowincja Nr 1(27) 2017; Kroniki 2017 nr 1. Felietony, Tygodnik Olecki 2017, nr 22.

Pani Maria

„Pochodzę z Dziarnowa koło Mogielnicy”, powiedziała pani Marianna Jakubowska, emerytowana nauczycielka ze Szkoły Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiątce; obecnie mieszka w Pracach Małych koło Tarczyna.

Zapytałem o tę wioskę, bo zawsze mawiano, że pochodzi spod Mogielnicy. „Do Mogielnicy chodziłam do Liceum Nauczycielskiego, pięć kilometrów”, dodała. Potem podjęła pracę w szkole w Lipiu, gdzie poznała Kazimierza (1927-2003). A w 1954 roku przyjechała uczyć w Pamiątce, bo był wakat.

– Jakie to były czasy?

– To były czasy komunizmu, szkoda, że takie były. Byliśmy młodzi, ale mieliśmy *sito* w głowie, więc przesiewaliśmy to, co nam mówili – odpowiada przez telefon komórkowy, leciutko wzdychając, że młodość przeszła z podciętymi skrzydłami.

Pani Marianna nie ocenia. Stwierdza jak człowiek, który przeżył czasów wiele. Jest w tym pogoda ducha i zdrowy rozsądek, co trzyma dwa końce życia. To mi imponuje.

Ileż trzeba przejść przykrości, żeby się uspokoić. No, właśnie. Ile?

Odłożyłem słuchawkę i zajrzałem do internetu, żeby się dowiedzieć czegoś więcej o miejscu urodzenia najstarszej nauczycielki ze szkoły, do której chodziłem z przerwami, więc nie jestem jej absolwentem, niestety. Dowiedziałem się, że Dziarnów to wieś w województwie mazowieckim, przez którą przepływa rzeka Mogielanka, lewobrzeżny dopływ Pilicy. Przy tej rzeczulce stał młyn wodny. Do właściciela młyna należał most, zwany lokalnie «upustem», ponieważ miał zamontowane stawidła, które regulują poziom wody. Z Dziarnowa do Mogielnicy jest 5 400 metrów, na piechotę – jak wyliczono – idzie się 1 godzinę i 6 minut. Przez to miasteczko dwa razy przejeżdżałem ciuchcią, jak jechałem do Nowego Miasta nad Pilicą. Było to 12 września 1965 roku, w niedzielę. Mój ogłód z wagonu kolei wąskotorowej nie upoważnia do komentarza, ale... Pamiętam stację, bo podobna było do tej, jaką wybudowano w Grójcu.

O Mogielnicy wiedziałem, że było tam Państwowe Seminarium Nauczycielskie, które po 1945 roku zmieniło nazwę na Liceum Pedagogicz-

ne. To były strony sadowniczo-warzywne. Matka nieraz opowiadała, że stamtąd pochodzi pani Jakubowska z Pamiątki.

W Lipiu zamieszkał na ojcowiznie Grzegorz Jakubowski, syn pani Marianny, i bardzo sobie to miejsce chwali. Kiedy zapytałem, co jest takiego w tej miejscowości, odpowiedział, że *w Lipiu są tylko sady i sady*. Nie ma szczyrych pól uprawnych ani lasu. *Mirek, to jest największy sad w Europie*, dodał z grójecką dumą mój szkolny koleżka, rocznik 1955. Zachował się jak lokalny patriota, który hamuje, na wszelki wypadek, żeby nie posunąć się za daleko. I to jest też cenne, więc odnotowuję dla tych, którzy mają kłopoty z tym, jak się zachować w pewnych życiowych sytuacjach.

Tryptyk uczniowski; Pani Maria; Dyskryminacja; Wierzby. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2017, nr 24.

Przyciąganie

1. Ciągnie nas, tam gdzie zawiązano nasz pępek. Jak magnes przyciąga opilki, tak i my pędzimy, tam gdzie było dzieciństwo (rozbiegane) i młodość (skrzydlata).

Warto mieć swoje miejsce, które dobrze działa na nostalgię, która wywołuje *czarne psy* (depresję).

Jestem zakorzeniony w okolicach *Kwitnącej Jabłoni* i rozkrzewiony na Ursynowie, i bywam ptakiem dla innych miejscowości w Polsce, do których już nie pojadę. Im więcej mam lat, tym częściej odzywają się do mnie krajanie/ziomkowie. Pytają. Nie tracę z nimi kontaktu. Swoich mogę słuchać i to mnie nie męczy. Kumoterstwo też ma swoje dobre strony. Stare znajomości bywają jak radosne kłopoty.

Ponieważ od lat nie ruszam z domu, więc odbywam wirtualne peregrynacje. Wspomagam się komputerem, który jest cudem z tej ziemi, więc nie będę o nim niebiańsko się rozpisywał. Odwiedzam miejsca, gdzie bywałem. Wklepują słowa-klucze, a czasami wytrychy. Jak nie otwierają się drzwi, to wchodzę przez okno. Ostatecznie przez komin. Surfuje po internecie jak delfin. Wspomnienia ożywiają, więc nie muszę zawiązywać *węzelka z wiatru*.

2. W lipcu br. zostałem (po raz 113.) laureatem konkursu. Otrzymałem nagrodę specjalną za zestaw wierszy o tematyce grójeckiej w 37. Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim „O Laur Jabłoni 2017”. Oczywiście, że forma uznania cieszy, bo jest od swoich. Dzięki wyróżnieniu, odezwał się Kazimierz Kochański z Grójca.

Pamiętam jak w latach 70. XX wieku przyjechał z Głuchowa do Kopanej, żeby mnie odwiedzić. Matka wyszła przed dom i powiedziała, że nie ma mnie w domu pod nr. 55.

W czerwcu 1993 roku minęliśmy się na koncercie jazzowym tria Zbigniewa Namysłowskiego w Grójcu. Kazimierz zachował się jak meloman, a ja poszedłem do bufetu, żeby posłuchać o czym grójczanki i grójczanie oraz grójcecczanie (czyli z regionu, a nie z miasta) rozmawiają. Ponieważ napotkałem mężczyzn, więc nic odkrywczego nie napiszę, gdy odnotuję – klęli. Jak Polacy.

Do tego miasta, przez które przepływa uregulowana struga Molnica, mam słabość, może nie taką jak moja ciocia Wandzia z Kobylina, ale... Kiedy swoją chrestną pytałem o kogoś z Grójca, a ciocia nie mogła sobie przypomnieć, to usprawiedliwiała się: „Mirusz, nie znam, więc to może być Cygan albo Żyd”.

3. W internecie (medium strumieniowe), na YouToubie odnalazłem *Kulturalne wywiady Sławka Drygalskiego*, Studio Mazowiecka TV. Spośród wielu rozmów wybieram dwa rodzinny z grójeckiego drożdżowego ciasta, a może to jest szarlotka na kruchym podkładzie?

Kazimierz Kochański, rocznik 1950, urodził się w Zalesiu Górnym (dawny powiat grójecki). Oto, jak opowiada o miejscu, w którym się zachłysnął światłem: „W Zalesiu Górnym było wszystko na podwórku: kwiaty, zwierzątka, piękni ludzie. Nie było siatki i ogrodzenia, więc świat był otwarty. Nie było asfaltowych ulic. (...)”. Jest grójczaninem z wyboru. Pisze wiersze, fraszki, piosenki (dla dzieci i dorosłych), aforyzmy, gra na gitarze, śpiewa, recytuje, dozuje wedle własnej receptury krople liryczne. Jak przystało na milczka, bywa ścichapek. Pełni funkcję przewodniczącego Komisji Rewizyjnej Związku Literatów Polskich („Grójec kontroluje Warszawę”). Marek Wawrzekiewicz, jego pryncypał, mówi: „Pan Bóg go nam zesłał”. Kazimierz nie potwierdza tego ani nie zaprzecza. „Udało mi się więcej niż marzyłem”, dodaje. To znak, że z nawiązką ocalił to, co należy do obowiązków każdego z nas. Jego życiorys jest krótki, bo ma sporo osiągnięć. Aha! Latem odbywa po Polsce peregrynacje, zakłada czarny T-shirt z napisem „Jestem z Grójca”. I śmiga po Polsce!

Jan Zakrzewski – śpiewak (tenor operowy), urodzony w 1952 r. w Grójcu.

Pamiętam Jana, jak był uczniem w Zespole Szkół Elektryczno-Mechanicznych im. gen. Zygmunta Berlinga w Piasecznie (w lokalnym nazewnictwie „Wiadukt”, bo była nieopodal estakady PKP). Do szkoły średniej dojeżdżał ciuchcią grójecką.

Mieszkał w Pracach Małych. Był wokalistą zespołu big-beatowego „Wieśniacy”, który koncertował na potańcówkach szkolnych oraz wiejskich zabawach. W tym miejscu przytoczę komentarz pani Jolanty Sas z Kopanej, bo oddaje ówczesny klimat: „Bawiono się na tzw. «dechach», które były miejscem do tańca, a nieraz i do bójek”. Lata 60. i 70. XX

wieku. Czasy, kiedy ludzie ukrywali to, że są ze wsi albo małych miasteczek. A tu nagle w nazwie padło takie pastewne słowo, zabite dechami. To, że nie ukrywali skąd pochodzą, bardzo mi imponowało. Nieraz widziałem go jak wysiadał z wagonu na stacji kolei wąskotorowej Tarczyn Wąsk. (w: P.K.P. Bilet strefowy, Ważny na poc. osob. 2 kl.). Dziewczęta podkochiwały się w tym brunecie. Niejednej szczebiotce mocniej biło serduszko w klatce piersiowej. Jan był taki radosny, uśmiechnięty. Miły uczeń. Nigdy z nim nie rozmawiałem. Moja siostra z estymą o nim opowiada. To jest na pewno talent śpiewaczy. Nigdy tego nie ukrywał, że „musiał się wyśpiewać”.

Jest absolwentem Wokalno-Aktorskiej Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi.

To laureat wielu konkursów śpiewaczych. Od Krynicy do Tuluzы via Ateny.

Jan w czasach PRL-u postawił na partie operowe i operetkowe. To świadczy, że wykazał się świetnym gustem i dobrym smakiem. Że potrafi wybrać na swoją miarę, więc nie trzeba go pouczać.

Występował na europejskich i amerykańskich scenach operowych. Nie słyszałem, żeby *strzelił koguta* (pomylił się). Świetnie opowiada o swojej pasji. Zachowuje dyskrecję do osobistych spraw. Nie robi z własnego życia pralni i magła. Ponieważ jest zapiewajką, więc wcale się nie dziwię, że sprawuje opiekę wokalną nad *Chórem Miasta Grójec*. Uczy śpiewaków, jak brać oddech (i nie tylko!). Dzięki muzyce łatwiej się niesie ciężary życia i losu. Na to zwrócił uwagę Nikołaj Semionowicz Leskow (16 II 1831-5 III 1895) w bajce o drwalach¹.

Jego znakiem szczególnym jest nostalgia i słabość do słowa *naprawdę*.

Jest w tym, co robi, wdzięk, uroda, i coś, co zwie się skromnością. W tym krupcu (dziarninie) jest też trochę życiowego dziegiu. Jan to jest ktoś, z kim od lat się liczą.

Nie wiem, czy się na mnie nie obrazi, gdy napiszę, że to równy ziomek.

4. Z przyjemnością piszę o Kazimierzu K. i Janie Z. Poecie i śpiewaku, który potrafi zapanować nad wniebogłosem.

To są nietuzinkowi ludzie z moich stron, którym coś się udało.

Trafnie powiedział Kazimierz, że „Miejsca urodzenia nie zgrabisz...”.

W moich stronach mieszkają ludzie, którzy świetnie sobie radzą z tym, co przynosi życie. Nie mieszkają im się w głowach pojęcia, więc mają wszystkie klepki poukładane. Mieszkańcy pracowitością doszli do tego, że bieda nie ma wielkiego pola do popisu. A że biorą ich na języki, to dowód na to, że w Polsce ciężko się znosi wieść o tym, że komuś się powodzi. Tu też żyją malkontenci. III RP jest długa, szeroka i podzielona. Nie przesadzę, gdy dodam, że ci, co cenią rzemiosło, mają szacunek do sztuki.

Pani Jolanta Sas z Kopanej leksykalnie ujmie: „Wspomnienia zawsze są miłe, bo wychodzą spod serca i rzucają światło na nasze życie dawne i teraźniejsze.”

Okolice *Kwitnącej Jabłoni* to jest mój feblík, jak już nieraz pisałem. Tych, którzy mają mi to za złe, że się powtarzam, chciałbym nieco uspokoić. Nie czynię tego, bom *zakuty łeb*. Sprawa jest prozaiczna – stron dzieciństwa i młodości nie jest łatwo wypłoszyć jak fru!

¹ Roberto Benigni, słynny aktor i reżyser włoski, tak powiedział o poetach: (...) *Tworzą dźwięki. Komponują muzykę z wyrazów. Najbardziej odpowiada mi metafora Leskowa, który opowiadał historię o drwalach. Otóż drwale chcieli dźwignąć drzewo. Siłowali się, a ono ani rusz. Wreszcie jeden z nich wskoczył na pień i zaczął śpiewać, a wtedy oni je podnieśli, pomimo że teraz ciężar był większy, bo śpiewak stał na tym drzewie ... Oto, czym jest poeta! Poeta to ciężar dla ludzkości, wielki pasożyt i nierób! Nic nie robi, włazi na drzewo, które inni chcą podnieść, ale swoim śpiewem daje im nieprawdopodobną siłę. Poeci dają rację życia. Są naszym ciężarem, ale dzięki nim czujemy się lekko. Wskazują drogę, choć wcale tego nie chcą. Wielki poeta nigdy nie wskazuje wprost, ale jakoś tak mimochodem, przez to, że jest. Poeci to górnicy, którzy wchodzą do czarnych tuneli i wydobywają skarby natury, o których zapomnieliśmy. Robią to niestrudzenie, od rana do wieczora, choć niby nic nie robią... (Pasożyty i nieroby. Z Roberto Benignim rozmawiał Jarosław Klejnocki, „Wysokie Obcasy” 2003, nr 28, dodatek do „Gazety Wyborczej”).*

Marek Karpowicz, Gołębie, akwarelka, technika mieszana. Kiedy się pisze o ludziach gołębiego serca, to trzeba wybrać coś lekkiego jak piórko. Sypnąłem garść słów o dwóch krajanach, którzy jak chwyt Janek wędrowniczek, ruszyli w szeroki świat. Znam ich z drugiej ręki, więc mogę powtórzyć za Marią Konop

Zapisane na chrzanowym liściu

Marek Karpowicz, *Oselka masła na chrzanowym liściu*, wykonano w technice mieszanej (akwarelka, cienkopis).

Dnia 29 kwietnia 2017 roku otrzymałem od starszego kolegi serię rysunków wraz z listem: „Czesławie, ja jako człowiek gorszego sortu, urodzony i wychowany w PRL-u, w czynie 1- majowym, w geście solidarności z klasą robotniczą, wykonałem dwie skrzynki na jabłka (płatony – u nas nazwa nie znana). W geście solidarności z chłopstwem uklepałem oselkę masła (chyba zanadto przyżółciłem), a w geście poparcia leśników, wypatrzyłem wysmukłą sosnę, której nie zdążyli wyciąć (chwała im za to). (...)”.

W trymiga odpisałem śmiałkowi-emerytowi z Sejn: ja jako młodszy człowiek, też „gorszego sortu” i zakochany po uszy w PRL-u, jestem kolejny raz zaskoczony Twoim twórczym czynem 1-majowym. Po takiej robocie mogę napisać, że spisałeś się na medal, ale... nie taki, jaki wyklepują i wklepują potem na piersi albo w klapę. Cieszy mnie, że trzymasz z klasą, o której sobie przypominają, gdy trzeba żebrać o głosy. Dzięki, starszy chwacie!

Pani Jolanta Sas, moja sąsiadka ze (Starej) Kopanej, która pisze lapidarne listy, przypomniła, co jedli nasi krajanie spod Tarczyna, Grójca i Piaseczna. Uchylę rąbka korespondencji, choć wiem, że cudzych listów nie powinno się cytować. Ale czynię wyjątek, żeby ci, co tak chrzanią, wiedzieli, jak należy szanować wspomnienia z PRL-u: „Ze swojego dzieciństwa i młodości pamiętam garnek zupy na ciepłej kuchni i smakowity bochen chleba, upieczony na liściach chrzanowych przez mamę. W komórcie masło własnej roboty, ser maślanka, śmietana w glinianym pojemniku, którą można było kroić nożem. Na niedzielę gęś, czy kura z podwórka. No i rogaliki, bułeczki, które mama przywoziła z Warszawy, wracając od lekarza. To był rarytas. Chleb z cukrem, polany herbatą czy śmietaną, też był codziennością. (...)”.

Stroną dzieci; Profesor Walery Pisarek; Różewicz-partyzant; Zapisane na chrzanowym liściu. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2017, nr 32.

Platon

Tu nie chodzi o filozofa Platona (właśc. Arystokles), który miał szerokie bary. Dzięki plecom otrzymał przydomek Platon. Platon to jest pół skrzynki na owoce. Można w wielkim uproszczeniu napisać, że to, z grubsza rzecz biorąc, pół skrzynki. Do platonów kładziono owoce (czereśnie, wiśnie, jabłka, śliwki, gruszki). Platony było łatwiej nosić niż skrzynki. W nich najczęściej przechowywano owoce. Oczywiście, że były zbite z drewnianych deszczulek. Plastikowe platony to późniejszy wynalazek, choć nikt nie mówi, że to platony tylko skrzynki.

Drewniane platony były używane w okolicach *Kwitnącej Jabłoni*. Oprócz nich były skrzynki (30x50x40 cm), czyli dwa platony. Mini skrzynki miały wymiar 20x60x40 cm. Oczywiście, że zostały wyparte przez kartonowe albo plastikowe pojemniki. Jeszcze można je spotkać na strychach. Takie skrzyneczki zbijał w Kopanie stolarz Jan Ogrodny z Wołynia wraz z pomocnikami. Tego typu konstrukcję potrafił wykonać każdy na wsi. Wystarczyło mieć młotek, gwoździe, listewki i trochę zapалу. „To żadna filozofia”, mawiano. Aha! Polski pawilon na EXPO 2015 w Mediolanie zbudowany został w kształcie skrzynki na jabłka. Na podstawie zdjęcia mojego brata Ireneusza, Marek Karpowicz wykonał akwarelkę, ku pamięci, a nie dla kaprysu.

Drewniany platon odszedł już do lamusa; podobnie jak wieś zabita dechami.

Rozpisuję to, co zwie się sentymentem. Dopokąd żyjemy gra w nas harmonia uczuć i budzi wspomnienia. Mam swoją wioseczkę Kopanę, z XX w., stąd się biorą moje ciągotki i przyzwyczajenia, które lubią się powtarzać, bo z wiekiem pamięć ucieka i coraz trudniej ją odnaleźć.

Bez szyn i podkładów; Księżę gaf; Na odwyrtek; Lipa; Platon. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2017, nr 35.

Było, minęło... zostało

1. Dotychczas ukazały się dwa opasłe albumy fotograficzne dotyczące Tarczyna i okolic. Przepraszam, ale zważyłem i okazało się, że każdy ma 1,5 kg. Ciężar książek zobowiązuje, żeby o nich lekko napisać. A więc do dzieła.

„TACY BYLIŚMY JESZCZE W CZORAJ... Ziemia tarczyńska na starej fotografii”, Patronat honorowy publikacji: Barbara Galicz – Burmistrz Tarczyna, wybór zdjęć, redakcja i przygotowanie do druku: Alfred Kohn. Wydawca: Gminny Ośrodek Kultury w Tarczynie, Tarczyn 2012, ss. 269. Na kredowym papierze wydrukowano mnóstwo zdjęć czarno-białych z XX wieku. Bez narracji. Z drobnym podpisem. Jest to baza, z której będzie mógł korzystać historyk zajmujący się Ziemią tarczyńską oraz dawnym powiatem grójeckim. W albumie znaleźć można kilkanaście zdjęć, które aż proszą o artystyczny sznyt, a nie o dziennikarski pośpiech. Ze starym czarno-białym zdjęciem trzeba bardzo ostrożnie, bo ma w sobie bonus poezji. Na przykład wizerunek ze strony 33: „Przydrożna sprzedaż owoców. Czesława Jędrzejewska i handlarz wyznania mojżeszowego, Tarczyn, ok. 1930 r.” To już jest na granicy plastyki (malarstwa) i filmu. To jest mistrzostwo. Niby z pobocza scenka rodzajowa, a ile w niej nastroju ze starego płótna.

2. **„TACY BYLIŚMY JESZCZE W CZORAJ... Tarczynian portret własny”**, Patronat Honorowy Publikacji: Barbara Galicz – Burmistrz Tarczyna, wybór zdjęć, redakcja i przygotowanie do druku: Alfred Kohn. Wydawca: Gminny Ośrodek Kultury w Tarczynie, Tarczyn 2014, ss. 279. Druk zwarty, format A4, papier kredowy. Powtarzam dane, żeby wypublikować sprawców dzieł-albumów. Tym razem wybrano do prezentacji zdjęcia rodzinne i osoby powszechnie znane w Tarczynie i w sąsiednich wioskach. Zaczynają obywateli i tych, którzy żyli, i pracowali na dobre imię miasteczka słynącego z Fabryki Wąg i soków owocowych. To jest taki tygiel, w którym aż życie kipi, choć wokół są wsie takie spokojne. Jak z wierszy poetów, co pisali z rymem i przestrzegali zasad interpunkcji, i przestankowania.

3. Trzeci album serii pt. **„TACY BYLIŚMY JESZCZE WCZORAJ... Tarczynian portret własny”** jest kontynuacją albumu z roku 2014, w którym pomieszczono fotografie od XIX do XX wieku.

Na zdjęciach czarno-białych jest zawsze więcej poezji, niż w zdjęciach kolorowych, w których proza życia. Bonusem do nich są wspomnienia. Dobrze się stało, że fotografie, które zwykło się przechowywać w różnych pudełkach, wreszcie wyjawiono. Oczywiście, że każde z tych zdjęć ma swoją opowieść i tajemnicę. Większość ludzi już z nich odeszła. Milczy o nich niebo i ziemia. To znak jaka pamięć jest krótka. Czasami już nie można sprawdzić, kto jest kto. Z pierwszego rzędu i w tle. Widać na nich twarze, które patrzą w obiektyw, niektórzy lekko uśmiechają się, inni są zastygli, jak człowiek, co dał się złapać w tarapaty. Fotografie mają wartość sentymentalną.

Dobrze się stało, że wydano albumy starych zdjęć. Ku pamięci. Że jeszcze zdążono przed czasem, co do czasu trzyma sztamę z przemijaniem. To, co Tarczyn zrobił, ocalając zdjęcia przed zapomnieniem, niech będzie wzorem dla innych miejscowości. Póki żyją jeszcze świadkowie. Żebyśmy nie musieli się po latach biedzić i pytać: kto jest kto? Trzeba zapisywać, ale nie ołówkiem, którego tak łatwo zmasać. Pamiętajmy o tym, żeby było galante!

Fotografie to nieme narracje o chwilach, które złapano migiem. Założone, pogięte, urwane. Z falbanką, bo tak je ówczesnie przycinano na gilotynie. Są z zębkiem czasu, jak mówiono. Należę do pokolenia, które pamięta ślubne fotografie, co wisały w pokoju nad łóżkiem. Dobrze podrasowane, upiększone jak landszaft. Zdjęcia czarno-białe z latami nabierają kolorów i wartości sentymentalnej. Mogą liczyć na odruch pamięci. Najczęściej tkwią w pudełkach po butach, po których już nie ma śladu. Czekają, żeby ktoś je wyjął i wzrokiem omiótł. Fotografie też mają swoje pytania, kiedy je wyciągamy na światło dzienne. I milczenie. Że coś tak szybko odchodzi.

Trzy albumy fotograficzne z Tarczyna. Od pierwszego do trzeciego, są udanym cyklem wydawniczym, w którym jest urok, wzruszenie, piękno i lekka pogoda nad przemijaniem. Zdjęcia ożywią się, kiedy się na nie patrzy; podobnie rzecz się ma ze słowami, gdy układa się zdania w formie myśli. Angela Carter napisała, że „Fotografie to kęs czasu, który można wziąć do ręki” (*Magiczny sklep z zabawkami*).

Fotografia ma dwa wymiary, kiedy nikt do niej nie zagląda, wystarczy, że weźmiemy ją w dłoń, a obdarowujemy ją trzecim wymiarem, z którym czas się liczy.

Dobrze się stało, że wydano w druku zwartym zdjęcia sprzed lat. Dzięki temu przypomniano kolejny raz, że dobrodziejstwo pamięci tworzą żywi i ci, co odeszli. Że trzeba się czasami zatrzymać, jak do fotografii, która po latach tak nas porusza. Należy się cieszyć, że zachowały się stare fotografie, wywołane ze światłoczułej kliszy. Że nie szczęły. To jest *in memoriam* (ku pamięci).

Być może narażę się ekologom, ale... napiszę, że warto było ściąć drzewa, aby uzyskać pulpę, żeby wytworzyć papier, na którym wydano (kolejny) album starych zdjęć z Tarczyna i okolic *Kwitnącej Jabłoni*.

Od wydawcy. BYŁO, MINĘŁO... ZOSTAŁO, [w:] TACY BYLIŚMY JESZCZE WCZORAJ... Tarczynian Portret Własny. Wybór zdjęć, skład albumu i redakcja: Alfred Kohn. Patronat Honorowy Publikacji: Barbara Galicz – Burmistrz Tarczyna. Wydawca: Gminny Ośrodek Kultury w Tarczynie, Tarczyn 2017, ss. 176.

Tadzio

Tadeusz Franciszek Machnowski, to jedyny poeta, o którym myślę z taką czułością. Nie potrafię inaczej. Piszę o tym na wstępie, żeby uprzedzić tych, którzy zaczęli czytać i wahają się, czy warto dalej iść przez *światło druku*. To był pierwszy poeta, jakiego na oczy widziałem. To był pierwszy poeta, który podał mi rękę, więc ścisnąłem jego palce, co piszą wiersze. Spotkałem go na początku lat 70. XX wieku w Państwowym Gospodarstwie Rolnym Pawłowice, które są naprzeciw Kopany. Tu, gdzie słońce wschodzi, tam gdzie zachodziło Słońce był PGR Księżowola.

Pamiętam, że w owym czasie pisałem o big-beacie, czyli muzyce niepoważnej, tj. mocnym uderzeniu. Kawałki z listów pojawiały się w „Sztandarze Młodych” i „Trybunie Mazowieckiej”. Tadzio nie hamował mojej pasji. Wręcz przeciwnie! Gdybym jego posłuchał, to zostałbym krytykiem muzycznym, który nie zna nut i nie potrafi grać, nawet ze słuchu, na gitarze ani na zestawie perkusyjnym.

Tadziu pomieszkował w *czworakach*, czyli w budynku o czterech mieszkaniach, wchodzących w skład zespołu zabudowań dworskich lub folwarcznych, które zajmowała zazwyczaj służba. Były też *dwojaki* (dwa mieszkania), *sześcioraki* (sześć mieszkań), a nawet *ośmioraki* (osiem mieszkań). Jego sąsiadami na parterze byli p. Józefa i Stanisław Rodzim. Na stryszku, w mansardowym pokoiku, wymościł sobie matecznik. Małeńki, w którym był tapczanik, szafeczka, toaletka. Na parapecie leżały polne kamienie. Pamiętam okienko, jakie dziś można spotkać w łazience. Widział przez szyby stawy i ścianę lasu z olszynami. Do pokoiku nikogo nie wpuszczał. Skąd nagle dostąpiłem takiego wyróżnienia, że mnie zaprosił? Nie wiem. Krysia Stawicka (z d. Rodzim), moja sąsiadka, obecnie mieszkanka Grójca, mówi, że „Ciebie Tadzio traktował jak młodszego idola”. Jest mi głupio cytować to, ale... muszę, bo do tej pory nie wiem, dlaczego w pewien lipcowy dzień zaprosił mnie do siebie. Po wypiciu mleka, podał mi świeżo ugotowany kisiel. To musiało być w porze podwieczorku (po kurpiowsku – *Ło śródżecérzu*).

Kiedy zapytałem Kysię – jak go zapamiętała?, odpowiedział, że „był czytany, grzeczny, nie pił i nie palił. Moi rodzice bardzo go lubili, bo

moi rodzice mieli upodobanie do tych, co nie piją, nie palą. Często do nas przychodził. Z książką. Smarował chleb smalcem i jadł. Nie chodził do baraku, jak inni, tylko siedział u siebie”. Należał do tych, co nie walczą pod sklepem Gminnej Spółdzielni.

Pamiętam, że jesienią 1971 roku wybrałem się do Pawłowicach. Spotkałem panią Mirosławę Czacharowską, która pracowała na świetlicy. Powiedziała, że Tadzio Machnowski podarował jej tomik wierszy. W przypływie życzliwości pożyczyła mi szczupłą broszurkę, zszytą jak szkolny zeszyt.

To była pierwsza książka poetycka poety, którego poznałem.

Na podstawie tych spotkań napisałem poemat pt. *Czy Tadek Machnowski znalazł miejsce, gdzie na dłużej zagrzeje?* Długi wiersz wysłałem na konkurs poetycki z okazji Festiwalu Poezji w Łodzi. Jeden z jurorów, Tadeusz Chróścielewski, opowiadał, że liryk był brany pod uwagę do nagrody w 1972 roku. I gdyby nie jego rozmiar, zapewne tym poemacikiem bym debiutował na łamach „Nowego Medyka” z 16-30 czerwca 1973 roku, nr 12, kolumna „Kawiarnia poetycka”. Zamiast tego opublikowano 4 krótkie wierszyki (****U kogo mogę się wypowiedzieć?, Kto lubi piwo?, Zawsze chwila przyjemna, ***szukać znaczy szukać siebie*).

Przypomnę: „Nowy Medyk” dwutygodnik studencki, Pismo pod patronatem ideowym Zrzeszenia Studentów Polskich i Związku Młodzieży Socjalistycznej, Adres Redakcji: Warszawa, ul. Oczki 7 III piętro, Wydawca: Akademia Medyczna w Warszawie, ul. Filtrowa 30, Drukarnia: Prasowe Zakłady Graficzne „RSW PRASA”, Warszawa, Al. Jerozolimskie 125. Redakcja mieściła się na poddaszu Klubu Studenckiego „Medyk”. Była położona w świetnym, zacisznym miejscu.

Czarno-biały dwutygodnik z żółtym tytułem. „Nowy Medyk” kupowałem w Zduńskiej Woli, kiosku przy ulicy Dąbrowskiego. Stary kioskarsz dostawał 3 numery. Wiersze wysłałem zupełnie przypadkowo. Przepisałem garść utworów poetyckich (tak mi się wtedy zdawało), pociąłem je w paseczki i wrzuciłem do niebieskiej koperty. O dziwo, zostały przyjęte do druku przez Władysława Huzika. Liryki ukazały się w czerwcu, przed moimi 19-letnimi urodzinami. Kończyłem Zasadniczą Szkołę Elektroniczną. Wykupiłem wszystkie egzemplarze. Jeden dałem do szkolnego annału. Nie wiem dlaczego to zrobiłem, bo przecież tego typu poezje nie miały racji bytu w ówczesnych podręcznikach do nauki

języka polskiego. To był taki odruch niekontrolowanej radości. Nikt mi za to nie podziękował. Nie sprawdzałem, czy znalazły się w szkolnej kronice. Jedynie mgr inż. Jerzy Mielelszkiewicz, elektronik, nauczyciel, tymi strofami się zainteresował. O tym piszę we *Wspomnieniach z nad Pichny* (nakładem własnym, Warszawa-Ursynów 2001).

W notce nad debiutanckimi wersami, prowadzący „Kawiarnię poetycką” w „Nowym Medyku” Władysław Huzik pisał: „CZESŁAW MIRO-SŁAW SZCZEPANIAK – debiut. Ma 19 lat, jest uczniem szkoły średniej, po przebytej w dzieciństwie chorobie polio kilkanaście lat spędził w różnego rodzaju zamkniętych zakładach leczniczych. Mieszka w Zduńskiej Woli. Najlepszy z nadesłanych wierszy «CZY TADEK MACHNOWSKI ZNALAZŁ MIEJSCE, GDZIE NA DŁUŻEJ ZAGRZEJE?» rozsądza objętością ramy «Kawiarni», w pozostałych – pewne niedociągnięcia formalne są oczywiste. Drukujemy jednak. Prorokujemy z nich wielki talent lub szaleństwo”. Cytuję tak jak wydrukowano, więc nie upiększam wersalikiem.

Wracajmy do Pawłowic. Do mansardy, gdzie Tadek Machnowski mieszkał. Nie zdaję sobie sprawy z tego, ile powstało tam wierszy. Wiem, że przez to małe okienko widział słoneczko, a kiedy chciał zoba-czyć rogaty księżyc i wysyp gwiazd, to musiał zejść po drewnianych schodach na podwórko (po kurpiowsku *pógródki*), zarosłe bosą trawą.

Za krzaczorami, czyli za płotem, były stawy, na których go spotyka-łem i przyłapywałem, jak w czasie odpoczynku czyta wiersze z tomiku Biblioteki Poetów Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. Trzymał książkę, oparty o drewniane grabie. Przerzucał siano, a kiedy się zmęczył, przy-stawał i czytał.

Słowem, to był pierwszy i jedyny poeta, z którym piłem. Mleko.

Tadek; Kanka brymuchy. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2017, nr 38.

Był sad...

Kiedy chodziłem do Szkoły Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce koło Tarczyna, to od strony północno-zachodniej był sad ze słynnymi czereśniami *pamiętkowskimi*. Kiedy obiekt szkolny zaczęto unowocześniać w XXI wieku, wtedy sad z XX wieku wyrwano. Bez pardonu! Zabolało mnie to, bo sad był czymś więcej niż ozdobą. W tym czasie, żeby nieco odwrócić uwagę, zachwalono dęby, które sadzono na pamiętkę zarządzających szkołą. Gdzie dąb, a gdzie sad?

Od 1981 roku mieszkam na Ursynowie, gdzie drzewiej były sady, wirydarze i szczera pola. Pszeniczno-doniczkowa ziemia. O tym, co było, nieraz pisałem (*Czaty sadownicze*). Dosłownie kapkę sadu jabłoniowego ocalono przy ulicy Małcużyńskiego. Ilekroć przechodziłem tą uliczką, to z sympatią myślałem o architekcie, któremu wcale nie było jedno w głowie, tj. wyrwać do góry korzeniami drzewa owocowe i krzewy. Na desce kreślarskiej nie zapomniano o niemych świadkach Ursynowa.

W innym miejscu było podobnie. Przeczytajcie: „Bardzo lubię osiedle K, które zaprojektowaliśmy z żoną. Domy ustawiliśmy w prostokącie, żeby utworzyć osiedlowy rynek. Zachowaliśmy na nim stare jabłonie, które rosły w dawnych ogrodach. W parterach bloków są sklepy i punkty usługowe, a nie tylko wejścia do klatek schodowych. Małe miasteczko. Stała tu nawet wieża zegarowa. Niestety, kilka lat temu – nie wiedzieć czemu – została rozebrana”².

Emil Zegadłowicz m.in. uczulał: (...)

*pochwalony sadownik i właściciel sadu
w chwili kontraktowania zmownego układu
pochwalony brat złodziej i głodny włóczęga
co w cudzym ponoć sadzie po swój owoc sięga
pochwalona bezpańskość bezprawie bezpłocie
pochwalone drzew starych święte bezrobocie –*

(...) (*Ballada o trzecim powsinodze beskidzkim sadowniku, o oknie w nie swój sad spoglądającym życzliwie, także o jabłkach, gruszkach, śliwach i drzewie krzyżowem rozkwitłym owocami*).

Kiedy o tym przypomniałem w swoich rodzinnych stronach, poczytali mi wóldarze to za nietakt, by nie powiedzieć arogancję. Przełknąłem tę porażkę i zadumałem się nad klasą, jaką wykazał się architekt z żoną, który ocalił jabłonie ze wsi Tychy, dzisiaj to już miasto.

A jednak... można nie stawiać wszystkiego na ostrzu siekiery i buldożera, co zdziera skórę ziemi, bez opamiętania. Jak na wilanowskich łąkach, które zryto wraz ze skarpą.

Johann Wolfgang Goethe napisał: „Tak właśnie jest z nowszymi artystami niemieckimi; tę gałąź sztuki, której nie uprawiają, uznają za szkodliwą i żądają jej obcięcia.” Cytuję poetę, choć już jest za późno. Bo nie ma drzew owocowych. Są budynki. Z betonu, cegły, szkła; resztę przyduśli asfalt.

Był sad... skrzydlate słowa, które odeszło, więc można pisać elegię, gdzie miesza się radość ze smutkiem oraz utarta pamięć.

Arenda; Brak; Był sad...; Supsyna. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2017, nr 39-40.

Laska wujka Tadka

Moja siostra Bożena, która jest ode mnie starsza o 2 lata, lubi peregrynować po Polsce. Ona to nazywa podróżami, wycieczkami. Ale to nie jest ważne. Jeździ nad morze, do Sopotu, do córki Marzenki. Najczęściej lubi południe Polski. Często bywa w Zakopanem. A potem dzwoni i długo opowiada, jakby nie mogła ochłonąć. Ponieważ od 1994 roku nigdzie nie ruszam z domu, więc słucham, i znoszę to, że boli mnie ucho i ręka od trzymania telefonu komórkowego. Siostra ma świetną narrację, potrafi fakty ubarwić ploteczkami i dosmaczać tak, że mam z tego przyjemność.

Jak się o jej wyjazdach dowiedziała Gośka, córka wujka Tadka z Lasu Lesznawolskiego, to poprosiła, żeby w Zakopanem kupiła ojcu do trumny... góralską laskę.

– Po co laska na ten smutny obrzęd? Przecież do drewnianej skrzyni ludzie wkładają pieniądze, modlitewnik, różaniec – mówię.

– Gośka prosiła o laskę, Miruś - ucina siostra.

– ...

– Kiedy byłam w Zakopanem, to kupiłam laskę, a góral do mnie, że może wyrzeźbić imię. Dzwonię do Gośki, czy chce, żeby na lasce było imię wujka? Gośka mówi, że tak. Góral wyrzeźbił: Tadeusz, Zakopane 2012. Zapłaciłam 15 złotych i z laską wróciłam do domu.

– To pewnie wujek teraz sobie chodzi po podwórku z żerdką góralską?

– On do południa się przewraca i podpiera się starym kijem, a laska, jak ci mówiłam, jest do trumny.

– Czy ciocia Celina nie jest o ten kosturek zazdrosna? – dopytuję.

– Celci już kiedyś kupiłam podobną laseczkę. Ma swoją.

Za kilka lat odszedł wujek i do trumny włożono mu stylik drewniany. Pochowano go w Worowie, jak górala spod Grójca, co przysiadł na Mazowszu. Jak cepr. Została ciocia, która nie jest *menconca*. Za dnia siedzi w ramie okna i wygląda, czy wujek nie wraca o lasce z niebiańskiego państwa, gdzie święci garnków nie lepią. A nocą śpi, bo tak ją nauczono od dzieciństwa.

Postscriptum

Marek Karpowicz, Dąb Wojciech przed Szkołą Podstawową im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce koło Tarczyna, akwarelka. Ponieważ w felietonie jest sporo melancholii, więc na koniec chciałbym przyznać się, że w dzieciństwie ilekroć w lesie miałem pietra, tylekroć sobie przypominałem pioseneczkę: *Coś tam w lesie stuknęło, / Coś tam w lesie gruchnęło, / A to komar z dębu spadł, / Złamał sobie krzyża gnat.* Niestraszny był mi szmer albo szelest zza krzaka czy pnia. Ponieważ jestem z wioseczki Kopana, więc wiedziałem, że zewsząd czyha lichy: *A Śmierć się wije u płotu / Szukająca kłopotu; (...)* – jak drzewiej śpiewano.

Laska wujka Tadka; Pani Julia i pan Artur; Spotkanie na ulicy; Ze sztuki funeralnej. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2017, nr 44.

Od *Szczerej Wsi* do Kopanej

Pochodzę z wioski Kopana. Dawniej nazywała się *Szczera Wieś*, na starych mapach jest nazwa w cudzysłowie. Dawne słowniki języka polskiego odnotowywały, że *szczerzy to czysty, bez przymieszki (domieszki), bez odmiany, prawdziwy, nie zafalszowany, rzetelny, tylko goły, nagi*. Opatrywano to cytatami, żeby doprecyzować: *W niebie szczere rozkosze; Próżnaby robota była, jeśliby kto na szczerym piasku posiał pszenicę; W szczerym polu na ustroni złote jabłka na jabłoni; Idę za mąż szczerą dziewczkę*.

Był *szczerzy człowiek, szczerzy żal, szczera miłość, szczera mowa, szczera prawda*, a kłamstwo było, wiadomo jakie. Był *szczerzy metal, szczere złoto*, a nawet wino. Nie odnotowano, że w dawnym powiecie grójeckim znajdowała się *Szczera Wieś*. Czyli Kopana. Przypominam o tym, choć to brzmi jak baśń zapomniana. A przecież tutejsze ziemie miały wielkie pole do popisu, póki nie objęły je sady, łąki i resztki nieużytków.

Dzisiaj las mieszany podchodzi pod domy i ludzie mają szczerze dość tego, że rzuca garściami ciemność.

Mówią, że jak las nie spłonie w ciągu 200 lat, to marnieje. Więc nie ma się czego bać.

Gadają, że *drzewo, co skrzypi, dłużej w lesie stoi*. Podobno *skrzypiące koło dłużej chodzi*. A los toczy koła życia na osi śmierci. I nic na to nie poradzimy, że tak jest jak jest.

Postscriptum

Marek Karpowicz, Latający dywan z pajdką chleba, akwarelka, technika mieszana.

Pani Jolanta Sas z Kopanej po przeczytaniu kolumny felietonów (*Bez szyn i podkładów, Książę gaf, Na odwrytkę, Lipa, Platon*, „Tygodnik Olecki” 2017, nr 35) nadesłała drobne sprostowanie: *Obejrzałam rysunek p. Marka Karpowicza. Chcę zaznaczyć, że w naszych stronach platony wyglądają trochę inaczej. To, co przedstawia rysunek, to u nas „uniwersalki”. Wyższe skrzynki, zbliżone do kwadratu, to „jedyńki”. Platony to skrzynki o wysokości jak na rysunku, tylko nie prostokątne, a kwadratowe. Oto znak, jak moi krajanie z okolic Kwitnącej Jabłoni uważnie czytają.*

Sen z 5. na 6. listopada 2017 roku; Recepta; Od Szczerej Wsi do Kopanej; To nie bajka!; Tadeusz Kościuszko (4 II 1746-15 X 1817). Felietony, „Tygodnik Olecki” 2017, nr 46.

Wyróżnieniem szarym zazaczyłem tekst, który nie został opublikowany.

Boże Narodzenie w Starej Kopanie

Poprosiłem panią Jolantę Sas z Kopanej, żeby opisała, jak dawniej spędzano i przeżywano okres Bożego Narodzenia w okolicach *Kwitnącej Jabłoni*. Moja życzliwa sąsiadka spełniła prośbę i przypomniała: „Do dziś pamiętam wykrochmaloną pościel, wieszanie firanek, zapach igliwia i pasty do podłogi. A przed świętami kilkudniowe pranie na tarze, w dużej balii. Widzę umęczoną mamę, która dźwiga wiadra z wodą, często w mróz, bo pranie wyglądało inaczej niż dziś.

Jednego dnia moczono pranie w wodzie z proszkiem. Najczęściej na noc. Następnego dnia mama prała na tarze, namydlała i gotowała (białe rzeczy). Z gotowania ponownie prała, płukała, a następnie było farbowanie i krochmalenie.

Gdy pranie wyschło, wyciągała z tatą każdą sztukę, aby wyprostować, ręcznie maglowała maglownicą na specjalnym stołku. Ostatnie czynności to prasowanie żelazkiem na duszę, później na prąd.

To był mój pachnący dom, nawet z tym praniem, z kochanymi rodzicami.

Choinka była taka jak u Pana, świeżo ścięta. Cukierki, orzechy w sreberku, jabłuszka, długie kolorowe cukierki. Włos anielski i łańcuchy ze słomy i bibuły. I koniecznie świeczki, i zimne ognie. W święta po każdej nocy z cukierków zostawały tylko papierki na drzewku.

Pamiętam, że w któreś święta dostałam od kolegi brata czekoladowego Mikołaja. Schowałam głęboko, żeby nikt go nie ruszył. Mama namawiała, abym dała spróbować. Dla mnie była to tak cenna rzecz, że nie dałam się skusić”.

Chcecie to wierzyć...; Polisa; Cicha noc...; X. Święta Bożego Narodzenia; Boże Narodzenie w obozie w Jercewie; Boże Narodzenie w Starej Kopanie; Dziewczynka z (wielkimi) manierami; P jak Poeta. Felietony, „Wiadomości Tarczyńskie. Niezależny Miesięcznik Regionalny” 2017, nr 4/12, Kwiecień-Grudzień 2017.

Przy wigilijnym stole

W młodości marzyłem przy wigilijnym stole, żeby napisać wiersz na Boże Narodzenie.

Pamiętam jak po wieczery siedzieliśmy z matką, ojcem, babcią, siostrą i bratem przy śnieżnym obrusie. Połamaliśmy się opłatkiem i złożyliśmy życzenia. Każdy z każdym. I zostaliśmy z cichą nadzieją. Łzy radości ściekały nam po policzkach. Byliśmy wzruszeni i serdeczni.

Za oknem padał śnieg. Drzewa w sadzie były w papachach bieli. Strach na czereśni nie straszył ptaków. Na niebie zwózka gwiazd i księżyc.

Na choince płonęły światełka. Bombki puszczały na ścianę *zajączki*, które nie spadały z sufitu.

Matka z babcią śpiewały *kolędy*. Cały rok czekały na tę uroczystą chwilę. W Adwent przypominały sobie słowa, które pozapominały. W ten wieczór wigilijny miały wykuty tekst *na blaszkę*. Ojciec milczał. Śpiewałem z siostrą. Aż babcia wkładała palec do ucha. Matka była cała w radości śpiewania. Jak na Pasterce.

Wigilie z dzieciństwa...

Każdy kto je przeżył w gronie rodzinnym, do końca życia nie zapomni. W niepamięć odejdą wszystkie zdmuchnięte urodzinowe świece, ale Wigilii nigdy nie zapomnisz. Do końca życia.

W cichą noc wigilijną lubiłem wsłuchiwać się w zaśpiew *kolęd*. Zrozumiałem, że można je zaśpiewać albo zagrać na organach, flecie, harfie, pastuszej fujarce, dziecięcej gwizdałce, okarynie, rogu baranim, skrzypcach, mandolinie, harmonii, gitarze, organkach, na grzebieniu z bibułą, zapiskać na kartce albo na listku, kołatką wystukać, dzwonuszkiem zaszturechać etc. Każdy instrument znajdzie swoje miejsce w *kolędzie*.

Siedziałem przy wigilijnym stole. Słuchałem radosnych pieśni. O tym, że w Betlejem narodził się Syn Boży. Dom był *kolędami* kołysany. Nikt nikogo nie zagłuszał. Dalekie Betlejem znów było bliskie. Otwórz Nowy Testament, a zobaczysz kto się cieszy, a kto chce rzucić kamień do ubogiej szopy, żeby nabić guza i przy okazji postras

Moje marzenie z młodości ziściły się dopiero w wieku męskim. Zacząłem pisać wierszyki o przedświęciu, zwanym też gwiazdką. Tworzyłem strofy w myśl zaleceń Cypriana Kamila Norwida:

*(...); pismo to opłatek,
Którym łamać się trzeba, i od serca życzyć
D o s i e g o r o k u prawdy – nie szermować, krzycząc,
Lecz całą siłą działać, działać w taki sposób,
Jako dawny obyczaj, bez wyborczych osób,
Z bogobojną czeladką wieczerzając społem
Na sianie z własnej łaki i za własnym stołem ... (...) (Pismo).*

Cieszyłem się, gdy udało mi się wyłuskać z Nowego Testamentu ośnowę wokół której prządzę liryzmu wątek. Do wiersza kładłem ułomek opłatka i zaklejałem kopertę. Był to mój list świąteczny. Wtedy.

Wigilia to radosne święto. W ten wieczór nienawiść zawiesza broń. Palce nie zamykają się w pięści. Smutek idzie do kąta. Wspomnienia przychodzą do naszego domu, jak (zerwane) stare kartki z kalendarza. Na stole leży wizytówka domu – opłatek bielszy niż śniegi. Na pustym miejscu siedzi Pan Jezus, bo to Jego urodziny, na które nas zaprosił. Co za gest!

Wigilia to powrót do ubogiej betlejemskiej groty, gdzie wół uklęknął, osioł zgiął kolana, pastuszkowie, a mędrcy się nie mądrzą, i też przysiedli.

Ballada o Kolędzie

Kolędo zapraszam Cię

Na śniegi obrusa

Usiądź przy stole

Szedłem z Tobą po

Krętych drogach życia

Od wniebogłosów do zacisza

Kolędo naszeptaj nam

Dobrej Nadziei

Na dni powszednie

Postscriptum

Fot. Ireneusz Szczepaniak, Zaspy śnieżne przy torach kolejki wąskotorowej w Kopanie, lata 80. XX wieku.

Przy wigilijnym stole; Ballada o Kolędzie, „Życie Grójca. Miesięcznik kulturalno-informacyjny” z 20 grudnia 2017, nr 11(99), publikacja bezpłatna.

Wyróżnieniem szarym zazaczyłem tekst, który nie został opublikowany.

Bonanza

W latach 60. XX wieku w Polskiej Telewizji czarno-białej emitowano serial *Bonanza*, którego akcja działa się na rancho Cartwrightów, położonym w Wirginii, w stanie Nevada. Miejsce akcji, sadyba amerykańska *Ponderosa*, była większa niż Kopana z okolicznymi wioseczkami: Wylezin, Racibory, Kawęczyn, Rembertów, Cieśle, Pamiątka, Księżowola, Kocerany. Odcinki westernu wzbudzały duże emocje, choć telewizorów było jak na lekarstwo. Film jak film z dzikiego zachodu (western), gdzie wyraźne były charaktery czarno-białe. Czyli grube krechy, które można poceniować i nie sposób pogrubasić. Film rozpoczynał się motywem muzycznym i pojawiała się płonąca mapa, z której wyjeżdżali konno bohaterowie. Do dziś szumi mi w uszach muzyka, prościutka, gitarowa, z tłem orkiestry.

Przyjeżdżam z sanatorium do domu i słyszę, jak siostra mówi: *zaraz będzie «Bonanza»*. Zdziwiłem się, bo jeszcze w domu nie mieliśmy telewizora, więc chodziłem do świetlicy PGR Pawłowice, a nawet do PGR Księżowola. I nagle słyszę, jak przejeżdża *ciuchcia*, a siostra śmieje się i mówi – *Bonanza*. Patrzę, bo nie wiem, jaki snuje wątek. Że nie potrafię znaleźć paraleli do koni, na których pędzą kowboje. Co ma wspólnego film z *ciuchcią*? – zadaję sobie pytanie. *Mirus, coś się tak zadumał?* – pyta siostra. Wstydę się przyznać, że nie wiem, o co jej chodzi.

Minęły lata i podczas rozmowy telefonicznej z Mirką Olszewską (z d. Roszczyk), która ma w Tarczynie kwiaciarnię, zapytałem, jak dzieci z Rembertowa radziły sobie z dojściem do szkoły? A moja błyskotliwa koleżanka zagaiła, że *pieszo, a jak była pogoda, to rowerem, czasami autobusem; nie dowożono nas «Bonanzą», jak dzieci z Pawłowic*. Pamiętam, bo tym krytym wozem zabierano mnie z Kopanej do Pamiątki. Dziś w tym miejscu jest róg ul. Działkowej i Pawłowickiej. Kiedy usłyszałem, jak Mirka mówi *Bonanza*, poczułem się tak, jakbym odbywał pere

Opowiadka starszego kolegi

Mam dwóch kolegów z moich okolic *Kwitnącej Jabłoni*, z którymi utrzymuję kontakt telefoniczny. Młodszy kolega szkolny, to syn pani Marianny Jakubowskiej Grzegorz, rocznik 1955, zaś starszy kolega to dr Władysław Horst, rocznik 1946, historyk, archiwista, na którego mówiono Andrzej. Kolega historyk pracuje w Archiwum Akt Nowych w Warszawie przy ul. Hankiewicza 1, gdzie przed laty mieściła się Biblioteka Narodowa. Jako archiwista, jest świetny. Lubi swoją pracę. Nie ociąga się, gdy trzeba fizycznie pracować w fartuchu i rękawiczkach, rzadko zakłada rękawiczki, tj. wcale. Nieraz zdarza się, że dzwonią rodziny, bo muszą zlikwidować po kimś bibliotekę. Szkoda oddać zbiór na makulaturę, więc ostatnią deską ratunku jest archiwizacja. Andrzej opowiadał, że ma różne z tym związane przygody. „Pojechaliśmy zabrać bibliotekę samotnej kobiety, która umarła. Mnóstwo starych książek. Wśród nich leżał egzemplarz bez okładki. Nadający się raczej na makulaturę. I pewnie tam by się znalazła, ale... zainteresowała mnie jego strona tytułowa – *Skleroza*; wziąłem go, bo zawsze może mi się przydać. Poza tym książka była napisana takim językiem, jak w czasach, kiedy się urodziłem...”. Zapytałem, czy będzie mógł mi pożyczyć, bo też mam różne kłopoty z pamięcią. Odpowiedział, że przyniesie.

Szkopuł w tym, że ilekroć do mnie przychodzi, mówi że zapomniał. W takich chwilach pocieszam Andrzeja, że z wiekiem zwężają się naczynia krwionośne. Miażdżyca ściska głowę, gdzie jest skarbonka pamięci, którą czas wyciera.

Wiejskie wesele

Czesław Ślania był cenionym projektantem znaczków pocztowych. Co ja piszę? To był sztukmistrz. Mawiano o nim – „czarodziej rylca”. W swoim życiu zaprojektował ponad 1000 znaczków dla 43 krajów. W czasie okupacji niemieckiej wstąpił do partyzantki i podrabiał kenkarty i różne dokumenty. Po wojnie studiował na Wydziale Grafiki Akademii Sztuk Pięknych i wykonywał w prosektorium rysunki dla potrzeb siedmiotomowej *Anatomii człowieka*. W Drukarni Narodowej zgłębiał tajemnice sztuki miedziorytniczej i grawerskiej. W 1956 roku opuścił Polskę, żeby w Szwecji podreperować swoje zdrowie (chorował na gruźlicę). Szwedzi poznali się na Czesławie Ślani. Otrzymał mieszkanie, obywatelstwo i pracę. Był królewskim grawerem. Na pytanie: jakie ma marzenie, niezmiennie odpowiadał – „być na wiejskim weselu”.

Nie doczekał Czesław Ślania, żeby być na weselisku, gdzie pospolitość skrzeczy. Wiedzieli o tym i nikt się nie zajął tym, żeby zaprosić Pana Czesława Ślanię w gości na wioszczkę.

Jarosław Iwaszkiewicz w wierszu pt. *Stary poeta* z nostalgią wspomina, gdzie z żoną Anną nieraz bywali: „A kiedy będziemy przed Panem Nicości / już zaraz / nic to nie będzie znaczyło/ że byliśmy piękni / że tańczyliśmy na chłopskich weselach /i na królewskich pokojach”.

Dwa razy byłem na wiejskim weselu.

Pierwsze: na wujka Zygmunta Grzondkowskiego, który ożenił się córką konduktora kolei wąskotorowej, Wandą Rejniak, z Józefowic pod Tarczynem; obecnie ul. Piaseczyńska. Drugie, u siostry Czesławy Bożeny w Kopanie, która wyszła za mąż za Andrzeja Luterka, co pochodzi z wioski Marylka pod Tarczynem. Wesele było w naszym domu pod numerem 55, dziś ulica Działkowa. Oczywiście, że nie było tak jak u Stanisława

Na drugim weselu winem (bułgarskim i węgierskim) zwilżałem apetyt. Reszta piła to, co Polacy lubią sobie *łyknąć*. Nie wyjawię co, bo byłaby to reklama i zachęta do alkoholizowania się. Na taki skandal nie mogę sobie pozwolić, szczególnie w ojczyźnie, gdzie trwają akcje trzeźwości, antynikotynowe etc. A naród tak się tym przejmuje, że wystarczy otworzyć okno, by słyszeć jak przy śmietnikach gniotą puszki. Co rusz wpada pusta butelka do kontenera na szkło. I pęka. To niemy świadek, że bar (znowu) wzięto za mocno.

Zapuszczony szlak kolejowy

Kolej wąskotorowa dzielił okolicę *Kwitnącej Jabłoni* na dwie strony. Lewą i prawą. Ciuchcia zabierała wszystkich i nie pytała z jakiego jesteś pola, sadu, ogrodu, działki, lasu, i łąki. Pas nasypu ciągnął się od Warszawy Południowej do Nowego Miasta nad Pilicą. Wpisana była w krajobraz. Pociągi osobowe i towarowe sunęły, budząc ludzi do pracy. W nocy wyglądała kolorowo i tajemniczo. Gwizd lokomotywy straszył. I nagle to wszystko zlikwidowano, i skazano na poniewierkę. Zostały tory z drewnianymi podkładami. Dzisiaj to jest strona bez gospodarza. Zapuszczona. Zielsko, krzewy i drzewa weszły na tory. Budynki stacyjne są tak zaniebane, że okna i drzwi zabito płytami paździerzowymi, jak na stacji w Grójcu. Albo spalono, jak na stacji Pawłowice-Kopana. Zniwiera się wszystko, co jeszcze nie tak dawno było pełne życia. Po ścieżkach, które dawniej wydeptywałem, już nie ma śladu. Mój brat czasami podrzuca mi zdjęcia, jak wygląda zachwaszczona nijakość. Patrząc się wstydzę. Nawet nie mam siły, żeby się upomnieć, bo nikt mnie nie posłucha. Las podchodzi pod tory. To znak, że nie ma nikogo, kto by go siekierą i piłą postraszył. Drzewieję ciuchcia była jak szlaczek ze szkolnego zeszytu. Z wiersza Juliana Tuwima wyjeżdżała lokomotywa i sunęła po wąskim torze (1000 mm). O szerokości jednego kroku. Była blisko, na rzut beretem z antenką. Podobny los spotkał Radzymińską Kolej Wąskotorową, na którą mówiono *Samowarek*. O naszej ciuchci rozpuszczano wieść, że to *czajnik na szynach*.

Strych

Wiadomo, że to miejsce między sufitem a dachem, czyli nad pomieszczeniem. W Polsce na ogół budowano parterowe domy, więc poddasze musiało być, jak komin. Były strychy, w których trzeba było poruszać się na kucki, oraz takie, że chodziło się swobodnie. Na górze ojciec wyszykował dwa mieszkania. Jedno dla siostry, zaś drugie dla mnie i brata, Renuszka. Jenó od wschodniej, drugie od południowej strony. Na strych często zaglądałem. Siadałem przy stoliku i przeglądałem zszywki gazet. Czułem się jak w konserwie. Latem było duszno, zaś zimą nie dało się dłużej wytrzymać. Na poddasze matka wynosiła świeżo upraną bieliznę, żeby wysuszyć. Do mansardy prowadziły strome schody. Dość trudne do pokonania, więc przykre. Nie wiem, czym kierował się mój tata, że takie skonstruował. Pewnie trudność miała odstraszać, żeby za często nie wchodzić *na górę*.

Za to u mojego dziadka był strych z małym okienkiem. I strasznie nas kusił. Ilekroć chciałem wejść, babcia mnie łapała i nakazywała w tył zwrot. I nie było zmiłuj się! Za to mojej siostrze udawało się dziadka i babcię przechytryć i nieraz była pod krokwiami. Wie, co było w górnej części domu. Był podstrych na dziadkowej oborze, z drzwiczkami. Można było wejść do niego, ale po drabinie. Nieraz chciałem do niego zajrzeć i nie dawałem sobie rady z toporną drabiną. Tam, podobno, były książki i jakieś skarby. Tak mówiła siostra.

Na stryszek zwykło się wynosić rzeczy, które zawsze jeszcze mogą się przydać. Nie zatęchną. W szafach trzymano jesienno-zimowe kapoty, buty, ziola, a także orzechy, owoce, aby mogły dojrzeć.

W 1980 latem mieszkaliśmy z *Graszką* i Paw

Nie mam powodów, żeby *Pod strych mierzyć* (tzn. z nawiązką). Ale na strychu nieraz doznawałem miłych chwil, które osładzają to, co przeżywałem, gdy schodziłem na dół po skrzypiących schodach.

Derka

To lichy, zniszczony koc, używany do okrycia nóg albo konia. O derce mogą ci mówić, którzy choć raz jechali wozem, który ciągnął koń, a nie traktor. Trzeba było się wprawdzie znaleźć na furmance, tj. usiąść na siedzeniu (na sienniku, czyli worku z napakowaną słomę). Obok siedział *furarz* zwany też *bałagulą* albo *forysiem* i w jednej ręce trzymał lejce, zaś w drugiej bat.

W niepogodę derkę kładziono na nogi i opatulano kolana. I było tak błogo, że trudno to opisać. Koń ciągnął furkę, który czasami podskakiwała na wybojach polnej drogi albo na tzw. kocich łbach. Pod ten wysłużony kocyk chowało się ręce. Nieraz tak opatulony jechałem z dziadkiem Szczepanem Grzondkowskim albo stryjkiem Bolkiem Grządkowskim.

O derce myślałem, kiedy przed 2014 rokiem siedziałem przed telewizorem i nie dawałem się wpuszczać w kanały. Lubilem się opatulić kocem, który przypominał mi jazdę rolniczą furmanką, a nie wozem taborowym. Przypomnę, że w skład jego wyposażenia wchodził bat i narzutka (ni to kapka, ni pledzik).

Kiedy słyszę słowo *derka*, to czuję cieplejszy przypływ wspomnień.

Bonanza; Opowiadka starszego kolegi; Wiejskie wesele; Zapuszczony szlak kolejowy; Strych; Pisanka; Derka. Felietony, „Wiadomości Tarczyńskie. Niezależny Miesięcznik Regionalny” 2018, nr 1-3.

Uwagi edytorskie

Teksty drukuję wedle ukazywania się na łamach gazet; czasami publikuję to, co zostało odrzucone. Pod felietonami/notami zamieszczam bibliografię według następującej zasady: tytuł podaję kursywą, zaś po średniku zamieszczam też inne pozycje, które się ukazały na kolumnie, zaś po kropce cytuję winietę (szyld), którą były opatrzone, a następnie podaję miejsce, gdzie praca była drukowana (w cudzysłowie) rok, numer.

Tytuły utworów i książek cytuję kursywą, żeby je wyróżnić. Czasami drukuję *kursywą*, żeby na coś zwrócić szczególną uwagę. To są takie *dymki*, które nie szczypią w oczy jak *ćmik* z papierosa. Informuję o tym, żeby ktoś nie posadził mnie o manierę. Felieton jest tak chimerycznym gatunkiem, że można sobie (czasami) pozwolić na niekonsekwencję.

W tekstach na nutę felietonową naniosłem stosowne poprawki. Gazeta a książka, to są dwie różne sprawy. W czasopiśmie można zamieścić dosłownie wszystko, ale w druku zwartym takie coś *zgrzyta*. Prasę zawsze traktowałem jak brudnopis. Publikowałem, żeby przetestować to, co napisałem, tj. zobaczyć czarno na białym. Staram się pisać tak, żeby to mogło się potem znaleźć w spisie treści druków zwartych, w oprawie szytej lub klejonej. Do zszywek gazet rzadko zaglądają czytelnicy. Dlaczego? Bo to jest *passé* (z francuskiego – *minione, przebrzmiałe, niemodne*). W modzie jest przeciwieństwo tego słowa, powinno się być *trendy*. Oto przykład pierwszy z brzegu: *wąski pasek materiału, więcej odkrywający niż zasłaniający, jest passé!*

W wyborze czasami zdarzają się różne powtór

Spis treści

Felieton krótko otwarty	3
Po jesieni, gdy pieniądz schnie	6
Gdy przekwitły jabłonie	8
Pamiętka	10
Pierwsze wiersze	15
Á propos	17
Ciuchcia	21
Smak jesieni	23
Mój starszy kolega historyk	25
Jestem ze wsi!!!	28
Nauczyciele i wychowawcy • Oczytani z okolic „Kwitnącej Jabłoni” (i nie tylko!) • Powrót do <i>Elementarza</i> Mariana Falskiego	29
Bluzka z Powstania Warszawskiego	32
Ulica, czyli awans polnej drogi	33
Moi krajanie z Tarczyna	36
Między „Tygodnikiem Oleckim” a „Wiadomościami Tarczyńskimi”	40
List od mojego krajana, dr n. med. z Tarczyna	42
Ku Pamiętce (1)	44
Wybór myśli Wojciecha Górskiego	48
Ku Pamiętce (2)	49
Sekrety jabłka	54
Mapa z 1955 roku	56
Pytania o wieś Kopana	57
(Nie) Jadę do Kopanej	59
Liść dębu Wojciech z Pamiętki	61

Szyszka	63
Makatka	65
Winieta tarczyńska	66
Anatewka	68
Głosa o Marii Konopnickiej	70
Księga jubileuszowa z dedykacją	71
Ule	74
Czesław Szczepaniak (9 II 1930–18 X 1986)	77
Peregryncje z malarzami w Pamiątce koło Tarczyna	79
Okrężne	84
Cerowanie	88
Z Olecka do Kopanej via Ursynów	89
Orzechy	94
<i>Sujka</i>	96
Kalendarz szkółkarzy	98
Żołnierze z ołowiu	99
Uważaj na przysłowia	100
Przekrzyczeć pociąg	101
Ciuchcia cd.	102
Nasyp kolejki wąskotorowej tzw. Grójeckiej	103
Od bajki do baśni	106
Łyk oranżady	110
Miejsce w pamięci	111
Z okolic <i>Kwitnącej Jabłoni</i>	112
Pani Maria	113
Przyciąganie	115
Zapisane na chrzanowym liściu	119
Platon	120

Od <i>Szczerej Wsi</i> do Kopanej	131
Boże Narodzenie w Starej Kopanie	133
Przy wigilijnym stole	134
<i>Bonanza</i>	137
Opowiadka starszego kolegi	138
Wiejskie wesele	139
Zapuszczony szlak kolejowy	141
Strych	142
Derka	144
Uwagi edytorskie	145